LISTY
CZŁOWIEKA SZALONEGO

J. Okulicz

Druk. Piotra Laskauera i S-ki.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

LISTY CZŁOWIEKA SZALONEGO

WYDANIE DRUGIE
(przejrzane przez autora).

WARSZAWA
NAKŁAD TEODORA PAPROCKIEGO
Nowy Świat 37
1903

J. Okulicz.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1902 г.

108896

ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH
W ZSRR

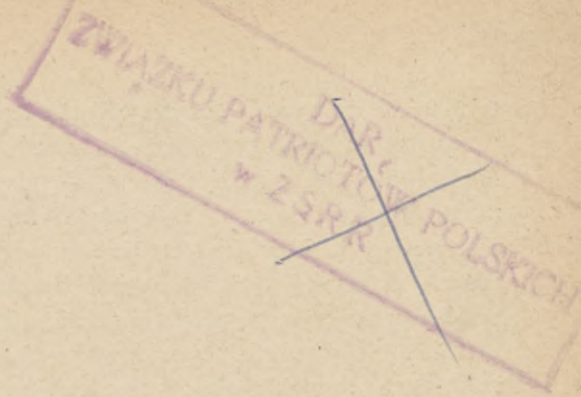

SŁÓWKO WYJAŚNIENIA.

Siedzę sobie najspokojniej w domu. Dzwonek. Otwierają się drzwi.

— Jak się kochany pan miewa! Nareszcie pana odnalazłem!

Podnoszę rękę do czoła, bo mi lampa przeszkadza. Z otwartemi ramionami stoi Ludwiś Kołakowski.

— Jak się też kochany pan miewa? — zawołałem podnosząc się od biurka.

Wyściskaliśmy się. Siadamy. Kołakowski wyciąga z pod pachy jakiś brzydko gruby zeszyt.

— Bo to widzi pan — maleńki interesik.

— Zawsze do usług — odpowiadam a w duchu dodaję: masz tobie!

Kołakowski drapie się za uchem i poczyna:

— Miałem przyjaciela — trochę waryata —

tak, tak... waryata. Zdarza się, że i przyjaciele waryują, najlepsi przyjaciele... Owóż ten mój nieszczęśliwy przyjaciel miał manię pisywania do mnie długich listów. Odpisywałem mu czasem, ale rzadko a listy jego rzucałem w piec. Ale cóż się pokazało! Jegomość miał bruliony. Niechno kochany pan przeczyta i powie, jak to tam z tem... Gdyby się to nadawało do druku, to i owszem, bo widzi pan, ten biedny bzik już umarł... Tak, umarł... I zapisał mi testamentem te bruliony. Jednakowoż w testamencie była mała klauzula. Żądało nieboraczysko odemnie, ażebym czemś uszczęśliwił ludzkość... No, niech kochany pan sobie wyobrazi... ja — i uszczęśliwiać ludzkość!... Tak tedy sobie rozważam, coby tu takiego wspaniałego zrobić i nagle strzela mi do głowy: wydam to!... Jeżeli pomysł waryacki, to nie całkiem moja wina, boć zawsze wpływ wpływem pozostaje... A to był dobry chłop... tylko niecałkiem tego... tu...

Wręczył mi manuskrypt. Położył mi rękę na kolanie i zapytał:

— Pani dobrodzika zdrowa?

— Zdrowa — odparłem.

— A dzieciaki zdrowe?

— Jakoś tam dzięki Bogu...

— I jest co jeść?

— At, niby jest...

— To bądźże pan zdrów, kochany panie, bo mi się ogromnie spieszy...

— Moje uszanowanie!

— Moje uszanowanie! A proszę się pani dobrodzice kłaniać!

Wyszedł.

Nałożyłem okulary, wziąłem rękopis do ręki. Otwieram. Patrzę na pierwszą stronicę.

Czytam — czytam — —

LIST I.

Czytaliście, kochany panie Ludwiku, książkę Nordaua »*Kłamstwa konwenansu*«? Wicher dmie, śniegi topnieją, klimat przemawia do nas jak zgorzkniały pesymista. Weźcie do ręki tę książkę. Czytajcie ją przy wtórze wichru, przy szumie ulewy.

Kłamstwa, kłamstwa!...

Aż strach dotknąć palcem logiki jakiejkolwiek sprawy, jakiegokolwiek zagadnienia, jeżeli zrodziło się w głowie podejrzenie, że kłamstwo jest podszewką istnienia.

Tak — podszewką istnienia. Wierzchem jest prawda. Po niej, jak po płaszczu gumowym, spływa deszcz zarzutów; ale grzeje tylko podszewka.

Są to zaiste myśli człowieka szalonego. Słuchano wszakże głosu tylu mędrców, tylu głupców; czemu nie mianoby posłuchać lub bodaj wysłuchać głosu człowieka szalonego?!...

O szalonych powiadają, że są bardziej logiczni,

niż ludzie normalni. I zaiste, wszystko można im zarzucić, prócz wadliwego wnioskowania. Rzeczą ludzi normalnych jest wnioskować wadliwie z dobrego założenia; natomiast ludzie szaleni wychodzą wprawdzie z założenia fałszywego, ale wnioskują znakomicie.

Exemplum.

Człowiek normalny modli się rano do Boga: «I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom» — a powstawszy z klęczek zapytuje swego adwokata, czy położył już areszt na ruchomościach bliźniego za dług nieuiszczony.

Człowiek szalony oświadcza swej żonie, że jest ze szkła. Oświadczenie to jest co prawda fałszywe, ale wnioski i dalsze postępowanie niezmiernie ścisłe i logiczne. Taki człowiek boi się ruszyć z miejsca, aby się nie stłukł, nie dotknie się żadnego przedmiotu, aby się o niego nie utrącił, mniema, że nikomu nie może zasłonić widoku, gdyż jest przejrzysty; uczyni to dopiero wtedy, jeśli mu ktoś udowodni, że jest ze szkła matowego. Wtedy usunie się, aczkolwiek z wielką ostrożnością. W każdym razie nie łatwo mu udowodnić, że jest ze szkła nieprzejrzystego.

Ludzie szaleni mają jeszcze wiele różnych zalet, których nie posiadają ludzie normalni. Są niezmiernie sumienni, sprawiedliwi, wygłaszają nieraz głębokie myśli i uważają, że czyn powinien być bezpośredniem następstwem postanowienia.

Exemplum.

Człowiek normalny fałszuje artykuły spożywcze, księgi handlowe, rachunki, karty, opinię, wąsy, brwi, cnotę, podlega bezwładowi moralnemu, stwarza sobie teorye na usprawiedliwienie swego lenistwa, swej chciwości, wygłasza wreszcie co chwila zdania, z których się w duszy sam śmieje.

Inaczej człowiek szalony. Jeżeli wygłosi tak nienormalne zdanie, iż należy odpuszczać w imię miłości Bożej winy winowajcom, to zwołuje wszystkich swoich dłużników, drze weksle i rewersy, wykreśla z hypoteki ich zobowiązania i błogosławi na dalszą drogę żywota. Ale ludzie normalni biorą go wtedy w kuratelę.

Jednem słowem człowiek szalony jest ciągle sobą a człowiek normalny, widziany w perspektywie, składa się z dwóch ludzi.

Trzeba mieć tylko odpowiednio rozszczepiający pryzmat logiki i pod kątem egoizmu ustawić dwa ekrany a na każdym z nich zobaczymy widziadło ludzkie.

Ktoś powiedział, że gdziekolwiek zbierze się dwóch polaków, tam są trzy zdania. Nieprawda. Tam są wtedy cztery zdania i dlatego nigdy niema tak zwanej prostej większości.

I dlatego niema prawie u nas ludzi szalonych, ludzi choćby o zdaniu fałszywem, ale jednem. Niema ludzi szalonych, bo postanowienia nie stoją w żadnym związku z czynami, bo w każdym pola-

ku siedzi dwóch ludzi a nie jeden. Wyjątek stanowią dekadenci, którzy mniemają, że składają się nawet z kilku ludzi. I trzeba dopiero człowieka szalonego z jego logiką opatrzną, aby wysnuć wniosek, iż kilku tych ludzi w żaden żywy sposób nie może się złożyć w jednego człowieka.

Mniemamy przeto, że nasze społeczeństwo, które jednem i tem samem uchem umie cierpliwie wysłuchać do końca wywodów Chrystusa o powinności bliźniego i adwokata o konieczności położenia aresztu na ruchomościach niewypłacalnego dłużnika, Improwizacyi Mickiewicza i monologów Zawadzkiego, zechce choćby przez samą ciekawość dowiedzieć się, co myśli o sztuce człowiek szalony, który wychodzi może z fałszywego założenia, ale wnioskuje logicznie.

A zresztą — jakie założenie jest fałszywe a jakie prawdziwe?

Byliśmy zupełnie szczęśliwi i zadowoleni z naszych założeń, aż tu nagle zjawił się Nordau i zdmuchnął nasze szczęście jak świecę.

Dolał on jakiegoś gryzącego kwasu do naszych założeń i dziwnie prędko się rozłożyły...

Skąd ten człowiek wziął ów kwas gryzący?... A może kwas ten nazywa się «kwasem szaleństwa»?...

Wynikałoby z tego, że moralność nasza nie jest tem, co się w chemii nazywa żywiołem. Że można ją rozkładać na pierwiastki. Ba, ten szalony człowiek idzie dalej. Twierdzi, że cnoty nasze nie

są czemś jednolitem, lecz są podobne do tego, co się w metalurgii nazywa «kompozycyą». Wyraz kompozycya — to fatalny wyraz! Zastrzegamy się wyraźnie, że nie przenosimy go tutaj z muzyki, lecz z metalurgii i że ani nam przez myśl nie przeszło wygłosić mniemanie, iż pokomponowaliśmy sobie cnoty!

Tego nie mógłby twierdzić najszaleńszy człowiek!

Z całem oburzeniem odtrącamy podobną myśl. Cnota jest cnotą i koniec, choć według Nordaua bywa aliażem. Aliaż jest znowu aliażem, nie fikcyą; trzeba być istotnie szaleńcem, aby aliaż nazywać fikcyą!

Wprawdzie ktoś twierdzi i to zdaje się, znowu ów Nordau, że płacimy za aliaż a kupujemy cnotę i że aliaż, za który stosunkowo drogo płacimy, zawiera zaledwie 1% cnoty a natomiast 99% przymieszek.

Czyżby tak było?...

Ha, wypadałoby zatem w chemicznem laboratoryum logiki przeprowadzić dokładną analizę owych przymieszek i to pod względem ich reakcyi na wszystkie możliwe odczynniki.

Ale — czy podejmie się tego człowiek normalny?!

Wątpimy.

Pracę taką podjąć może tylko człowiek szalony, obdarzony, jak wykazaliśmy wyżej, nieulękłą

logiką, człowiek, który chce i umie być konsekwentnym.

Bo szalony człowiek *musi* być konsekwentnym. Człowiek normalny nie jest do tego obowiązany. Życie udziela mu przywileju prowadzenia ksiąg duszy według podwójnej buchalteryi; sumy stronic «Winien» i «Ma» zgadzają się, a że dusza prowadzi osobno rachunek «moje» i «twoje», to na tem właśnie jej normalność polega.

Tylko — trzeba znowu człowieka szalonego, aby to zobaczył.

Wynika zatem z tego, iż człowiek szalony widzi wiele rzeczy, których nie widzą ludzie normalni. Posłuchajcie tedy człowieka szalonego — a przekląć go, wygnać lub spalić — na to macie zawsze jeszcze czas!

LIST II.

Panie Ludwiku! Za pozwoleniem...

Wszystko ma swoje granice i wolne są od tego przykrego warunku tylko takie rzeczy, jak przestrzeń, czas etc. Oburzenie wasze nie jest ani czasem, ani przestrzenią, przeto musi podlegać jakiemuś ograniczeniu.

List Wasz wywarł na mnie wrażenie przygnębiające. Widzę teraz dopiero z przeraźliwą jasnością, do jakiego stopnia jesteście człowiekiem normalnym. Oburzacie się, że zamierzam pisać o sztuce i podajecie następujące powody:

1) że się na sztuce nie znam,

2) że jestem człowiekiem szalonym.

Na zarzuty powyższe zamierzam Wam odpowiedzieć w sposób wyczerpujący.

Powiadacie, że się na sztuce nie znam, a zamierzam pisać o niej. Zarzut ten nie zawiera w sobie jeszcze nic anormalnego, gdyż u nas przeważnie się tak dzieje, iż o sztuce piszą tylko tacy, którzy się na niej nie znają. Nie chełpiłbym się tem! To potrafi czynić człowiek zupełnie normalny i reszta ludzi normalnych niema zazwyczaj nic przeciw temu. Cała nowość, cała oryginalność stanowiska przyjaciela Waszego polega na tem, iż trzeba aż być szalonym człowiekiem, aby, nie znając się na sztuce, dojrzeć takie rzeczy, jakie znawcy przeoczyli.

Jasne?...

Idźmy dalej.

Powiadacie, że nie powinienem pisać o sztuce, bo jestem człowiekiem szalonym a ludzi szalonych nie słucha się, tylko wysyła do Tworek. Zarzut ten pragnę zdmuchnąć jednem zdaniem. U nas słuchają dopiero wtedy człowieka, kiedy oszaleje...

Może nie?...

Z argumentów waszych pozostało zatem smutne rumowisko, w którem to rumowisku nie powinniście grzebać, bo wygrzebiecie tylko Waszą hańbę.

Swoją drogą zazdroszczę Wam czasem...

Czemu??

Bo i ja byłem niegdyś człowiekiem normalnym i było mi w duszy cicho. Sumienie moje toczyło się niby kareta na gumach po wybojach wszystkich zagadnień. Życie było dla mnie jak talerz zupy pomidorowej; talerz ten stał przedemną, a los dał mi do ręki łyżkę. Uważałem, że jedynym moim obowiązkiem było i mogło być: jeść ten talerz zupy, dopóki śmierć nie otrze mi ust całunem i nie powie «dość!»

Gdy noc zapuszczała ciemną zasłonę na księgę moich dziennych czynności, sen bilansował aktywa i pasywa a leniwe sumienie nie wysyłało żadnych komisyi rewizyjnych dla sprawdzenia rachunków. Następny dzień był jak gdyby nowem życiem; brałem nową księgę, do ostatniej zaglądałem rzadko, do przedostatniej nigdy. Żyłem tak z dnia na dzień, od bilansu do bilansu, podobnie jak nasze akcyjne towarzystwa, którym się jednak to wybacza ze względu na ową «normalność».

W umyśle moim istniały lądy i morza, rozpościerały się ogromne kontynenty, które się jeszcze wzajemnie nie poodkrywały. I tak: był kontynent ludzkości i znałem go doskonale. Był kontynent etyki — odbywałem po nim liczne podróże. Był wreszcie kontynent sztuki, lubiłem na nim spędzać zimowe miesiące. Jak rzekłem wyżej, te kontynenty istniały niezależnie od siebie i nie utrzymywały ze sobą żadnych stosunków. Nie było jeszcze wte-

dy w mózgu moim Kolumba, któryby im wskazał drogi do siebie. O jakże byłem wtedy szczęśliwy!

Kiedy rozglądam się dziś po świecie za utraconem szczęściem, widzę z bólem całe legie twarzy, z których bije radość. Wywierają na mnie wrażenie jasnych płócien, przed któremi nie stanęło jeszcze Zastanowienie z pędzlem w ręku. Zaglądam do mózgu tych ludzi i widzę z przerażeniem, że w nich glob myśli rozdarty na takież same lądy i morza, na takież same kontynenty, że pojawiali się tam wprawdzie Kolumbowie, ale ogłoszono ich za ludzi szalonych i wygnano z mózgu...

Sunę, człowiek szalony, do domu, a za mną płyną armie widm i upiorów, tłoczą się po schodach, popychają w sieni; chcę przed niemi drzwi zamknąć: nie dają mi, grożą, wciskają się za mną. Siadam do wieczerzy: wyrywają chleb z ręki, odtrącają stół. Kładę się znużony na spoczynek: opadają mnie, zwlekają z łóżka i wciąż grożą, grożą!

Domownicy poglądają na mnie, kiwając znacząco głowami. Przyjaciele ściskają mi na ulicy niesłychanie czule rękę i odszedłszy, ruszają ramionami. Znajomi unikają mnie.

Przecież wiem doskonale, że jestem człowiekiem szalonym! Tego mi nikt nie wyperswaduje...

A jednak niegdyś, niegdyś nie byłem nim! Ile cichego, lubego szczęścia gnieździło się w mojej duszy!

Gdyby zatem stać się jakimś cudem znowu człowiekiem normalnym? Byłożby mi lepiej?

Przenigdy! Nie chcę! Nie chcę! Nie!

Teraz byłoby mi już stokroć gorzej...

Kto uszczknął owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego, tego mogą wypędzić z raju, mogą mu kazać w bólu poczynać i w cierpieniu rodzić, mogą mu kazać drżeć z głodu, chłodu i obawy zgonu, mogą mu wreszcie kazać umierać — ale on mimo to nie zechce nigdy zostać znowu — człowiekiem normalnym!...

LIST III.

Ale, ale!

W rozmachu myśli zapomniałem Wam odpowiedzieć na jeden z najważniejszych zarzutów.

Coście Wy, panie Ludwiku, powiedzieli o książce Nordaua? Że to starzyzna?

Panie Ludwiku!...

Przypomniało mi się to dopiero w chwili, kiedy list wpuszczałem do skrzynki pocztowej. Już palec wskazujący otrzymał z mózgu rozkaz wstrzymania, ale knykieć drgnął i list zniknął w otworze. W pierwszej chwili chciałem biedz na pocztę, aby zrobić zastrzeżenie zwrotu; ale powiedziałem sobie, że daleko praktyczniej będzie poprostu wrócić do domu, siąść i napisać dalszy ciąg, dopełnienie. Paliło mnie. Szedłem dość żwawo, potrącając przechodniów, układając sobie w głowie cały plan ata-

ku na Was. Szykowałem argumenty jak wojska, maskowałem po napoleońsku artyleryę, która w zupełności zastąpiła miażdżące szarże naszej skrzydlatej husaryi, — kiedy nagle zetknąłem się oko w oko z Bronką. To ta modelka, o której Wam już raz wspominałem. Byłem na nią wściekły, że mi zaszła drogę; lękałem się bowiem, że mi jaki argument uleci z głowy, albo że uronię wątek rozumowania. Ale szelma dziewczyna schwyciła mnie za rękaw i zatrzymała.

— Dokąd to tak spieszno człowiekowi szalonemu?

Widzicie, już nawet modelki wymyślają mi od szalonych!

Odrazu poprawił mi się humor i powiedziałem sobie, że do następnej poczty mam około pięciu godzin czasu.

Bronka wyglądała wspaniale. Miała na sobie burkę od Hersego, taką dyablo miękką; jak się człowiek o nią otrze, to doznaje wrażenia, że na niego z tej burki przeskoczyła iskra elektryczna. Deszcz zacinał, a wiatr dął gwałtownie. Kasztanowate włosy Bronki były przemoczone. Po raz pierwszy zauważyłem, że dziewczyna ma oczy całkiem zielone, niby dwa szmaragdy w kształcie migdałów. Dalibóg, oczy jak u kota! Tylko kot ma oczy okrągłe. Widywałem ją zazwyczaj wieczorem, a wtedy miewała oczy piwne, niekiedy czarne Ale zielone!?...

Szalone oczy!

Powiedziałem jej to. Będzie z jaki tydzień szczęśliwa! Te modelki gardzą właściwie każdym, kto nie maluje lub nie rzeźbi. W okresach wolnych przyjmują posady konkubin u nieżonatych fabrykantów; ale komplementy przyjmują tylko z ust literatów.

Razu pewnego spytałem się jej: dlaczego? Odpowiedziała z uśmiechem figlarnym: Bo oni to umieją powiedzieć!

Więc i ty, rybko, wiesz już, co to znaczy «umieć powiedzieć»? —

Szliśmy obok siebie żartując. Czasem wskutek żywej rozmowy potrąciliśmy się, a wtedy humor mój leciał w górę jak słupek rtęci w barometrze.

— Wstąpmy do Gucia — rzekła Bronka, skręcając w bramę.

Pisałem Wam już dawniej o Gustawie Szaniawskim. Przeziębił się znowu i leży.

Strasznie wysoko do tych orlich gniazd! Windowaliśmy się z Bronką jakie dziesięć minut, przystając na każdem półpiętrze. Sięgam w górę okiem: potop schodów! Jeszcze schody, jeszcze jedne i jeszcze...

Z każdej kuchni wyzierała służąca. Stare na widok Bronki trzaskały drzwiami, młode uśmiechały się, obrzucając nas spojrzeniem, i nucąc pod nosem, zamykały drzwi bardzo wolno.

Dobiliśmy wreszcie do siedzib «sfer najwyższych».

Sfery te są istotnie najwyższe z dwóch powodów. Najpierw ze względów wertykalnych, a następnie z powodów przekonaniowych.

W sferach handlowo-przemysłowych zaczyna się człowiek na dyrektorze i kończy się człowiek na dyrektorze.

Wedle pojęć, które zagnieździły się w tych «orlich gniazdach», człowiek, *homo sapiens*, to tłum, to ludzkość. Od artysty rozpoczyna się dopiero Nadczłowiek.

Fryderyk Nietsche gatunkiem tym wypełnił ważną lukę w hierarchii stworzenia i zczepił niejako ziemię z niebem. Pomiędzy człowiekiem, a aniołem płci męskiej istniała przepaść. Teraz ogniwa gatunków idą nieprzerwanym łańcuchem aż do tronu Stwórcy: bydlę, człowiek, artysta (nadczłowiek), anioł — Bóg!

Bronka biegnie odrazu do drugiego pokoju, gdzie rzeży Szaniawski. Zdejmuję paltot i rozglądam się po pracowni.

Trzy zaczęte obrazy, dwa niedokończone, kilka szkiców na podłodze opartych o ściany, otomana, stolik taki za dwa ruble, przed nim fotelik roccoco, fotografie, luźne kartki. Jeden z zaczętych obrazów przedstawia Madonnę stojącą na półksiężycu i podnoszącą oczy w niebo. Drugi wyobraża leżącą na otomanie Bronkę, naturalnie bez burki od Hersego i bez wielu innych rzeczy, ale obróconą twarzą do widza. Natomiast trzeci z zaczętych obrazów wyobraża Bronkę również bez burki od

Hersego i bez wielu innych rzeczy, lecz odwróconą od widza nietylko twarzą, ale wszystkiem.

Pierwszy z niedokończonych obrazów przedstawia Bronkę odartą z konfekcyi damskiej do pasa, a drugi wyobraża św. Genowefę i ma iść do bocznego ołtarza w Wólce Czubatej. Biedny ludek nawet się nie będzie domyślał, że klęknie przed obrazem, malowanym przez ostatniego ateusza!

Rozejrzałem się w szkicach. Kilka z nich wyobrażało składowe części Bronki; miałem więc przed sobą trzy nogi jej, pięć rąk, dwie twarze, wreszcie tors bardzo «biorący»; czy wierny, trudno mi osądzić, gdyż nie byłem nigdy świadkiem posiedzeń. Śród fotografii wpadła mi najpierw w oko Leda z opuszczoną na piersi głową do dziobu łabędzia, następnie jedna z nieżyjących aktorek w kostyumie literalnie własnej skóry, któremu swoją drogą trudno było doprawdy coś zarzucić, dalej kilka nimf, kilku Apolinów, wreszcie szereg scen z Owidyusza «De arte amandi».

Gdyby w tej pracowni znaleźli się nasi moraliści, nasze skromnisie, wreszcie cały szereg innych naszych, zawrzałby krzyk oburzenia. Nazwanoby Gucia cziowiekiem szalonym.

Nie! Tu wszystko świadczy o najzupełniejszej normalności.

Nie spotkałem w życiu normalniejszego Nadczłowieka!

Zresztą zaświadczy to krytyka.

Tylko niekiedy, gdy jakiś istotnie szalony człowiek spojrzy na to, zaczyna się to wszystko ruszać, grozić oczami, wykrzywiać usta w konwulsyach rozpaczy, wyciągać ręce ze stalug, z ram, z «orlich gniazd», z tej wyżawy na bruk uliczny, gdzie w życiu tworzy się jakiś przerażający dalszy ciąg, pełen klątw, łkań bezsilnych, pełen straszliwej beznadziejności, zakończony szpitalem i pogrzebem żebraczym...

Tak, gdy jakiś szalony człowiek patrzy na to, wtedy w jego mózgu poczynają odkrywać się wzajemnie jakieś kontynenty, krążą tam jakieś Kolumby wykazując, że to się z sobą łączy, wiąże, dopełnia, tłómaczy, — jakieś Kolumby, sunące z rozwianym włosem i oczyma w słup...

Gustaw wezwał mnie do siebie. Bronka zmieniła mu była tymczasem okład. Leżał teraz na poduszkach. Dziwne wrażenie wywierała ta chora młodość. Czoło nieco wąskie, lecz wysokie; oczy czarne, takiej samej barwy wąsy i bródka w klin o delikatnie skręconym włosie. Okno było przysłonięte firanką, na krześle obok poduszek paliła się świeca; cień Gustawa w całej długości występował na ścianie. Jakże dziwne zjawisko! Podczas kiedy twarz Gustawa uśmiechnęła się uprzejmie na powitanie, oczy zagrały życiem, a usta rozchyliły się do wypowiedzenia słów powitalnych — na ścianie mgławiła się mara na wznak leżąca, z rękami na piersiach, z rozwartemi martwo ustami...

Bronka nastawiła samowarek, a Gustaw za-

czął biadać nad losem kapłanów sztuki. Był to jego ulubiony temat. Narzekał na podły tłum i wyliczał szereg udręczeń, jakiemi prześladuje plemię artystów. Wtedy kolnęło mnie coś po raz pierwszy.

My kapłani sztuki, mówił, dajemy ludzkości wszystko, nasze natchnienie, ciało i krew naszą, kształcimy ją, wychowujemy estetycznie, podnosimy ze stanu zbydlęcenia bezmyślnego, uczymy czuć, wnikać w siebie, tworzymy piękno nieśmiertelne...

Wtedy kolnęło mnie coś po raz drugi. Żywo stanęły mi przed oczami wszystkie przez Gucia odtworzone składowe części Bronki bez burek od Hersego i bez wszystkich innych rzeczy z zakresu konfekcyi damskiej; części te były bezwarunkowo piękne, aczkolwiek nie mogłem wyrozumieć, jaki związek mają z pojęciem nieśmiertelności; wiedziałem, że jeden obraz pójdzie do mnie, drugi do brata Gucia, ale natomiast nie mogłem pojąć, jakim cudem ja z bratem Gucia stanowić mamy ludzkość i to niewdzięczną!

A gdy Gucio raz jeszcze nawrócił do tematu kapłaństwa swego, kolnęło mnie coś po raz trzeci i rzekłem:

— Niech mi pan, panie Gustawie, wytłómaczy jedno. Dlaczego malowanie Bronek bez burek od Hersego i bez wielu innych rzeczy ma być kapłaństwem i dlaczego właściwie ludzkość ma za to padać twarzą w proch przed pańskiemi stalugami? —

Wtedy Gucio począł się bardzo gniewać, powiedział mi, że nie posiadam zupełnie zmysłu estetycznego, że jestem filistrem, że nie umiem wnikać w siebie, że nie mam pojęcia, co to są nieuchwytne stany ducha, co to są nastroje, że gubię się w bezpłodnem rozumowaniu, że zamiast dać się opanować przez uczucie, popadam w spekulacyę, która ani filozofów, ani świata do niczego nie doprowadziła i nie doprowadzi, że z pewnością powołam się na jaką gałąź nauki, którą on doskonale zna, ale nią gardzi, bo to jest nieartystyczne, wreszcie oświadczył, że na świecie tylko jeszcze coś warci artyści, a prócz nich dobre modelki. Na co Bronka przyskoczyła do łóżka, siadła, przechyliła się aż na pierś Gucia i rzuciwszy się w tył, wskazała na niego mówiąc: «ten ma racyę», potem na mnie: «ten nie ma racyi».

Modelka *locuta*, *causa finita*.

Roześmiałem się i popatrzyłem w oczy Bronki, które przy blasku świecy z koloru zielonego przeszły w ciemno piwny. Dziewczyna złożyła ręce jak Bonaparte, w tył, oparła się o poręcz łóżka, podwinęła jedną nogę pod drugą i wpatrywała się w świecę. Szaniawski mówił dalej. Udawałem, że słucham. Bronka także udawała, że słucha, choć nietylko nie słyszała słów jego, ale nie czuła nawet moich spojrzeń. Dziwna melancholia rozlała się po jej twarzy. Zdawało mi się, że oczy jej stały się głębokie jak jakiś kraj, daleki, że tam widzę pola, łąki a na widnokręgu plamę drzew i za-

budowań. Niebo szare; ma się pod wieczór. Drogą na krępaku brudno-bułanym jedzie skrocza szlagon o siwych oczach i owisłych wąsach; zapomniał na chwilę o zwózce, o racie dzierżawnej, wpatrzył się w dal, w dal, aż ku Warszawie — i westchnął. Raptem machnął ręką gniewnie; potem w siwem oku zakręciła się łza, przeżegnał się, ściągnął cugle i ruszył rysią... Byłbym oczyma dalej w ślad za nim patrzył, ale w tej chwili poczułem na ręce dłoń Szaniawskiego, i usłyszałem: «tak, tak, kochany panie, ja mam bezwarunkowo słuszność» — i ujrzałem zamiast pola, oczy i twarz Bronki, która szybko otarła łzę i jakby ze snu zbudzona, otrząsnęła się, pytając lekko wystraszonym głosem: «Co? Co?» Szaniawski zaś kończył: «To nie można patrzyć okiem człowieka normalnego na takie rzeczy, jak pan to czynisz. Musisz pan choć trochę umieć być szalonym...»

Krew buchnęła mi falą do głowy, poczułem grożący mi atak wściekłości, ale nim zdołałem uczynić lub bodaj pomyśleć cośkolwiek, Szaniawski dorzucił:

— Bronka, mogłabyś coś o tem powiedzieć z historyi swego życia...

Fala krwi odbiegła mi z mózgu do serca, popatrzyłem na modelkę, a pod jej szeroko rozwarte oczy padły cieniem zielonkawe półkola, w okolicy ust drgał nie bez trudu hamowany spazm, który po krótkiej chwili zamienił się w melancholijny uśmiech.

Wiedziałem, że przeszłość dziewczyny przedstawiała się dość tragicznie, ale znane mi były tylko luźne urywki, nie wiążące się w całość. Postać jej owiewała mi jeszcze jakaś tajemnicza mgła i bardzo pragnąłem, aby się ona kiedyś rozproszyła.

Z Bronki wprawdzie wyjątkowo trudno było coś wydobyć; ale nie traciłem nadziei, gdyż przemawiała za mną pewna korzystna okoliczność, która sprawiła, że aczkolwiek nie należałem do sfery Nadludzi, to znaczy, że nie byłem malarzem, obdarzała mnie nieco wyjątkowymi względami. Idąc bowiem razu pewnego w towarzystwie dam «normalnych», ukłoniłem się jej poważnie, z szacunkiem, naturalnie.

Mógłbym ją teraz bardzo pokrzywdzić; nie pamiętałaby mi tego za ten jeden prosty, naturalny ukłon.

I dlatego Bronka stanęła mi bez porównania wyżej od Szaniawskiego. Ona zrozumiała, że tak nie postępuje człowiek normalny.

Ona poznała we mnie człowieka szalonego...

LIST IV.

Kochany panie Ludwiku!

Kilka razy zabierałem się do pisania i dalibóg nie mogłem. Może dziś mi się uda.

Bronka tedy siedziała na łóżku i najpierw poczęła się śmiać, ukrywszy twarz w rękach. Potem

z po za rąk popatrzyła kilkakrotnie na Szaniawskiego i na mnie — i znowu śmiała się.

Nie mogłem zrazu wyrozumieć, o co jej chodzi. Nagle uniosła śmiejącą się twarz a na wierzchnią część ręki padła mi z roześmianej twarzy łza, zupełnie jak to czasem pada kropla rosy z poruszanego wiatrem drzewa, gdy burza minęła a w górze błękitne niebo.

Potem wyszeptała: «eh, co ja tam będę opowiadać» i znowu się śmiała. Następnie rzekła: «Bo ja jestem szlachcianka, mam papiery w porządku!» i zwracając się do ściany szeptała: «Tak, Stefek, Stefek, od niego się wszystko zaczyna» a następnie, nie patrząc na mnie, do Gucia: «Chyba wszystko od początku, co?»

Zrazu wahając się, plącząc, potem coraz potoczyściej, zaczęła opowiadać...

Nie, nie, panie Ludwiku, nie dziś, nie dziś!

Jezus Marya!... Biedna, biedna dziewczyna!...

LIST V.

Kochany panie Ludwiku! Opowiadam prawie dosłownie...

«Ja byłam ładna... Doprawdy... Ładniejsza niż dziś. Włosy miałam zupełnie jasne. Teraz są kasztanowate, ale wtedy były zupełnie jasne. I oczy miałam jasne, mleczne. A przedewszystkiem byłam strasznie głupia!

«Teraz kiedy jestem za mądra, widzę dopiero,

że dziewczyny bywają strasznie głupie. Miałam siedmnaście lat i o niczem nie wiedziałam...

«Jeszcze i teraz mam płeć ładną; to nietylko Gutek powiada, ale i inni, którzy mnie malowali. I szyję mam ładną. Ale najładniejsze mam kolana. Kiedy miałam lat siedmnaście, to ani mi przez głowę nie przeszło, aby ładne kolana coś znaczyły...

«Tatuńciowi powodziło się coraz gorzej. Jak mu ostatecznie w Kieleckiem sprzedali majątek, przenieśliśmy się do Warszawy, gdzie się tatuńcio starał przez gazety i stosunki o miejsce rządcy, albo dzierżawcy. To wtedy miałam akurat siedmnaście lat.

«Oho my ze starej szlachty! Ja nie byle co... Nie!

«Stefek pomógł tatuńciowi poznać się z dzisiejszym właścicielem tej wioski... Jak się nazywa? Nie, nie powiem... Wioska? Nie powiem... Stefek? O, nie powiem nigdy! Stefek się nazywał, niech to wystarczy!

«Ja nawet nie wiedziałam, że go kocham!... Potem, jak to tatuńciowi załatwił, bywał u nas co wieczór. Matka się nim nie zajmowała, bo mieliśmy dużo dzieci; najmłodszemu liczyliśmy rok. Ile razy matka karmiła je przy Stefku, tyle razy czerwone rumieńce biły mi na twarz... Ale matka nic sobie z tego nie robiła. Najstarszy brat miał lat czternaście i o niczem nie wiedział! No, jakby on się był dowiedział!

«Wszystko mi się podobało u Stefka. Zacho-

działa też czasem do nas jego ciotka. Dopiero się później dowiedziałam, że to nie była ciotka. Takie baby powinno się wieszać przy drogach...

«Ona umiała mi wszystko wmówić. Zdawało mi się wtedy, że nikt się tak ładnie nie ubiera, jak Stefek, nikt nie jest tak mądry, jak Stefek, tak dobry, jak Stefek...

«Mądry to on jest — ale dobry...

«Nawet zaczęły mi się łysiny podobać, bo Stefek ją miał. Dlaczego nie?? On sam śmiał się z tej łysiny i kazał mi klepać się po niej.

«A wie pan, że ta bileterka w Rozmaitościach, ta, która umarła, to podobno dawniej tak sobie z łysinami pozwalała, że jak wyprzedała czasem bilety, to na galeryi ludzie za boki się brali ze śmiechu. Bo usadowiła wszystkich z łysinami na krzyż, krzesło w krzesło...

«Co? Nieprawda? Przecież mi to Józka opowiadała... Pan nie zna Józki?... No, to brat pana zna Józkę dobrze. Może ona zresztą kłamie, bo to strasznie sprytna dziewczyna; ale sama także umie podobne rzeczy robić... Gutek zaświadczy.

«Jak ona raz Gutka wzięła na kawał! Cha, cha, cha, cha, cha, cha...

«A ze Stefkiem to było dalej tak. Nagle przestał bywać. Ale to tak nagle, bez najmniejszego powodu. Chodziłam od rana do wieczora jak pijana i nie mogłam sobie rady dać. Raz tylko zaszła ta ciotka i powiedziała oschle, że Stefek niema czasu. No, dzień drogi, ale wieczór! Po dwóch tygo-

dniach wysunęłam się sama na ulicę i akurat spotkałam ją. Znowu pytam o Stefka. Zajęty. Ciotka jednak, mówiąc to, wpatrywała się we mnie dziwnie a potem rzekła, że jeżeli kocham Stefka, to powinnam starać się ułatwić mu wszystko w życiu. Bośmy się dawniej porozumiały, że Stefek to jak mój starszy brat a starszego brata trzeba kochać...

«Cha, cha, cha, cha, cha...

«Na koniec powiedziała, że jeśli Stefek niema czasu, to ja powinnam na chwilę wpaść do niego. Nie pamiętam już, co jej na to odpowiedziałam, ale ona serdecznie mnie uściskała i kazała mi obdarzać się zupełnem zaufaniem.

«Gdy wróciłam do domu, mamusia okropnie mnie skrzyczała za to, że bez opowiedzenie się wyszłam na ulicę. Ale ja uszy po sobie — buc mamę w rękę — i do kąta. Obejrzałam się. Nie było nikogo. Wyjęłam lusterko i zaczęłam się sobie przypatrywać. Tu — tu — z obu stron na policzkach miałam takie małe ale silne rumieńce, źrenice tak się rozszerzyły, że oczy były prawie czarne. Nie czułam bicia serca a jednak coś się we mnie takiego zrobiło, że gdyby mi kazali rzucić się na wojsko, albo ukraść coś, albo skoczyć z okna, wszystko byłabym uczyniła bez najmniejszego wahania...

«Iść do Stefka!?...

«Czytałam wtedy pewien romans francuski... tytułu nie powiem, bo by się pan ze mnie śmiał... No, nie powiem i koniec! Ten romans to mi dała owa ciotka.

«Tam wiele było powiedziane, bardzo wiele. choć mało z tego zrozumiałam i niektórych rzeczy mogłam się tylko domyślać. Ale to mnie odurzało jak czasem wiosną zapach czeremchy. Dziwne myśli przychodzą do głowy, kiedy czeremchy kwitną. Wy chcielibyście, żeby czeremchy sadzono przy wszystkich ulicach i żeby kwitły cały rok!

«Stefek mi to powiedział. A wtedy w oku jego zamigotało coś, potem wybuchnął śmiechem i śmiał się może przez pięć minut. Nakoniec powiedział mi, że jestem głupia i że powinnam jego ciotki słuchać, bo to jest wytrawna kobieta.

«Tego samego wieczoru około siódmej wykradłam się znowu na ulicę i znowu zetknęłam się z ciotką. Nie znałam wtedy Warszawy, więc nie pamiętam, jakiemi szłyśmy ulicami. Ale nagle ciotka stanęła przed jakąś kamienicą i zapytała mnie znienacka: A nie wstąpimy do Stefka?

«Ja zaczęłam drżeć na całym ciele, ale nic nie odpowiedziałam. Tchu mi tylko na chwilę zabrakło w piersi. Zmogłam się i weszłyśmy do sieni. Stamtąd na podwórko i w lewą oficynę po schodach...

«Nie pukałyśmy nawet do drzwi, bo zaledwie poczęłyśmy się do nich zbliżać, kiedy otworzyły się na oścież, ujrzałem Stefka, twarz mu promieniała, oczy migotały. Ująwszy mnie za obie ręce zawołał jakby z uznaniem, czy pochwałą: Ah — ah — ah — ah!...

«Nie będę dalej opowiadała... Poco?!... Będziecie śmiali się ze mnie...

«Co?—więc naprzód siedliśmy z nim i z ciotką na otomanie i rozmawialiśmy tak, jak u rodziców. Zupełnie tak samo. Potem Stefek poczęstował nas cukierkami. Chciał nalać wina, ale ja wina w życiu swojem nie piłam. Stefek nie nalegał, za co mu byłam bardzo wdzięczna, gdyż czułam, że byłabym mogła upić się jednym kieliszkiem i potem głupstwa gadać...

«Było mi ogromnie dobrze u niego i przy nim. Szumiało w głowie i raz za razem chwytałam go za rękę.

«Ciotka nam nie przeszkadzała, gdyż zajęła się nastawieniem samowaru. Dziwiło mnie to trochę, że taki pan jak Stefek niema na zawołanie służby. Ale Stefek powiedział, że nie lubi męskiej obsługi, służąca zaś wyszła na miasto i jeszcze nie powróciła. Zresztą wszystkim nam się zachciało herbaty a poczciwa ciotka nie dała sobie pomagać, twierdząc, że osoba w moim wieku powinna dbać o ręce; ona co innego, wyszła już z lat i jej potrzebne nie białe ręce ale poczciwe serce...

«Oni wszyscy piją szalenie mocną herbatę. Stefek nalał sobie kieliszek rumu, mnie także nalał; a gdy powiedziałam, że pić nie będę, odparł, że za mnie wypije. Wtedy ciotka poklepała mnie po ramieniu; uściskałam ją... Piję herbatę dalej... jakaś gorzka... Stefek, śmieje się... Woła: może cukru

chce Brońcia? I podaje cukiernicę. Roześmiałam się i wypiłam herbatę duszkiem.

«Zaczęliśmy ze Stefkiem grać w łapki. Oglądam się, już herbata nalana. Ciotka zapala papierosa, upiłam trochę herbaty, bo mi się nieco mąciło w głowie a tu ciotka mnie znowu klepie po ramieniu. Ściskam ją, nagle obracam się, a Stefek cofa od mojej szklanki rękę z kieliszkiem. Zawołałam: Jak mamę kocham, co pan robi! A oni poczęli się ze mnie śmiać, powiadając, że jestem tak głupia, iż nawet smak herbaty zatraciłam. Podnoszę szklankę pod światło — niby rubin — czy to herbata? wołam... Poco we mnie wmawiacie!... Herbata, klnie się Stefek, słowo uczciwości, herbata, oh! to nie herbata, woła, porywając kieliszek i wychylając go do dna. Kiedy tak, dobrze. Śmieją się, aż się im twarze trzęsą. Chwytam szklankę i — jednym duszkiem...

«Stefek jest zachwycony. Rozmawiam wyłącznie z nim i przysuwam się blisko, on zaś ujmuje mnie wpół. Dziwi mnie tylko to, że nie doznaję zbyt wielkiego wrażenia, chociaż siedzimy tak blisko siebie. Gdybyśmy tak byli siedzieli u tatuńcia, jabym chyba zemdlała...

«Mówi mi Stefek długo i patrzy w oczy i ja jemu patrzę w oczy. Nagle tknęło mnie coś, oglądam się — ciotki niema. Gdzie ciotka, pytam. — A co ci do ciotki? odpowiada Stefek i śmieje się znowu. To ja pójdę do domu... Sama? Czy to panny wieczorami chodzą same po ulicach?... Pójdę,

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

żeby tam jasne pioruny biły! Kiedy Stefek tak gada, to właśnie pójdę... Niech Brońcia idzie, kiedy ma ochotę, nie zatrzymuję... Chcę się podnieść a tu ani rusz... On śmieje się, ciągle się śmieje, tylko śmieje, patrzy mi w oczy i śmieje się a ja także zaczynam się śmiać z tego, że nie mogę ruszyć się z miejsca...

«Na chwilę niknie mi wszystko z oczu, robi się dokoła czarno, dudni w uszach... Minęło... Znowu widzę przed sobą stół, lampę, szklanki, kieliszek i butelkę a z lewej śmiejącego się Stefka.

«Głowa opada mi lekko w tył... Wyprostowałam się natychmiast, ale Stefek to zauważył. Nachylił się i powiedział, że z pewnością dusi mnie pod szyją. Odgarnęłam lekko jego rękę i odrzekłam: niech już tak zostanie...

«Znowu pociemniało mi w oczach, znowu znikło wszystko, stół, lampa, nawet ściany...

«Kiedy otworzyłam oczy, nie ujrzałam już przed sobą stołu, tylko klęczał Stefek, trzymał mnie za obie ręce, patrzył mi w twarz...

«Było mi strasznie duszno... Oddechu chwycić nie mogłam... Stanik był rozpięty, a mimo to dławiło mnie... Ale to trwało krótką chwilkę...

«Potem znowu mnie omroczyło... Widziałam tylko w ciemnościach przed sobą wychylającą się głowę Stefka, jego twarz bladą, oczy zaszłe mgłą... Potem znikło wszystko, wszystko, wszystko...

«Raz tylko zdawało mi się, że lecę przez powietrze niebieskie na chmurze czeremchy. Odurzy-

ła mnie woń, przechyliłam się w tył, chwyciłam rękami, objęłam... Szyja... głowa...

«Potem zdawało mi się przez chwilę, że kamienieję, ogarniała mnie nieczułość... Potem już mi się nawet nic nie zdawało...

LIST VI.

«Czy pan wie, że mnie matka wybiła?...

«Uderzyła mnie w twarz, raz i drugi, płakała, przyskakiwała, pluła na mnie, potem chwyciła parasol i biła, biła...

«A ja klęczałam w kącie, ukryłam twarz w rękach i nic...

«Potem zaczęła mnie ściskać, prosić, zaklinać, wreszcie grozić. I znowu wpadła w straszny gniew, przeklinała mnie...

«Bodajem cię była nie porodziła, wołała, bodajeś była lepiej wtedy na tyfus umarła...

«Znosiłam wszystko cierpliwie. Ja byłabym się wtedy dała w kawałki porąbać, dałabym się posiekać, pokrajać...

«Matka chciała wydostać ze mnie tylko jedno jedyne słówko — u kogo byłam...

«Nie, jabym tego nigdy nie powiedziała! Ojciec by go zabił, napewnoby go zabił; a jeśli nie ojciec, to brat. Z szlachtą żartów niema, ja to dobrze wiedziałam!

«Ojciec tylko nie dokuczał mi. Pomizerniał, posmutniał, kazał natychmiast rzeczy pa-

kować. Po upływie tygodnia wyjechaliśmy na Litwę.

«Byłam jeszcze dwa razy u Stefka. Za pierwszym razem strasznie mi się wyjaśniło w głowie. Spłakałam się okropnie. Ale Stefek mi wytłomaczył, że to nic, że nie może być żadnych skutków, bo przecież nie braliśmy ślubu...

«Co ja tam zresztą o skutkach miałem myśleć, kiedy trudno mi było o czemśkolwiek myśleć. Zaczęłam dopiero trochę myśleć, kiedy pakowano rzeczy.

«Mieli ze mną nie mało kłopotu, bo nie chciałam wyjeżdżać z Warszawy. Jakto? Jechać gdzieś na koniec świata? Z Warszawy? Od niego?...

«Przychodziły mi najdziwaczniejsze myśli do głowy. Kiedy zabijano paki, ja siadałam przy oknie i patrzyłam po dachach. Przelatywały jaskółki, a ja myślałam sobie, że te jaskółki mogą lecieć, gdzie chcą, a ja muszę odjeżdżać na Litwę...

«Kilka razy usiłowałam wymknąć się z domu; ale już mnie pilnowano. Idę do drugiego pokoju, matka za mną — do kuchni, matka za mną.

«I znowu siadywałam przy oknie i patrzyłam na gromadzące się na dachach wróble. Myślałam sobie: wróblętom tym wystarcza trochę słomek na gniazdko, czyż mnie trzebaby więcej?...

«Przytuliłabym się gdziekolwiek, na progu, na schodach, byle te schody należały do Stefka...

«A kiedy już było coraz bliżej do wyjazdu,

ogarniała mnie rozpacz i powiedziałam sobie, że nie pojadę, umrę, ale nie pojadę.

«Matka chodziła krok w krok za mną. Ciągle popłakiwała, ale oka ze mnie nie spuszczała. Czasem tylko pytała przez zęby: U kogo byłaś?

«Stefek nie kazał mówić, bo, powiada, byłyby nieprzyjemności ze względu na to, że rodzice mają inne poglądy na wychowauie kobiet, a miasto inne.

«Raz jeden próbowałam uciec. Już zajechały fury pod rzeczy, zaczęto paki znosić, jakoś matka na chwilę straciła mnie z oczu, zakręciłam się i wybiegłam kuchennemi schodami na ulicę.

«Nie byłabym może tego zrobiła, ale gdy wyglądałam przez okno, dostrzegłam ciotkę. Już po raz drugi przechodziła chodnikiem przeciwległym i od czasu do czasu popatrywała ku górze.

«Gdy mnie dostrzegła, usunęła się do najbliższej bramy. Ja za nią. Powiada: słóweczko! Słucham. Powiada: zapamiętaj sobie na wszelki wypadek mój adres. Rzuciłam się jej z płaczem na szyję, a ona rzekła, że jestem bardzo głupia, i że nikt mi zdrowej rady z mego otoczenia udzielić nie umie; więc powinnam dobrze zapamiętać sobie jej adres, gdyż polubiła mnie i w razie danym gotowaby wiele dla mnie zrobić. Mówiła dość prędko i dziwnie szorstko. Zdawało mi się wtedy, że do niej stosują się słowa tatuńcia, iż najlepsze serca miewają nieraz ludzie opryskliwi i szorstcy.

«Nagle zrobił się hałas na ulicy. Szukano mnie. Ciotka gdzieś znikła. Chciałam przemknąć

się między furami, ale tatuńcio dopadł, chwycił mnie za rękę i sapiąc, wprowadził na trzecie piętro.

«Wtedy postanowiłam odebrać sobie życie. Słyszałam, że pewna pensyonarka zabiła się szydełkiem. Wbiła je sobie w łzawnicę. Szydełko było wprawdzie w koszyczku mamuńci, ale cóż! Nigdy szydełkiem nie robiłam, więc bałam się, że się tylko skaleczę i nic więcej. Zresztą i to słyszałam, że o pensyonarkach różne cuda opowiadają, w które nie zawsze można wierzyć.

«Przypomniały mi się zapałki o łebkach fosforowych. Teraz takich nikt nie używa. Ale myśmy tylko takie mieli w domu, bo tanie. Ułamałam łebki z całego pudełka — połknęłam.

«Ale zamiast śmierci zrobiło się wielkie głupstwo. Zlecieli się, zobaczyli pudełko z ułamanem zapałkami i załatwili się ze mną bardzo prędko.

«Kiedy już mieliśmy się ubierać i nie było rady, sposobu, stanęłam raz jeszcze przy oknie i spojrzałam w niebo. A było akurat takie śliczne, takie pogodne!

«Zaczęłam się modlić do Boga, do tego wszechmocnego Boga, który wszystko może uczynić, co tylko zechce. I modliłam się zalana łzami, aby nie kazał mi wyjeżdżać, aby pozwolił mi zostać tam, gdzie Stefek, aby uczynił coś takiego, bym koniecznie została... Prosiłam go, błagałam, patrząc w jasne niebo... Jedno mrugnięcie oka, dla

mnie, dla biednej dziewczyny!... Cóżby Mu to szkodziło!...

«Ogarnęła mnie taka żarliwość, że wpatrując się w niebo, chciałam koniecznie coś zobaczyć i zdawało mi się, że zobaczę. Ale pojawiły się tylko lekkie, bielutkie chmurki, jak baranki, potem poczęły czerwienieć, bo to było pod zachód słońca...

«Potem mnie ubrali... Potem dudniła dorożka... Potem dudniła kolej... Potem chrapały konie... Potem rozpoczęło się życie na wsi, szare, jednostajne...

«Nie brałam się do żadnej roboty; nie wymagał nawet nikt tego odemnie. Siadywałam całemi godzinami przy oknie, patrząc bezmyślnie na rozgarniające ziemię kury, na puszącego się indyka, na otrzepujące skrzydła kaczki.

«Nie wiedziałam, gdzie jestem: daleko, czy blisko? Nic mnie nie obchodziło. Nie dbałam ani o ojca, ani o matkę, ani o rodzeństwo, o nic...

«Powoli jednak zaczęła budzić się we mnie tęsknota i żal... Żal za Stefkiem...

«Wychodziłam przed dom i patrzyłam w stronę zachodu. Nie wiedziałam, w której stronie leży Warszawa, ale coś mi mówiło, że — tam...

«Tam — tam — tam!

«Patrzyłam — tam — i starałam sobie wyobrazić pokój Stefka. I wtedy znowu poczęły najdziwaczniejsze myśli chodzić mi po głowie...

«Stefek przechadza się po pokoju... Chciałam być podłogą, po której chodzi...

«Stefek bierze laskę i wybiera się na przechadzkę... Chciałabym być laską Stefka, której rączkę dłoń jego obejmuje...

«Chciałam być książką, którą czyta; obrazem, na który padają jego oczy...

«Stefek miał dużego, ślicznego psa... Chciałam być psem tym, który łasi się u jego nóg, idzie za nim krok w krok, kładzie się w progu, popatrując jeno w stronę pana... Gdy Stefek spać się położy, on układa się obok łóżka i pilnuje go... Chciałam być psem, pilnującym tego pana mojego...

«Stefek nosił zawsze kwiatek w dziurce od guzika... Chciałam być kwiatkiem tym...

«Chciałam być szklanką której ustami dotyka... Lampą, która mu wieczorami przyświeca...

«I nie mogłam być nawet tem, czem mu była szklanka, laska, kwiatek, czem mu był — pies...

LIST VII.

«Patrzyłam — tam — i nagle ogarnęła mnie nieprzeparta chęć ucieczki.

«Mijały tygodnie, miesiące. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Ale jak uciekać? Gdzie? W którą stronę?

«Wiedziałam tylko, że — w tamtą!

«Kiedy uciekałam po raz pierwszy zatrzymano mnie we wsi sąsiedniej.

«Po tygodniu wymknęłam się nocą i ukryłam

się w borze. Ale ujął mnie gajowy i zatrzymał, dopóki z domu nie nadbiegli.

«Rozeszło się po okolicy, że u tatuńcia w domu jedna z córek — niespełna — tego — ten...

«Była to późna jesień, kiedy uciekłam po raz trzeci. Ale tym razem ułożyłam sobie cały plan w swojej głupiej głowie. Powiedziałam sobie, że nie dostanę się — tam — jak ptak, ale jakiemiś drogami, kolejami. Nie wiedziałam, jak się nazywa najbliższa stacya. Pamiętam tylko, którą drogą przyjechaliśmy do —

«Byłabym się złapała! Nie! nigdy się nie dowiecie, jak się wioska nazywa, w której moi mieszkają...

«Nie mogłam się przecież nikogo rozpytywać, bo wzbudziłoby to podejrzenie. Droga koleją wymaga kupienia biletu, a ja nie miałam ani grosza.

«Razu pewnego ojciec zostawił kluczyki na stole. Dobrałam się do jego biurka i — ukradłam mu pięć rubli...

«Było to około trzeciej popołudniu. Szybko wdziałam płaszczyk, zarzuciłam chustkę na szyję i wymknęłam się z domu niepostrzeżenie.

«Niebo było mgliste i padał drobniuteńki deszczyk, niby mak. Brnęłam po kostki w błocie i odrazu przemoczyłam sobie nogi. Ale co tam! Powiedziałam sobie, że wysuszę je u Stefka!

«Ruszyłam przez sad, okrążyłam lasek, sunąc ku moczarom. Wiedziałam, że tędy za mną nie

pogonią. Jak długo szłam nie pamiętam; ale wnet poczęło ciemnieć i mokradła, pola, niebo, wszystko utonęło w szarym mroku.

«Nagle zapadłam się w trzęsawiskach po kolana. Zaszargana, obłocona, zziajana, spotniała, wygramoliłam się na brzeg, patrząc w dal za moczary, przez które chciałam koniecznie przejść, bo wydawało mi się, że tamtędy będzie bliżej do Warszawy, do Stefka...

«Wtem posłyszałam tętent konia. Zerwałam się i poczęłam uciekać. To pędził koniuszy, z którym tatuńcio dobrze żył. Dognał mnie niebawem, skoczył z konia, chwycił za ramię.

«Był to bardzo dobry i litościwy człowiek. Miał już z jakie sześćdziesiąt lat, choć wyglądał na mężczyznę czterdziestoletniego. Zaczął mnie głaskać pod brodę, tulić, uspokajać, perswadować. Mówił: tatuńcio kazał mi panienkę dostawić... niech panienka nie martwi biednego tatuńcia... tatuńcio nic panience nie zrobi... co panience w świat uciekać?...

«Zaczęłam go prosić, aby mnie puścił, błagałam go a wreszcie wyjęłam owe pięć rubli, aby go przekupić.

«Śmiał się tylko serdecznie, głaskał i prosił jak jaka piastunka. Obiecywał mi złote góry, jeżeli tylko powrócę...

«Gdy prośby i zaklinania nie pomogły, wtedy rzekł, iż mnie nie puści samej do kolei, ale odprowadzi. Ruszyliśmy. Po drodze natknął się na nas

jakiś chłop. Koniuszy zdał mu konia i kazał go odprowadzić do nas. Chłop ujął konia za cugle i niebawem zniknął we mgle, która jęła podnosić się z pól. Szliśmy dalej. Tymczasem po upływie jakiejś godziny zaturkotała za nami bryczka, miała nas minąć, ale konie zaryły kopyta w piasku, stanęły...

«Na bryczce siedział tatuńcio...

«Usadowili mnie obok niego. Tatuńcio był przybity, milczał, rzekł tylko: na złą córkę nie patrzę nawet...

«Kiedy stanęliśmy przed domem, kiedy schodziłam z bryczki, kiedy mijałam próg domu, wstyd palił mi twarz. Nie śmiałam na nikogo oczu podnieść.

«Nazajutrz matka kilka razy uważniej mi się przypatrywała.

«A w kilka dni — już mnie nie usiłowali nawet zatrzymać — sami kazali założyć do bryczki — trudno było mnie dłużej w domu — bo — bo —

«Bo — bo — tusza moja — —

LIST VIII.

«Do Stefka! Do Stefka!

«Do Stefka! wiał mi wiatr, szumiały drzewa, turkotały koła, huczały szyny pod pociągiem, świszczała lokomotywa!

«Do Stefka! mówiła mi moja walizka, ka-

żda twarz podróżnego, każda latarnia, każda stacya!

«Do Stefka! zawrzało mi w uszach, kiedy na stacyi Terespolskiej wszystko poczęło się pchać do wyjścia, kiedy obskoczyli nas tragarze.

«Do Stefka! grzmiały mi koła dorożki, bił deszcz w twarz moją, turkotał most żelazny na Wiśle, mówił mi rosnący gwar Warszawy!

«Jak ja do tego Stefka trafiłam, tego sobie nigdy nie wytłomaczę!

«I jakie to było powitanie — tego także nigdy nie zapomnę...

«Otworzyłam drzwi — rzuciłam się w stronę Stefka — on wytrzeszczył oczy, odsunął się o krok i rzekł chłodno: A co ty tu robisz??

«Stefek!!...

«Potem rzekł: czy masz już jakie mieszkanie?

«Rozglądałam się dokoła, to patrzyłam na niego... Coś mi się w głowie pomieścić nie mogło...

«I rzekł znowu: zabieraj się najlepiej zaraz do ciotki; o tej porze jest jeszcze w domu. Pamiętasz jej adres? Przecież ci go podała...

«Chciałam go ująć za rękę. Wziął mnie za obie dłonie, uśmiechnął się ku mnie, rzekł przyciszonym głosem: nie bój się, to się na to poradzi...

«I — poradzili mi — na to...

«Leżałam dwa tygodnie w łóżku. Potem ciotka zaczęła mi różnych rad udzielać. A ja nic. Powiada mi raz za razem: głupia jesteś moja panno!

A ja nic. Odpowiadam jej tylko: kocham Stefka i do Stefka chcę. Mówi mi: Ale Stefek cię nie chce! — Ja nic.

«Stefek jednak zaszedł kilka razy do mnie, a nawet pozwolił, abym go odwiedzała.

«I znowu wyładniałam i Stefek znowu inaczej na mnie patrzył.

«Zaczęliśmy trochę hulać...

«Stefek coraz częściej oprowadzał mnie po pracowniach i zapoznawał z malarzami. To wesoły naród! Ale niech ich, jak oni z nami wychodzą...

«Razu pewnego urządzili u Julka bibę. Poprzebierali się za bożków greckich a mnie kazali być Wenerą.

«Już nie upijałam się tak łatwo i pamiętałam, co się ze mną działo. Ale były chwile, kiedy uczuwałam wstręt do nich wszystkich, nawet do Stefka...

«Przecież on się tak podle ze mną wtedy obszedł! Młodą, głupią dziewczynę zwabić, spoić uwieść i nawet nie powiedzieć jej, co z nią zrobił...

«A potem, kiedy ona rwała się do niego, leciała przez światy nieświaty, przyjąć tak... A potem — tamto — potem te ciągłe docinki, te kpiny...

«Oni mnie psuli — i zepsuli...

«Pod koniec owej biby u Julka znowu zrobili ze mną, co chcieli... Julek począł mi się oświadczać a Stefek popierał go. Mąciło mi się w głowie,

traciłam chwilami pamięć, odsuwałam tylko obu rękami głowę Julka, który stawał się coraz natarczywszym. Wtedy Stefek zaczął się śmiać po dawnemu — nic, jeno się śmiał. Chwycił mnie z tyłu za ręce, przegiął ramiona i śmiał się. Przechylił się ze mną przez otomanę i śmiał się. Ujrzałam tylko tuż nad sobą twarz Julka i straciłem przytomność.

«W godzinę potem, kiedy już zupełnie wytrzeźwiałam, kiedy zaczęliśmy pić czarną kawę z likierami, Stefek napadł na mnie z udanem oburzeniem: A to ty taka? Co? To ty mnie tak kochałaś? Ja tęskniłem za tobą, wyglądałem cię, opiekowałem się tobą a ty mnie zdradzasz dla Julka? Tak?

«Zaczął się ubierać. Rzuciłam mu się do nóg i czołgałam się za nim do drzwi...

«Dygotałam z zimna, okaleczyłam sobie ciało o drzazgi podłogi, ale nie puszczałam nóg jego. Wtedy Julek nachylił się nademną, zaczął do mnie przemawiać, przedkładać mi, ujął mnie za obie ręce, odczepił od nóg Stefka, wziął jak piórko na ramiona; obnosił po pracowni, kołysał, nucąc francuskie kołysanki. Obejrzałam się ku drzwiom. Już były zamknięte.

«I zostałam u Julka. Zamieszkałam u niego. Julek ze mnie porobił kilka obrazów. Potem urządził bibę u Stasia.

«Po tej bibie zostałam u Stasia i Staś mnie malował.

«Potem malowali mnie inni. Oswoiłam się

z wieloma rzeczami, tylko z jedną nie mogłam się oswoić. Z brakiem Stefka...

«A Stefek wpadał w straszny gniew, ile razy zaszłam do niego.

«Potem nastały dla modelek złe czasy, gdyż malarze przestali malować kobiety i jęli robić same widoki.

«Nie byłyby złe czasy, gdyby nie moje fantazye. Oni chcieli mi dawać wszystko, lecz ja przyjmowałam tylko zarobione. Jakim sposobem? Jako modelka.

«Ja od Stefka nigdy nic nie przyjęłam! Nigdy! Jeśli chciał mi coś dać, musiał mi to sprzedać. Z początku dawałam mu więcej, potem mniej. Za złoty zegarek, który mi przywiózł z zagranicy, dałam mu sześć rubli. Potem dawałam mu za takie rzeczy po złotówce. No, potem jeszcze mniej... Za ten pierścionek dałam mu... kopiejkę...

«Przez okrągły rok musiałam mieszkać z jednym mydlarzem. Na szczęście znowu zaczęli malować trochę kobiety. Gutek pierwszy.

«Pan pyta, czy ja kochałam ciągle Stefka? Ja go zawsze... kochałam... A teraz??

«Teraz naturalnie kocham — Gutka...»

LIST IX.

Kochany Panie Ludwiku!

To trudno! Nie poznam pana z tą Bronką

chociaż pan twierdzisz, że nie widziałeś nigdy kobiety z zielonemi oczami.

Nie przyjeżdżaj pan zatem. Bronka miała w życiu zawielu «dobrych znajomych». Nie chcę powiększać koła tych «dobrych ludzi», Aczkolwiek szanuję pana bardzo, ale jesteś pan zbyt normalnym człowiekiem, abym odważył się zostać mostem, łączącym dwie takie dusze, jak Bronki i pana.

Co mam sądzić o pańskim liście?

Spletliście go z dwóch włókien, z ekstatycznej liryki i lichej filozofii. Liryka przypina Bronce skrzydła, filozofia je zdziera.

Powiadacie, że historya Bronki przedstawia się jako materyał literacki wspaniale; ale jako glina do lepienia teoryi społeczno-etycznych nie posiada żadnej wartości. Jest to według was fakt aż do znudzenia powszedni, zwyczajny, normalny...

Normalny!...

Niech was — z tą waszą normalnością...

Mniemacie, że u nas ładne dziewczyny są jak dotąd rzeczą całkiem normalną. I głupie są rzeczą całkiem normalną. I uwodzenie jest rzeczą normalną i robienie z kobiety «trzymiesięcznego weksla» puszczonego w kurs bez daty płatności jest czemś bajecznie zwyczajnem. I malowanie przez jakiś czas samych kobiet bez burek od Hersego i bez wielu innych rzeczy a potem malowanie przez jakiś czas samych widoków i widoczków jest czemś niesłychanie zwyczajnem. I ta zwyczajność, ta po-

wszedniość, ta normalność właściwie nikogo już dziwić nie powinna. Inaczej zdębiejemy pewnego dnia, gdy kot mysz ułowi, lub gdy kawka w oczach naszych porwie pisklę z przed kurnika.

Natomiast wygłaszacie mniemanie, że w historyi Bronki pod względem literackim są niezwykłe sytuacye, które się wam podobają i które publiczności naszej podobać by się mogły.

A mnie się zdaje, że ta cała historya Bronki pod względem literackim jest tematem tak bajecznie oklepanym, że właściwie żaden szanujący się romansopisarz nie powinien się go tykać...

Może przemawia przezemnie pruderya?!

Jest to zbyt banalny zarzut jak na naszą długoletnią znajomość. Mniemam, że temat ten stał się już nudnym. Nietyle może sam temat, ile jego ujęcie. Czy pamiętacie «ciotkę» Stefka? Otóż jeżeli czytelnicy są Stefkami, to literatura powieściowa występuje względem nich w roli owej «ciotki»...

Nie mniemajcie, że rozum mój już się całkiem rozwiał. Stał się on tylko kometą, która biegnie po bardzo wydłużonej elipsie; znika wam wprawdzie z oczu na czas jakiś, uchodząc z waszego systemu myślowego, ale powraca, nadbiega — czyż ma być symbolem wojny!?

Gdy się wam ukazuje, ogarnia was przerażenie: linia jej biegu przedstawiała się wam jako parabola, może nawet jako prosta...

O! Nie obrachujecie jej nachylenia do waszego sposobu myślenia... To trudno!

Ale mimo to — słuchajcie!

W mózgu waszym Kolumb może odkrył Amerykę, ale zapomniał o Europie i musiałby teraz ją z kolei odkrywać...

Gdy Bronka skończyła opowiadanie, Szaniawski złapał mnie za rękę i zawołał z jakie dwanaście razy: «A widzi pan? A widzi pan? A widzi pan?»

Właściwie mnie przysługiwało prawo chwycić za kark tego praczłowieka i krzyknąć mu nad uchem owo sakramentalne «a widzi pan».

Rozpoczęła się żarliwa dyskusya, jedna z najgłupszych, na jaką mnie losy naraziły. Szaniawski ciskał się w łóżku jak szczupak w kuble, bryzgając na mnie iście artystyczną logiką. I zaiste trudno było nam się porozumieć, ponieważ mówiliśmy do siebie dwoma różnymi językami, on jednym, ja drugim. Obaj zarzucaliśmy sobie, iż dodajemy: dwa razy dwa — parasolka, trzy razy trzy — nieśmiertelność, cztery razy cztery — abażur...

Szaniawski twierdził, iż rozmowa nasza przedstawia się w ten sposób:

On mówi: z Bronką zrobili świństwo, ale gdyby nie robiono podobnych świństw, to nie byłoby modelek, bo porządne panny nie chcą pozować bez burek od Hersego i bez różnych innych rzeczy· a ponieważ bez modelek nie byłoby malarstwa, więc świństwa są konieczne i nawet dobre ze sta-

nowiska artystycznego, albowiem niech ginie ludzkość, bylem ja mógł to ładnie odmalować, tak, aby to «brało».

A ja mówię (naturalnie według niego): że kiedy artysta trzyma pędzel w ręku, to powinien myśleć o zagadnieniach społecznych; kiedy rysuje drzewo, to powinien myśleć o teoryi Marksa albo o rachunku różniczkowym; a kiedy łamie sobie głowę nad tem, jak zmieszać karmin z «Pariserblau», aby odtworzyć gaj cyprysowy o zmierzchu, to powinien przejmować się uczuciami wszechludzkiemi.

Ja natomiast twierdziłem, że rozmowa nasza przedstawia się tak:

Ja mówię: że artyści więcej szkód przynoszą ludzkości niż korzyści, gdyż ludzkość, w właściwem tego słowa znaczeniu obrazów ich wcale nie widzi, bo kupują je bankierzy, kupcy, przemysłowcy, bogaci próżniacy, dla których ludzkość jest tylko podnóżkiem; ludzkość zatem niema okazyi do podziwiania geniuszu artystów, natomiast codziennie widzi, co ci nadludzie robią z ich Bronkami.

A on mówi; że tak tylko może twierdzić filister, ale nie artysta, że stałem się bardzo arbitralny i że się na mnie zawiódł.

Gdy tak wrzała między nami walka i gdy każdy miał na myśli albo przyszłość ludzkości, albo też przyszłość sztuki, Bronka pokazała nam, że

jest najmądrzejsza, gdyż odezwała się w imię potrzeb teraźniejszości.

Zwróciła do mnie rozszerzone źrenice i podnosząc pięści zawołała poczciwie:

«Proszę się nie kłócić z Gutkiem, bo jest chory i to mu szkodzi».

Chciałem jeszcze w pasyi krzyknąć, że nadludzie nie interesowali się tem, co jej szkodzi, ale ogarnęła mnie w moment iście słowiańska żałość. Popatrzyłem na Szaniawskiego i na Bronkę. Zdawało mi się, że nagle nos jego zamienił się w dziób krogulca, że uszy stały się spiczaste a z czoła strzeliły rogi; natomiast, że oczy Bronki zamieniły się w dwa fijołki zroszone, że pokryła ją długa, niepokalanej bieli szata a nad ramionami zachwiały się perłowej barwy skrzydła...

Chwyciłem za kapelusz i wymknąłem się czemprędzej z «orlego gniazda» grzmiąc w dół po rozgałęzionych schodach.

LIST X.

Co?! Panie Ludwiku, co?!

Mnie zmiażdżyć?! Mnie?! «artyści więcej szkód przynoszą ludzkości, niż korzyści» to ma być poprostu — nonsens???...

Chcecie mnie pobić Grotgerem? Więc istotnie wystawiają u was jego dzieła??

Ależ jadę! rozumie się, że jadę! Dziś wieczornym pociągiem — a niech dyabli wszystko porwą!

Nie odpowiadam na inne szczegóły listu. Załatwię się z wami osobiście. No, zamówcie sobie krawca, aby was zszył po naszej rozmowie. Potnę was na sztuki...

Ale Grotger!... Czy wiecie, co o nim niemcy powiadają? Nie wiecie? Otóż powiadają taką rzecz. Jeżeli sztuka, wiedza i tym podobne potęgi mają duchów opiekuńczych, czyli geniuszów, to geniuszem malarstwa jest Artur Grotger. A przecież ten człowiek przeważnie zadawalniał się skromną kredką!

Wybaczcie, jeżeli jutro rano nie będę miał was czem pocałować i przytulić się do waszej piersi, ale doprawdy straciłem głowę...

Szaniawskiemu lepiej. Nie obawiajcie się o niego, choć jest to istotnie na tle piersiowem. Gdyby był Grotgerem, albo Szopenem, dawno byłaby się pochodnia jego serca wypaliła a Bronkę malowałby Medwej, który chciał ją świsnąć Szaniawskiemu. Ale pochodnia ta kopci i kopcić będzie długo...

Do jutra! Do jutra! Do jutra!

LIST XI.

Fatalność...

Jestem doprawdy szalonym człowiekiem. Zapomniałem o tem, że w dzisiejszym ustroju świata nie podobna odbywać pielgrzymek bez monety...

Franciszek Nowicki słusznie powiada, że port-

monetka to nasze — skórzane Fatum. Namawiałem go swego czasu, aby napisał sonet do tego Fatum ponurego a przynajmniej pustką swoją budzącego ponurość w duszach ludzkich.

Powinienem właściwie kartkę tę zapisać wszystkiemi przekleństwami dzielnych naszych mazurów... Cały dzień złożony z samych zawodów... Szaniawski naturalnie bez grosza — a od Bronki nie pożyczę. Nie chcę należeć do rzędu jej wierzycieli...

Wieczór. Bije ósma. Za trzy godziny parowóz świśnie i — bywajcie zdrowe sny szaleńca... Chociaż — być bez grosza u nas to całkiem normalne i mieć szalone zachcianki, to także normalne . . .

. . . . . .

Gdzie tam!

Bo też byłaby to szalona rzecz, gdyby się w takich sytuacyach Fatum skórzane — — —

XII. TELEGRAM.

Kraków — Biskupia 6 — Ludwik Kołakowski.

Jutro — kuryerem — Krakowie — Szaniawski — Bronka — oczekujcie nas — dworzec.

LIST XIII.

Gdyby człowiek chciał wszystko wyrazić piórem, musiałby je wystrugać z sumienia i maczać nie w atramancie, ale w ludzkich łzach i w ludz-

kiem cierpieniu. Lecz zdarzają się chwile, że ktoś wstrząśnie tem naszem sumieniem, jak wicher borem. Wtedy widzimy, że w nas samych, w tem sumieniu naszem poruszyły się i zawrzały jakieś głębie, wcale albo mało nam znane. Jakże tu tedy z tego boru sumienia brać jeden badylek! Rosną tam i dęby potężne i wiotkie pędy wierzbiny i zdrowy świerk i pokurczony jałowiec i sosna stoczona przez robactwo i buk rozszczepiony uderzeniem gromu. Ale kiedy ów wicher powieje po owej puszczy sumienia, wtedy pokazuje się dopiero, co w niej zdrowe i silne a co uwiędłe i zamarłe. Wtedy zwala się stoczona przez robactwo sosna i pada buk pierwej gromem zabity; natomiast poczyna szumieć uroczyście zdrowy dąb, rozlega się przeraźliwy świst żywicą przesyconego świerka, co potężne i istotne, oparłszy się o ziemię, dźwiga ramiona w niebo i gra mową olbrzymów...

Kochany panie Ludwiku! Jeżeli sumieniem mojem był taki bór, to wichrem, który go do głębi poruszył, był geniusz Grotgera. Wiem teraz, po jakie drzewo sięgać do własnego sumienia, by wystrugać pióro. I wiem, jak wygląda poemat, jeżeli geniusz takie pióro umoczy w ludzkich łzach i ludzkich cierpieniach.

Milczałem przez cały czas pobytu tam... Machnąłem ręką na wszystko. Nie widziałem ani was, ani Szaniawskiego...

Niekiedy zdawało mi się, że taki huragan twórczy to już nie sztuka, ale wprost objawienie...

I wtedy waliło się w lesie mego sumienia coraz więcej spróchniałych kłód a z niedostrzegalnych i pogrzebanych w gnijącej glebie lasu nasionek strzelały pędy, rosły w oczach moich i zamieniały się w olbrzymie drzewa, biorące w ramiona konarów swoich ów wicher.

I ze zdumieniem obaczyłem, że nie potrzeba wieków, ani wolno ciekących okresów, aby to, co przegniłe, runęło w człowieku a to, co żyć powinno, pomału się dźwigało. Jedno ogromne wstrząśnięcie, jeden huragan, który przewieje przez duszę, więcej uczynić może, niż cieplarniana, ogrodnicza hodowla tej duszy.

A gdy to z niepomiernem zdumieniem obaczyłem, wtedy zapytałem, jakim sposobem nędzny, śmiertelny człowiek, obdarzony tylko talentem rysowniczym, mógł był zamienić się w ów wicher?

Wiemy, że żył, że cierpiał nieraz głód i niedostatek wszelaki; wiemy, kto mu rękę układał i myśl formował; wiemy, kto go wydał i kto był mu mistrzem. I wiemy również, że mistrze jego mieli całe koło uczniów. Czemu jednak on jeden a prócz niego najwyżej jeszcze jeden, zamienili się w wicher, inni zaś zalegli cmentarze a z nimi pomarły ich myśli i ich uczucia?

Co z jednym z tych dwóch uczyniono — wiemy. Ale co uczynił on sam ze sobą, że poszedł tam, gdzie nieśmiertelni??

Jakim wichrom nastawił on bór swego sumienia? Bo i on musiał być śmiertelny! I w nim obok

wielkości plenić się musiała małość. W jaki sposób on rozwalił sam siebie i z żywiołów zdrowych a potężnych zbudował się lepiej?? Co on ze sobą uczynił, iż stał się tem, czem się stał?!...

Czemu, gdy tylko ból szarpnął jego sercem, narody wyciągnęły do niego ręce i ludzkość swoim nazwała?

Czy stał się cud cudów i wszystkie serca w ciele ludzkości zbiegły się na chwilę w jedno a on ucho do tego serca ogromnego przyłożył i usłyszał jego gromowe bicie? I kiedy każde serce powróciło do swojej piersi, gdy potem staje kolejno przed jego obrazami, w gromie uderzeń serca tego człowieka rozpoznaje tętno swego serdecznego atomu? — —

Pociąg niósł mnie z powrotem do Warszawy a huk kół, świst i szum wichrów, kotłujące się po niebie lawiny obłoków, wszystko wydawało mi się czemś innem. Wszystko przelatywało koło mnie jak jakiś czyszczący ducha huragan, jak objawienie...

On mi otworzył uszy i oczy, przypiął mi jakieś skrzydła i lecieć kazał...

Co widzę? Co słyszę? Dokąd lecę na tych skrzydłach? Nie wiem jeszcze, nie wiem...

Ale czuję, że nieświadomość moja jest tylko oparem chwilowym i że sam lot wyniesie mnie z jego obsłon...

LIST XIV.

Pociąg ślizgał się po szynach jak jakiś zgrzytający wąż, zrodzony z dymu, ognia i żelaza. Chmury, niby stado białych niedźwiedzi śród gór lodowych, stały na niebie; a dopiero po pewnej chwili dało się zauważyć, że to stado nie stoi, ale wraz z całym krajobrazem przesuwa się po niebie. A gdzieś nisko na zachodzie zaczajone słońce z płomiennego kołczanu ciskało czerwone strzały promieni i tak celnie mierzyło, że po chwili wszystkie niedźwiedzie oblały się krwią, ba, purpura posoki poczęła spływać na śniegi, tworzyć potop, który się wzdymał i wyrósł ponad szczyty gór lodowych. Zwolna w potopie tym czerwonym poczęły zacierać się postaci niedźwiedzi i kontury gór; niedźwiedzie i góry rozpłynęły się i pozostała na niebie jeno jedna, oślepiająca oczy, gorejąca czerwień... jak cud... jak objawienie!

Leżałem na ławce tak, że twarz miałem zwróconą prosto w okno wagonu. Ramy jego ujmowały obraz pożaru nieba. Łzy szklistą zasłoną przyćmiły mi nieco to zjawisko.

Nagle poczułem chłód na twarzy. Cień jakiś stanął pomiędzy mną a oknem.

W pierwszej chwili chciałem nogą odgarnąć go; ale cień ów zastanowił mnie...

Elegancki paltocik, cylinder, ręce w bocznych kieszeniach paltota. Patrzył na pożar nieba i szeptał:

«Niezłe... Niezłe... wcale niezłe... doprawdy niezłe...»

Odwrócił się od okna, układając usta jak baletnica do pocałunku, popatrzył na mnie i nagle usłyszałem:

«Moje uszanowanie!... Co pan tu robi?»

Zsunąłem coprędzej nogi z ławki, siadłem, wyciągnąłem rękę do powitania. Był to Julek.

Siadł obok mnie i wskazując na okno rzekł, układając możliwie pięknie usta:

«Nie wiem, czy pan zauważył to palenie się nieba. Niech pan na takie rzeczy zwraca uwagę. Radzę panu jako artysta. Patrz pan, wcale niezłe, wcale dobre! Trochę tylko z prawej strony karmin za mało się pali a po lewej fiolety zjawiają się zawcześnie. Zresztą nie mam nic do zarzucenia. Szkoda tylko, że takich rzeczy nie można malować».

Zamiast odpowiedzi sięgnąłem po papierosy. Ale Julek mnie uprzedził.

«Niech pan moich spróbuje. Są cienkie, z bardzo dobrego tytoniu i notabene z bardzo drogiego. Tylko takie papierosy pali się, chcąc osiągnąć z dymu wrażenie możliwie mało mieszane...»

Przyjąłem podanego mi papierosa, zapaliłem, choć wrażenie, jakie Julek na mnie począł wywierać, było bardzo mieszane.

«Skąd losy prowadzą?» — zapytał, poprawiając cylinder i nim zdążyłem odpowiedzieć, objaśnił mnie, że wraca z polowania od hrabiny Żyglińskiej

która zamierza nabyć jego obraz p. t. «Melancholia topoli».

A gdy dowiedział się, dokąd i poco jeździłem, ile trudów odbyłem i ile wysiłku moralno-materyalnego wycieczka ta mnie kosztowała, ułożył usta jak najpiękniejsza baletnica do najpiękniejszego pocałunku, uśmiechnął się ironicznie, zamigotał mlecznemi oczami i rzekł:

«Wielka szkoda, że się pan mnie wpierw nie poradził. Stracił pan napróżno czas i pieniądze. Nie jeździ się oglądać Grotgera. To średniej miary rysownik, który poświęca wszystko dla swoich pryncypiów, jako artysta jest wątpliwym i bałamuci nam tylko publiczność».

Przetarłem oczy i popatrzyłem na niego. On spojrzał na mnie jak sugestyoner zamawiający ból zębów, następnie położył dłoń na mojej ręce i rzekł:

«Niech pan nie próbuje mi przeczyć. Niech pan słucha. Najlepiej pan na tem wyjdzie. Ręczę, że Szaniawski, który był z panem na wystawie, wykazał panu dowodnie i szczegółowo całą manierę tego ilustratora tendencyjnego. A przytem ja osobiście nie lubię rysunków kredką. Dla mnie barwa — to wszystko! Nie patrz pan tak na mnie... Tak, tak, panie!... Uchwycenie odblasku zachodu na twarzy ładnej modelki sto razy większą wartość przedstawia dla prawdziwej sztuki, niż wszystkie zakryte chustkami twarze kobiet Grotgerowskich. Może to zresztą wywiera pewne wrażenie na ludzi sentymentalnych, na szowinistów, na różnych...

daruj pan... apostołów w kamgarnach... ale my, kapłani sztuki, wyżsi jesteśmy ponad podobne przesądy i nas zajmuje jedynie czysty przejaw pierwotnej duszy — — — »

«Przepraszam pana, ale chciałem wyskoczyć na stacyę — —»

«Pewnie się pan chcesz piwa napić... Nie radzę panu tego. Piwo usposabia źle. Pij pan tylko wino i to włoskie, o ile ma pan możność posiadania zawsze świeżego; w najgorszym razie francuskie Czekaj pan, wyjdę pierwszy, tu mają takie wino — — »

«Nie panie, mnie się pić nie chce. ja muszę sam... zaraz wrócę...»

«Ah, to nie przeszkadzam... proszę, proszę» i usunął się z prześlicznym uśmieszkiem. A ja wyskoczyłem na peron, przebiegłem po dwakroć w całej długości, przewracając oczami jak epileptyk i mamrocząc ustami duszy:

— Boże wielki, Boże mocny, Boże wiekuisty, jakiemiż drogami prowadzisz mnie po tej ziemi, aby uczynić ze mnie człowieka oszalałego...

Rozległ się trzeci dzwonek. Wskoczyłem do innego wagonu.

LIST XV.

Kochany Panie Ludwiku!

Teraz dopiero jako tako połapałem się i widzę, że nadużyłem pańskiej dobroci. Zdaję sobie do-

kładnie sprawę z tego, że to nie można tak bez pożegnania wyjeżdżać, gdy się korzystało z czyjejś gościnności i gdy się zjechało na kark z takim Gutkiem i z taką Bronką. Ale pragnę się przed panem usprawiedliwić. Pan wie, że Bronka ma szusy. Zastawiła zegarek i powiedziała, że także jedzie do Krakowa oglądać Grotgera. Trudno mi było jechać z nią samą. Szaniawski przytem zdawna pragnął nawiązać stosunki z krakowską wystawą, więc złożyło się, iż wybraliśmy się we trójkę. Przecież nikt tam u was nie wie, że Bronka i Gutek nie są małżeństwem formalnem. Nie przypuszczam zatem, aby to mogło panu szkodzić w opinii publicznej, z którą może się pan nawet nie rachuje tak bardzo. Ale chodziło mi o to, że ów praczłowiek i owa nadmodelka mogą pana zanudzić. Na szczęście zauważyłem, że oni pana trochę bawią. To dobra dziewczyna. A cóż, podobały się panu jej oczy? Niech mi pan coprędzej odpisze i uspokoi mnie. Dlaczego nie wracają??

W poprzednich listach kreśliłem chaotycznie wrażenia, mieszając Grotgera z swojemi własnemi myślami, z widokami nieba, ziemi i z postacią Julka. Bardzo a bardzo pana przepraszam za to.

Dlaczego pan nic nie pisze? Może oni panu zadużo czasu zabierają? Niech ich pan wypędzi od siebie. Bez ceremonii...

Miałem biedę z Julkiem w Warszawie na stacyi. Obraził się. Twierdził, że postąpiłem z nim nie po dżentelmeńsku, uciekając do innego prze-

działu. Tłomaczyłem mu, że wskoczyłem do wagonu, kiedy pociąg był już w ruchu. Nic nie pomogło. Nie chciał mi nawet ręki podać na pożegnanie, usuwając ją z miną słodko-złośliwą. Wtedy rzekłem mu tak:

— Panie Juliuszu! Pan ma racyę, że się pan na mnie gniewa, gdyż postępowanie moje może się panu wydać lekceważącem. Albowiem pan tego nie rozumie, że jestem człowiekiem anormalnym, idącym tylko za indywidualnym popędem, szalonym i że zatem zupełnie nie odpowiadam za swoje postępowanie.

Julek zdjął cylinder, przełożył go do lewej ręki a prawą ściskając mi dłoń rzekł z powagą:

— Panie! Tłomaczenie pańskie przyjmuję, cenię przedewszystkiem indywidualność...

Następnie raz jeszcze uścisnął mi dłoń, pochylił głowę, wyprostował, przełożył cylinder z lewej ręki do prawej, zgrabnym ruchem włożył go na głowę i zawrócił na pięcie, układając usta jak primabalerina podczas menueta.

LIST XVI.

Panie Ludwiku! Dlaczego oni nie wracają? Dlaczego pan nie odzywa się ani słówkiem? Co to ma znaczyć?? Jestem zaniepokojony.. Uspokój mnie pan! Czy się co stało???!

Wrażenia z wycieczki zaczynają się w duszy mojej krystalizować. Teraz dopiero gdzieś z głę-

bin, z poza wichru obrazów Grotgera, wypływa Matejko. Ale niestety jeden wciąż mi zasłania drugiego. Muszę pojechać drugi raz, aby z kolei na Matejkę patrzeć. Widziałem tyle jego arcydzieł, tylokrotnie korzyła się dusza moja przed tym tytanem; ale to nie wystarcza. Teraz w tym stanie, w jakim jestem, śród tych uczuć, w których brodzę, chciałbym obaczyć to wszystko, bo mi głos jakiś mówi, że stałoby się ze mną coś niebywałego.

Julek był u mnie wczoraj i zaprosił uroczyście do swej pracowni, abym obejrzał ów obraz p. t. «Melancholia topoli», obecnie już wykończony. Da go bezpośrednio potem na wystawę, z której po miesiącu zabierze go hrabina Żyglińska.

Byłem. Widziałem. Chwaliłem. Istotnie, topola owa jest tak melancholijna, że nie zaszkodziłoby dać jej trochu bromu.

Pracownia urządzona wspaniale. Zastałem kilka szkiców zatytułowanych: «Westchnienie wieczorne», «Dusza», «Łkająca rozpacz», następnie dość duży obraz p. t. «Sąd ostateczny».

Julek był dla mnie bardzo uprzejmy, nawet słodki. «Westchnienie wieczorne» jest rzeczą bardzo oryginalną i według Julka przynajmniej «całkiem nową». Zwracam pańską uwagę na to, że malarze mają swój słownik, który znacznie się różni od zwykłego naszego słownika. Rzecz «całkiem nowa», oznacza u nas coś istotnie całkiem nowego. Tymczasem u nich ma to nieco odmienne znaczenie. Obok impresyonizmu, praerafaelizmu, we-

ryzmu, symbolizmu, istnieje poprostu kierunek który się zwie «całkiem nowy». Niejeden profan mniemałby, że to jest «całkiem stare» i od wielu, wielu lat przemalowywane: ale dlatego też jest tylko profanem. Owóż to «Westchnienie wieczorne» wyobraża rzecz następującą. Niech pan zamknie oczy i patrzy. Sinawy mrok — tło przestrzeni zielone — od niego poczyna się w górę niebo fioletowe — w środku zaś zielonej przestrzeni wyrasta z ziemi czerwona ręka. To jest «Westchnienie wieczorne».

Zapytałem Julka, jak należy obraz ten rozumieć. Co tu wzdycha? Czy czerwona ręka, czy zielona przestrzeń, czy fioletowe niebo?

Na to odparł mi Julek ze słodko-złośliwym uśmiechem:

«Panie! Artysta nigdy się nie tłomaczy...»

Zwróciliśmy się tedy do drugiego szkicu p. t. «Dusza». Niech pan zamknie oczy. Sinawy mrok — tło przestrzeni fioletowe — od niego poczyna się w górę niebo zielone — w środku zaś fioletowej przestrzeni siedzi skurczony czarny kot i patrzy na widza czerwonemi ślepiami. To jest «Dusza».

Pokiwałem głową i rzekłem:

— Bardzo, bardzo oryginalne.

Julek zamigotał mlecznemi oczami i rzekł z westchnieniem:

— Panie! Artysta nigdy nie wie, dokąd go uczucie poniesie!...

Stanęliśmy przed trzecim szkicem. Tytuł: «Łkająca rozpacz».

Niech pan zamknie oczy.

Siny mrok — przestrzeń fioletowo-zielona — od niej poczyna się w górę niebo czerwone — w środku zaś fioletowo-zielonej przestrzeni widnieją trzy złamane lilie. To jest «Łkająca rozpacz».

Zawołałem w głos:

— Co za obfitość pomysłów!

Julek ułożył usta do uśmiechu zalotnej skromności i rzekł:

— Panie! Artysta nigdy nie może za siebie ręczyć!

— Naturalnie! odparłem.

— A oto mój największy obraz p. t. «Sąd ostateczny». To także dla hrabiny Żyglińskiej. Pan rozumie, nie bez aluzyi. Uważa pan: u góry ciemnawa jasność, w dole prześwitujący mrok. Na dnie tego cmentarz czarnych serc — o! — jedno serce przy drugiem. W górze ręka kobieca, niedbała — a ku niej zbliża się jedno białe serce, nie całkiem białe, bo z odcieniem znużonej siności. Czy ręka ta chwyci serce? Rozumie pan? To zależy od sądu ostatecznego.

— Bardzo, bardzo głębokie! — zawołałem.

— To jest «całkiem nowe» — odparł Julek. Teraz to się u nas tak robi! Niech pan pozwoli na otomanę. Można służyć papierosem? Ręczę za gatunek. Hrabina to bardzo sympatyczna kobieta. To kobieta z talentem!

— Z jakim? — wtrąciłem.

— Ona wspaniale odczuwa rzeczy «całkiem nowe» a do tego, przyzna pan, trzeba talentu!

— Bez wątpienia...

— Hrabina ma bardzo cienki rozumek... ale...

— Jakie ale?

— Tam chce się wkręcić Medwej. Ma z pewnością zamiary na nią...

— Czy zamierza oświadczyć się o jej rękę?

— Panie — za kogo nas pan ma! Wprawdzie tam wartoby odstąpić od zasad ze względu na ogromną fortunę, ale...

— Znowu jakieś: ale?

— Ale hrabina posiada dużo indywidualności. Medwej chce ją — malować!

— Więc niech ją maluje!

— On nie powinien jej malować!

— Dlaczego??

— Bo on jej nie czuje.

— A pan ją czuje?

— Panie! Ja nie jestem portrecistą, więc czuję ją inaczej.

— A jak pan ją czuje?

— Przez symbol, panie!

— Czy to tak jak przez rękawiczkę, albo przez gazę?

— Pan jest uszczypliwy! Panie?!?!

— Nie jestem bynajmniej uszczypliwy, tylko się pytam, bo nie wiem.

— Czy pan nie był za granicą?

— Byłem.

— W Japonji?

— Nie byłem.

Tu rozległ się po pracowni nieco chrypliwy tryl śmiechu, który słabł, wzmagał się kilkakrotnie, znowu słabł; przerywały ów tryl śmiechu takie nieartykułowane dźwięki, jak: «ah», lub słowa: «bardzo naturalne», «całkiem zrozumiałe». Wreszcie Julek poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

— Niech pan bezwłocznie jedzie do Japonji. Bezwłocznie. Niech pan jedzie pojutrze. To będzie środa? Tak, środa. Niech pan zatem jedzie w środę. Dam panu listy polecające. Niech pan przedtem spali wszystko, co pan napisał. Tak panie. Wszystko. Radzę panu w imię sztuki. Pana zajmują rzeczy nieartystyczne, Grotger, Matejko — czy i Matejko?

— Nie przeczę.

— Widzi pan, przeczułem. Niech pan stara się jak najprędzej zapomnieć o Matejce. To stary sposób malowania.

— Stary? Przecież przed nim nikt tak nie malował; żył tyle a tyle lat i niedawno umarł.

— Panie! Matejko umarł, ale dusza nie umiera i sztuka, chwytająca jej nieuchwytne stany, będzie żyć wiecznie.

— Jak można chwytać coś nieuchwytnego?

— O tem dowie się pan w Japonji. Wracam do Matejki. Czy panu przedstawił Matejko choć jeden symbol? Widzi pan. To był człowiek nie-

pospolity, ale zmanierowany, umysł tendencyjny i zasklepiony w narodzie jak żółtko w jajku. Pan pisuje wiersze?

— Skąd to przypuszczenie?

— Widzę to po formacyi czaszki pańskiej. Niech pan da spokój z tem przed powrotem z Japonji. A wtedy niech pan zacznie od poetyckiej prozy. Zaraz pokażę panu coś nowego...

«Całkiem nowego».

— Oh, chwyciłem na oślep i jest! Przeczytam panu. Niech pan uważa i zamknie oczy:

Tytuł: Herm-Afrodyte.

Książę stał na niebieskawych skałach i patrzył na szalejące morze, którego bałwany zielonkawo brunatne przelewały się jak rzędy smoków, miotanych konwulsyami. Książę patrzył i wnikał w siebie a im głębiej w siebie wnikał, tem wyraźniej odczuwał, iż tam, za kresem epileptycznego ruchu fal, za konwulsyami morza, gdzie wysklepia się w wyż perłowemi plamami chmur zasunięty fiolet nieba, iż tam, a była to południowa strona świata wyłoni się z morza białe jak jej ciało słońce, sunąć, będzie prosto w górę po sklepieniu i gdy dosięgnie połowy wysokości, wydłuży się, odstaną od niego ręce naprzód przed siebie wyciągnięte, uwidoczni się twarz nieco w górę uniesiona, twarz z przymkniętemi oczyma, stopami złotawo-śnieżnemi iść będzie w dół po schodach powietrznych ku niebu, ona, dusza, prabyt, absolut, kobieta!

Książę już ją ujrzał, wniknął jeszcze głębiej

w siebie, wyciągnął ramiona, przesycone ogromnem pożądaniem, przechylił głowę w tył i szeptał:

— Tyś jest moją Cnotą — i moją Zbrodnią... Jesteś mojem upojeniem i moim przesytem... Tyś jest moją wiarą i mojem bluźnierstwem...

A gdy tak szeptał, gdy ona chyliła się w jego pragnące rozkoszy i przesycenia ramiona, wtedy drgające fale morza poczęły się toczyć ku niemu po blado-niebieskich skałach wybrzeża i niby zielone smoki lizać czerwonymi językami jego przeczulone stopy...

A książę tonąc w prabycie, obejmując ją, jej złote piersi, wniknął w najtajniejszą głąb swojej duszy, szepcąc omdlałym szeptem:

— Herm-Afrodyte... moja... moja...

Julek odłożył książkę i rzekł:

— Niech pan teraz otworzy oczy. Co? Wspaniałe? Niech pan jedzie do Japonji pojutrze.

— Panie! Wyjeżdżam jutro, dziś, choćby zaraz...

— Panie?? Co to ma znaczyć?!?

— Ja panu może przeszkadzam... pan zapewne o tej porze wnika w siebie... a ja tak się zasiedziałem...

— Panie? znana pańska uszczypliwość...

— Nie, panie, tylko chciałbym także bodaj przez chwilę wniknąć w siebie a ta złotowłosa Herm-Afrodyte...

— Szable, czy pistolety?...

— Czy pan chcesz ze mnie uczynić «Łkającą rozpacz»?

— Zupełnie pan moich zamiarów nie oceniłeś. Miałem myśl powierzenia panu napisania artykułu o moich ostatnich obrazach, gdyż hrabina pragnęła, aby jakiś uświadomiony głos odezwał się o nich. Pan tymczasem w rozmowie wykazałeś taki brak poczucia artyzmu, że nie pozostaje mi nic innego, jak z całą uprzejmością — — tu pański kapelusz — oh — tu pański paltot — oh — bardzo proszę — zatem do jutra — pistolety — tak — tylko proszę pamiętać, że ja nigdy niczego nie cofam...

Zszedłem w dół po schodach, trzymając się poręczy jak człowiek, któremu nagle zawróciło się w głowie. W bramie przystanąłem. Aha! Więc wyzwanie. O co to? O Herm-Afrodytę. Co to jest Herm-Afrodyte? Zdaje się, że słońce... nie... kobieta... jak gdyby: kobieta-słońce.

Panie Ludwiku... czy... ja nie jestem doprawdy... szalony??

LIST XVII.

Panie Ludwiku!

Dziś o godzinie w pół do pierwszej byli u mnie sekundanci Julka z formalnem wyzwaniem, Medwej i jakiś jeszcze. Czemu Szaniawski nie wraca? Pragnę, aby on był drugim moim sekundantem. Musi być koniecznie jeden przynajmniej artysta, gdyż z tamtej strony są sami artyści, jeżeli zaś po-

ślę do tych nadludzi zwyczajnego człowieka, to się nigdy nie porozumiemy. Szaniawski zatem jest konieczny.

Jak mam sobie tłomaczyć pańskie milczenie? Co się dzieje?? Czy może Szaniawski znowu się przeziębił??

Czemu pan mnie dręczy w tak nieludzki sposób!

Oni tam — pan milczy — teraz ten pojedynek — czyż pan chcesz abym oszalał do kwadratu??

. . . . . .

Sekundant mój prosił ich o dwa do trzech dni zwłoki. Sam w żaden sposób nie może z nimi rozmawiać. Nie dziwię mu się! Przecież właściwie cała awantura wynikła z tego, że nie umiałem rozmawiać z praczłowiekiem!!.

. . . . . .

Trzeci raz siadam do listu.

Może nie macie pieniędzy? Telegrafujcie!!

Udzielono nam dwa i pół dnia zwłoki. Jeżeli nie przyślecie natychmiast Szaniawskiego, to prawdopodobnie następny list pisać będę do was już z jakiegoś czwartego wymiaru.....

XVIII. TELEGRAM.

Pilny!!!
Kraków — Biskupia 6 — Kołakowski.

Honorowa — Gutek — wracać — zaniepokojony będę — jutro — kuryerze —

Zrozpaczony.

LIST XIX.

Kochany Panie Ludwiku!

Zatem jutro o wschodzie słońca za rogatkami grochowskiemi w pierwszym lasku.

Szaniawski wrócił, ale jest dziwnie zamyślony. Dlaczego Bronka tam została? Co się stało?? Szaniawski na nic mi nie odpowiada. Czy może co między wami zaszło??

Bójcie się Boga! Jeżeli tak, to chyba niebawem ludzkość cała rozszczepi się na dwóch ludzi z pistoletami w rękach!

Śnieg pada dużymi płatami; obawiam się więc, że nasze karety utkną gdzie w drodze.

Pistolety gwintowane, z muszkami, bez sznelerów. Ma to być warunek łagodny. Pistoletami gładkimi i bez muszek daleko częściej podobno trafia się przez chybienie. Wszystko ma swoją zawodną logikę! Nieprawda?!

Coś mi ta Bronka po głowie chodzi. Ej, panie Ludwiku??

Powiedzcie mi, dlaczego właściwie przestaliście do mnie pisać??

Kończę, gdyż idę do kąpieli. Noc spędzę u Szaniawskiego. Mam nadzieję, że chyba z pistoletem w ręku nie drapnę... A jeżeli ja jestem w głę-

bi duszy także artysta??... Przecież artyści podobno nigdy nie mogą za to ręczyć, dokąd ich poniesie uczucie... Jeżeli zaś strach nie jest takiem samem uczuciem, jak wszystkie inne uczucia, które dziś chwyciły berło i niewolnikiem swym uczyniły charakter, to niech dyabli biorą całą psychologię... Przejdę na stronę praludzi... Przynajmniej nikt wtedy nie będzie do mnie strzelać za grochowskiemi rogatkami o wschodzie słońca.....

LIST XX.

Za dwie godziny wyruszamy. Piszę u Szaniawskiego, który miał cotylko zemną dość burzliwą rozmowę. Teraz dopiero widzę, że myślami pana srodze skrzywdziłem. Daję panu słowo, że przypuszczałem, iż pan się rozkleił pod wpływem zielonych oczu Bronki.

Ale ja i Szaniawskiego nie doceniałem. Jest to przecie nietylko praczłowiek ale i człowiek.

Więc i Bronka ma wziąć się do pracy? I nie tu, gdzie jest niestety dzięki malarstwu zbyt znana i zniesławiona, ale tam? Biedne dziecko! Przez ile rąk to przeszło, jak oni z nią postępowali! Aczkolwiek powinienem właściwie w tej chwili myśleć tylko o własnej skórze, ale tak polubiłem tę dziewczynę, że i teraz, kiedy może za kilka chwil «nożyce pistoletu przetną pasmo dni moich», cieszę się, że w Bronce ocknęła się godność własna, kobieta że myśli o jutrze i o swej duszy.

Kłóciliśmy się z Guciem o to, że według mego zdania malarze powinni jej w pierwszych miesiącach dopomagać jakimiś datkami; Gutek natomiast mniemał, że malarze nie są do tego obowiązani, że gdyby mieli gotowiznę, to ostatecznie mogliby się poczuwać do jakichś względem niej zaległości, ale ponieważ tej gotowizny nie mają, więc nie poczuwają się. Ja w dalszym ciągu mniemałem, że poczuwać się można zawsze a nie tylko wtedy, kiedy się na to ma, co Gutek nazwał metafizyką i wnioskowaniem bardzo nieartystycznem. Zamilkłem, ale to tylko przypadek. Coś mi podszepnęło, że jeśli nie zamilknę, to stracę jednego sekundanta a zyskam natomiast drugiego partnera, z którym musiałbym jechać znowu za grochowskie rogatki do pierwszego lasku o wschodzie słońca...

W tej chwili przyniósł Rymkowski (mój sekundant) pistolety.

Prześliczne aparaciki!...

Niesłychanie misternie rzeźbione rękojeści. Ot, Julek tak ujmie... zmierzy... paf! Lufy wspaniałe, o połysku sinawym. Najbardziej podobały mi się kule. Taki «aniołek śmierci» dość nieapetycznie wygląda. Ma pozór maleńkiej spiczastej cebuli i tym szpicem świdruje się nietylko w ciało, ale i w kości. Wziąłem w rękę tego «aniołka» i pomyślałem, czy też on mnie za dwie godziny uniesie do Pana Boga, czy nie. Teraz ja go pieszczę w dłoni a za dwie godziny on mnie będzie pieścić... Jak się to sytuacye zmieniają! Widzę wszelako, że Ju-

lek nietylko chce wnikać w siebie, ale i we mnie. Podobno zuch doskonale strzela. I ja niegdyś doskonale strzelałem, ale odkąd człowiek powiedział sobie, że to przesąd... Otóż to rezultat pozbywania się przesądów, kiedy się inni ich nie pozbywają i biją w rozbrojonego. Właściwie ja jestem antyduelantem; nie uznaję pojedynków... Trochę mi to za późno do głowy przyszło... Szkoda... Teraz powiedzieliby, że chcę się dać ponieść uczuciu...

Nie mogę zrozumieć tej jednej jedynej i podobno tak prostej rzeczy. Nie wiem, dlaczego uczuciu pozwalają wchodzić w stosunki tylko z pewnymi ludźmi. Ono może ich «unosić» a mnie nie może «unosić»... Wskutek owego «unoszenia» oni są prawdziwymi artystami, którzy malują rzeczy «całkiem nowe» ja zaś byłbym z tych samych powodów bardzo lichym artystą w sztuce szermierki...

Muszę być istotnie człowiekiem szalonym, kiedy tych dwóch nitek nie mogę związać ze sobą.

Poczciwy Rymkowski zobaczył, że filozofuję z kulą w ręku, odciągnął mnie na otomanę i przepił do mnie. Koniak znakomity. Piszę obecnie po drugim kieliszku.

Na tym Rymkosiu to się u nas nie poznali! Zarzucają mu, że w poezyach swoich nie jest artystą, gdyż nie pisuje sonetów ani sestyn . . . . .

. . . . . .

Nie, nie mogę pisać! Ogarnął mnie jakiś szalony . . . . . .

...Koniak, to pyszna rzecz! Przypomina mi się z greckich wierszy rzecz znakomita. Grecy wprawdzie nie pijali koniaku, ale za to wino. Pamięta pan: «Żali znasz coś praktyczniejszego od wina? Podchmielisz sobie, kochasz ludzi i oni ciebie kochają; pomagasz im i oni tobie pomagają...» Rymkosio dobry, poczciwy Rymkosio... Wypiliśmy co tylko pańskie zdrowie...

Otóż Rymkosia wiersze dziwnie mi się podobają i zdaje mi się, że przedewszystkiem artystom powinny się podobać. Słuchaj pan. Rymkosia obchodzi świat i obchodzi sztuka, pisze zaś tak:

Lecim i lecim niby błędne ptactwo
Przez dal niepewną na wieczne tułactwo,
Obłok nam wodzem, który nie zna domu
I własne piersi szarpie ręką gromu...

Tymczasem naszych sztukmistrzów świat nic a nic nie obchodzi, tylko sztuka, piszą zaś tak (wiersz Ikara):

W misterne ronda myśli me układam
I dłoń sestynie podaję znużoną,
Wszechświat kolebką jest mojego ducha,
Siebie niepewny a wszechświatem władam,
Jak Bóg tak wieczność wyłania me łono,
Ja słucham Wszystko i Wszystko mnie słucha!

Wszystko ten może, kto się w Wszystko wsłucha,
Wszystko potrafi objąć moje łono,
Siebie niepewny a wszechświatem władam,
On co kolebką jest mojego ducha,

Gdy dłoń sestynie podaję znużoną
I w blade ronda sam siebie rozkładam...

. . . . . .

Masz tobie! Kareta zajechała! Brrrrrm...

Do widzenia! Miałem właściwie zamiar napisać niesłychanie patetyczne pożegnanie ze światem, ale brak nawet czasu na napisanie testamentu...

Żebyś pan mnie zabił, to nie wiem, po kiego licha my jedziemy za grochowskie rogatki do pierwszego lasku o wschodzie słońca...

Że ja szalony... Ale oni! oni!

XXI. OŚWIADCZENIE.

Aby położyć tamę dochodzeniom sądowym lub plotkom towarzyskim, oświadczam niniejszem, świadomy doniosłości chwili, że ginę śmiercią samobójczą, gdyż życie nie przedstawia nadal dla mnie żadnego interesu. Może ludzie normalni potępią mnie, ale niechaj się nie spieszą z formułowaniem wyroku o mnie. Los kazał mi żyć między artystami, których nigdy ani odczuć, ani zrozumieć nie mogłem; powiadają mi zaś, że kto tego nie czuje i nie rozumie, ten właściwie nie żyje. Ponieważ zatem właściwie nie żyłem, więc śmierć moja nie będzie właściwie śmiercią, tylko manipulacyą, podobną do tego, co się w buchalteryi nazywa «uregulowaniem należności przez przepisanie z jednej pozycyi na drugą». Ufam więc, że Kościół nie odmówi szczątkom moim pogrzebu chrześcijańskiego.

LIST XXII.

Kochany Panie Ludwiku!

Żyję, choć leżę w łóżku. List ten dyktuję poczciwemu Rymkosiowi (protestuję przeciwko przymiotnikowi «poczciwy» = *Rymkowski*), który jest w tej chwili moją nadworną siostrą miłosierdzia. Nic wielkiego się stało, trochę piecze w boku.. Prawdopodobnie jutro wstanę. Depeszę pańską odebrałem i cieszę się, że się pan nareszcie odezwał do mnie. Bo już myślałem, że się — tam — zobaczymy.

Co tylko wyszedł odemnie Julek z Medwejem. Rozegrała się bowiem dość zabawna scena.

Akurat Rymkosio wypisał «Kochany Panie Ludwiku», kiedy słychać pukanie, Rymkosio woła «proszę», drzwi się otwierają, wchodzą obaj wyżej wymienieni praludzie. Zdejmują w uroczystem milczeniu kalosze, paltoty i pozostają we wspaniałych czarnych surdutach i jeszcze wspanialszych rękawiczkach. Następnie Julek wyjmuje wyperfumowaną chustkę (istotnie nadludzka woń — *Rymkowski*), obciera nos, chowa chustkę i dzierżąc cylinder w lewej, sunie posuwistym krokiem łyżwiarza z prawicą nad piersiami miękko załamaną (tutejszy praludzki sposób podawania ręki — *Rymkowski*), staje przed łóżkiem i ułożywszy usta możliwie miękko, przemawia do mnie w ten sposób:

— Panie! Mam ten zwyczaj, iż pielęgnuję

swoich przeciwników, dopóki się z łóżka nie podźwigną. Ofiaruję się tedy spędzać dni i noce przy panu naprzemian z moim sekundantem (pan Medwej się kłania — *Rymkowski*). Jestem zatem na pańskie usługi. Ah, to pan Rymkowski? Sługa. (podał rękę). Pan Rymkowski nie ma prawdopodobnie tej praktyki, którą ja się cieszę. Zatem pozwoli pan...

— Ależ najmocniej dziękuję...

— Jestem przygotowany na skrupuły, ale to mnie nie zraża. Znam obowiązki dżentelmena i potrafię je spełnić z artyzmem. Pozwoli pan, że obejrzę ranę, tak — zaraz — od tego zaczniemy. (Zdejmuje rękawiczki).

— Ależ doprawdy dziękuję panu za wszelką pomoc... Wystarcza mi lekarz i Rymkosio...

— Lekarze u nas nie bardzo się znają na takich rzeczach a co do pana Rymkowskiego, niech go to bynajmniej nie obraża, ale nie ufam mu. (Tu zdejmuje surdut).

Zaczyna mnie coś unosić na łóżku. Odpowiadam mu tedy:

— Przezacny, bohaterski panie Juliuszu, nie zawracaj mi pan głowy...

A on (odpinając mankiety, z bardzo słodkim uśmieszkiem — *Rymkowski*).

— Pozwoli pan, że się nie zrażę — pełnię swoją powinność — jesteś pan chory — nie możesz mnie obrazić — chirurga także nie może obrazić pacyent, jeśli go podczas operacyi kopnie...

— Ależ...

— Żadne «ależ» — jesteś pan w mojem ręku — tak, musisz pan być posłuszny...

Tu Rymkosio zaczął go odsuwać i coś szeptać mu do ucha, on zaś odskoczył o krok i rzekł:

— Panie Rymkowski — ja teraz nic nie słyszałem — mnie teraz nic nie wolno słyszeć — powiedz mi to pan innym razem — teraz tu pana niema — teraz ja jestem z Medwejem — wiem co do mnie należy — tak — rozumie się — tak...

Nie mogłem dłużej wytrzymać, uniosłem się nieco na poduszkach, choć mnie ból za bok chwycił, wyciągnąłem rękę ku drzwiom i huknąłem:

— Ruszaj mi pan do miliona krrrrocset stu tysięcy dyabłów!!!

Julek skrzywił się, ale wnet ułożył usta do słodko kwaśnego uśmiechu i zapinając mankiet rzekł:

— Zatem pan stanowczo odtrącasz pomoc moją — dobrze — pięknie — trudna rada — zrobiłem swoje — Medwej, proszę cię, jesteś świadkiem — (Tu zaczął wkładać ów wspaniały surdut) — bardzo mi przykro — i takie pojmowanie sytuacyi ma swoje powody — tak — ustępuję przed stanowczością pańską — tak — (Tu począł wkładać owe wspaniałe rękawiczki — *Rymkowski*) — nie przeszkadzam zatem — Medwej, zadanie nasze skończone — zabieramy się — (Nastąpił ukłon, ale bez podania nam ręki — *Rymkowski*) — wobec tego nie ośmielam się ofiarować panu materyalnej po-

mocy, bo to jak pewnie panu wiadomo, hrabina Żyglińska nabyła odemnie «Melancholię topoli», chociaż wahałem się, ale dla kobiet robi się ustępstwa — i dla rannych — (Tu włożył paltot i kalosze — *Rymkowski*) — moje uszanowanie — sługa panów — Medwej żegnaj się — raz jeszcze — sługa!

— Moje uszanowanie — rzekł Medwej — otwierając drzwi.

— Moje najgłębsze uszanowanie — huknąłem nieco głośno za wychodzącymi. (Rymkowski dodał: «zamykajcie panowie drzwi, bo zimno wchodzi» — *Rymkowski*).

Dziwni ludzie ci praludzie!

LIST XXIII.

Kochany Panie Ludwiku!

Trochę gorączki, ale to nic. Myślałem, że dziś wstanę, ale czuję, że to jednak forsują takie wycieczki za grochowskie rogatki do pierwszego lasku o wschodzie słońca...

Za list serdecznie dziękuję i za troskliwe słowa. Dlaczego pan nic nie pisze o Bronce?? Jak tam idzie z wzięciem się do pracy?? Przecież pan wiesz, jak mnie losy tej dziewczyny obchodzą!

Przez okno leją się promienie złotego słońca. Na dworze mróz trzaskający.

Rymkowski nie chcę pisać; targuję się z nim o każde słowo.

Lekarz zapewnia mnie, że to głupstwo.
Kończę, bo właśnie wchodzi...

LIST XXIV.

Powiedziałem Rymkosiowi, że wyskoczę z łóżka, jeżeli nie będzie chciał pisać. Musi pisać, bo jestem zdumiony oryginalnym snem, jaki miałem tej nocy.

Nie piszesz pan nic o Bronce, więc mi się przyśniła. Ale co gorsze, że i pan mi się przyśnił. Musisz się pan o tem dowiedzieć a może ulżysz choremu człowiekowi jaką konkretną wiadomością o tej dziewczynie.

Wyobraź pan sobie, śniła mi się taka historya. Maleńki pokoiczek. W oknie doniczki z kwiatami. Dudni maszyna do szycia. Patrzę, siedzi przy niej Bronka. Ubrana skromnie, biały fartuch aż pod szyję, klapy na ramionach szpilkami przypięte. W progu stoją w cylindrach i paltotach Julek z Medwejem i śmieją się. Po chwili znikają. Maszyna wciąż dudni, wybiegają z niej stosy fastrzygowanego płótna.

Teraz na progu staje jakiś mężczyzna z łysem i jakaś nieco otyła kobieta. Instynkt mi mówi, że to ów Stefek z «ciotką», poglądają ku dudniącej maszynie i śmieją się. Po chwili również znikają. Z maszyny wywija się istny obłok płótna i poczyna wypełniać pokoik.

Na twarzy Bronki wypieki. Schylona nad ma-

J. Okuliez.

szyną rusza szybko nogą a równocześnie ręką przesuwa płótno. Włosy dziewczyny rozplotły się i opadły w zwojach kasztanowatych na ramiona. Płótno strzela z maszyny, skręca się w ósemki, tworzy się dokoła dziewczyny istny wir bieli.

Nagle w progu stają dwie postaci, których się bynajmniej nie spodziewałem. Jedna niziutka, trochę garbata, podobna do pająka; nos charakterystyczny, jak gdyby skrzywiony w bok od połowy, ale oczy potężne, w nich pali się siła tytana. Druga postać smukła, trochę suchotnicza, szczupły wąsik, czoło wydatne, jak gdyby z dwóch półkul utworzone. Nachylają głowy ku sobie, patrząc równocześnie w kierunku Bronki. To Matejko i Grotger.

Maszyna dudni, Bronka pochylona, wypieki na policzkach coraz silniejsze, płótno wiruje, leci, szumi. Patrzę — a tu Grotger porozumiawszy się wzrokiem z Matejką, sięga z pieca węgiel, staje przed ścianą i poczyna rysować, odwracając raz po raz głowę ku Bronce. Dziewczyna ich nie widzi, porusza wciąż nogą, płótno falującemi pasmami piętrzy się coraz wyżej pod samą powałę. Grotger zrobił kilka rzutów ręką po ścianie, patrzy ku Bronce, oczy jego palą się, bije z nich geniusz.

Nagle w progu pojawiają się znowu Julek i Medwej, stoją w cylindrach, paltotach. Patrzą na to, co się dzieje i śmieją się. Słychać w pokoiku skrzyp węgla po ścianie, dudnienie maszyny, szelest i śmiech.

Wtem poczyna się obraz zmieniać. Nikną wszyscy. Widzę tylko pusty pokoik, maszynę, na krześle przed nią siedzi Bronka zadumana a z zielonych jej oczu po nieruchomej twarzy ściekają łzy. Płótno znikło, maszyna bezczynna. Łzy toczą się po bladej twarzy dziewczyny, po gorsie białego fartuszka, spływają na podłogę — a co padnie łza, to na podłodze zamienia się w kwiatek czeremchy. Zrazu rozsypane leżą u nóg dziewczyny; lecz opadają coraz gęściej, kilka leży już na maszynie, na kolanach dziewczyny. Coraz ich więcej! Już bieli się cała podłoga, już sięgają do ramy okna. Po chwili zadumana dziewczyna tonie w powodzi odurzającej zapachem czeremchy.

Nagle odchyla się powała, odchylają ściany, ukazuje się błękit, strzela jasność. Bronka wciąż siedzi zadumana, ale znikł z niej fartuch i sukienka bronzowa; pozostała tylko w różowej, miękkiej koszulce. Łamie ręce nad głową w zadumie, patrzy w jasny błękit i przechyla się na wznak.

Teraz płynie na obłoku czeremchy, płynie z rozwianym włosem kasztanowatym, w który wplatają się kwiaty, uśmiecha się leżąc, zwraca twarz w bok, wyciąga ręce — a tu — przed nią, klęczącego na czeremchach z wyciągniętemi również rękami widzę — widzę najwyraźniej — pana — pana — widzę pana, panie Ludwiku!!...

. . . . . .

Co to ma znaczyć??? Panie Ludwiku??? To

było widzenie człowieka chorego! Pisz pan, bo łeb mi pęknie!!!.....

Dopisek manualisty.

Aczkolwiek nie mam przyjemności znać pana i nie odważyłbym się nigdy na mieszanie się w cudze sprawy, to jednak z całą uprzejmością proszę Szanownego Pana o łaskawe uspokojenie chorego jakąkolwiek wiadomością, tyczącą panny Bronisławy, wiadomością kłamliwą, gdyż z chorym jest źle i gorączka się wzmaga.

Rymkowski.

LIST XXV.

Aczkolwiek zbudziłem się z jakiegoś ciężkiego, długiego snu, z głową znużoną, obolałą, to jednak było to niezmiernie przyjemne przebudzenie kiedy odemknąwszy oczy ujrzałem nad sobą schyloną twarz Bronki.

Dobry z pana człowiek, kochany panie Ludwiku, żeś ją przysłał, bo już Rymkosiowi ręce odpadały. (Tak źle jeszcze nie było — *Rymkowski*). Teraz Rymkosio trochę się wyśpi, wypocznie Rymkosio...

Jestem, jak pan widzi, z konieczności egoistą, który innym czas drogocenny zabiera. A w życiu tak mało czasu na wszystko!

Jeżeli żyjemy jakieś sześćdziesiąt lat, to najpierw połowę tracimy na sen. Połowę życia spędzamy we śnie!... Pozostaje zatem jakie trzydzieści lat. Z tego połowę tracimy na ubieranie się

i rozbieranie, mycie, czesanie, otwieranie drzwi i zamykanie, podawanie rąk przyjaciołom, znajomym, krewnym, nakręcanie zegarka, zjadanie śniadań, obiadów, kolacyi, wizyty, rauty, bale... Pozostaje zatem jakieś piętnaście lat. Z tego poświęcamy połowę na nauczenie się czegoś, resztę zaś, to jest jakieś siedm i pół lat, na stworzenie znowu czegoś, co ma stanowić rezultat sześćdziesięcioletniej wędrówki po globie ziemskim. Siedm i pół lat na wszystko! W ciągu siedmiu i pół lat musi Darwin załatwić się z wybudowaniem swego systemu, Matejko stworzyć nowy świat w malarstwie, Wagner zaćmić wszystkich muzyków Europy, Sienkiewicz napisać jakieś trzydzieści tomów, Kraszewski sześćset tomów... A jeżeli żyli, jak Szopen lub Grotger, o połowę krócej, jak oni dali sobie radę?? Aż się w głowie mąci... Czy nie byli to prawdziwi mistrze w władaniu czasem i sobą?? Jak tu w to wszystko wpakować jeszcze kochanie się, przejażdżki za grochowskie rogatki do pierwszego lasku o wschodzie słońca...

Rymkosio wypowiada mi posłuszeństwo twierdząc, że nie chce psuć papieru na spisywanie podobnych rachunkowych majaczeń...

Dopisek prowadzącego pióro.

Nie o to chodziło mi właściwie. Ale chory ciągle «spekuluje», co mu, według lekarza, bezwarunkowo szkodzi. Nie wiem nawet, jak określić tę ustawiczną potrzebę zestawiania objawów z objawami i wysnuwania wniosków. W każdym razie donoszę

Szanownemu Panu, jako jego przyjacielowi, że niebezpieczeństwo minęło. (Zakażenie krwi wywołane zbyt późnem wyjęciem cząstek ubrania — szczęśliwie umiejscowione).

Rymkowski.

LIST XXVI.

Evoe Bacche!...

Siedzę po raz pierwszy w fotelu wprost okna, przed którem szarzeje sylwetka piszącego te słowa Rymkosia. Za oknem jasno, słoneczko! Słyszę dzwonki i brzękadła przelatujących sanek, gwar uliczny. Bronka krząta się około śniadania.

Evoe Bacche!...

Gorąca polewka winna wytwarza w duszy mojej jakiś opar. Patrzę — to mgły, mgły nad ośnieżonemi polami. Drogą od Warszawy toczą się dwie karety. Panuje mrok. W pierwszej karecie jadą oni, w drugiej my. Ja siedzę na drugiem miejscu jako amfitrjon dnia dzisiejszego; obok mnie Rymkosio, na przedniem siedzeniu Szaniawski. Koła karety skrzypią po zmarzłym śniegu. Milczymy, wyglądając od czasu do czasu przez okno, czy podążamy dość blisko za przeciwnikami. Szaniawski trzyma na kolanach w żółtem pudełku «aparaciki». Miny wielce urzędowe; cylindry, pod futrami fraki.

Kareta zatrzymuje się. Rymkosio wychyla głowę przez okno i mówi do woźnicy:

— A co tam się stało?

Woźnica milczy. Stoimy dobrą chwilę — czy ta chwila była zresztą dobra, nie powiem, bo przechodziły mnie lekkie dreszcze...

Po owej «dobrej» chwili ruszamy dalej. I znowu milczymy. Czuję tylko, że Rymkosio niekiedy zyzuje nieznacznie w moją stronę. Potem zaczął się wiercić na siedzeniu, macać po futrze, sięgnął do kieszeni na piersiach, wydobył manierkę, odkorkował i zwracając się ku mnie twarzą łagodnie uśmiechniętą, rzekł:

— W ręce kolegi...

Bul, bul, bul... Upił — podaje mi. Wziąłem, łyknąłem, podaję Szaniawskiemu. Ten kiwa przecząco głową, bierze manierkę i podaje Rymkosiowi, który ją zatyka i chowa pod futro. I znowu milczymy czas jakiś. Słychać tylko skrzypienie kół jak śpiew dogasającego samowaru.

Patrzę na kolana Szaniawskiego a właściwie na «aparaciki». Rozjaśnia się trochę. W czarnych tęczówkach Szaniawskiego gra jakiś perłowy ton. Pytam:

— Jakie warunki?

Szaniawski zwraca twarz ku mnie i odpowiada:

— Piętnaście kroków, pozycya stała, jedna wymiana kul w ciągu pięciu sekund, opadnięcie kurka uważa się za strzał.

Odwracam się do Rymkosia:

— Normalne?

— Tak, zdaje się — odpowiada Rymkowski, i oblewa się najczystszym amarantem.

Znowu kareta staje.

— Co tam takiego? pyta Rymkosio, wychylając się przez okno.

Woźnica nie odpowiada.

— Hej tam, słyszysz, bałwanie?

Milczenie. Rymkosio zwraca się ku mnie:

— Pewnie się bestyi nie chce odpowiadać. Panie Gustawie, może pan wywrze na niego wpływ skuteczniejszy...

Szaniawski składa «aparaciki» na siedzeniu, zapina futro, otwiera drzwiczki karety, wychodzi i znika w mgle. Słychać w dali głosy rozmawiających. Przechylam się w stronę przedniego siedzenia, biorę pudełko i otwieram.

«Aparaciki» leżą jak grzeczne aniołki w wydrążeniach wyklejonych suknem. Między niemi okrągłe miedziane kasetki, z boku stempel, pod jedną pokrywą pudełeczko z kapiszonami, pod drugą «z posłami śmierci»... Wszystko bardzo misternie odrobione i ułożone.

Rymkosio znowu maca się po piersiach, dobywa manierkę i przepija do mnie...

Biorę, przykładam do ust — bul, bul, bul...

Rymkosio tymczasem z całym spokojem sprzątnął z kolan moich «aparaciki», zamknął pudełko i ustawił na siedzeniu za sobą, «żeby nie spadły, jak kareta ruszy».

Milczymy. Zaczyna mnie coś podnosić. Sza-

niawski nie wraca. Rymkosio otwiera drzwiczki po swojej stronie, wychodzi. Ni stąd, ni zowąd zaczynam nucić pod nosem:

«Oj Maćku, Maciusiu... Ma—ciu—siu, niema już tu ciebie... Będziesz se wywijoł z jakom świętom w niebie... Oj Maciusiu, Maciuleńku...»

Śród mgieł rozbłysła jakaś światłość. Tumany poruszyły się u dołu, odkrywając nieco śnieg.

«Oj Maciusiu, Maciuleńku... tańcuj że z niom pomaleńku... Oja—tyda—tyda—rada, rada—tara—ta!»

W oknie karety pojawia się Rymkosio i powiada krótko:

— Wysiadamy.

Nucę jeszcze: «Oja—tyda—tyda—rada», ale nagle zabrakło mi tchu w piersi i urwałem, gramoląc się z karety.

Wał gościńca dźwigał się ponad lasek, owiany poruszającą się mgłą, która w miarę oddalenia czerniała z powodu kryjącego się za nią starodrzewu.

Po przeciwnej stronie mgły jaśniały, kłębiły się i falowały niepewne, czy sunąć w dal, czy płynąć w górę. Nad nami, za leciutkim oparem, widniało czyściutkie niebo.

«Oj Maciusiu, Maciuleńku... wywijaj z niom... wywijaj z niom... pomaleńku...»

O kilka kroków przed naszą karetą mgławi się grupa postaci w cylindrach. Słyszę przyciszo-

ną rozmowę. Po chwili odłącza się ktoś i idzie ku nam. To Szaniawski.

Stanął przed nami i rzekł:

— Karety zjadą w dół gościńcem i zaraz za opadem góry zawrócą. Tam będą na nas czekały. My zaś ruszymy tędy z wału w lasek, pójdziemy pod kątem, chylącym się ku karetom, gdzie jest znakomita polanka. Tam Julek w roku zeszłym postrzelił Stasia...

«Oj Maciusiu... Maciuleńku... wywijaj z niom... wywijaj z niom...»

— Czy panowie gotowi? — pyta Szaniawski z ukłonem.

— Chyba — odpowiada Rymkosio, zyzując ku mnie.

— Ruszajmy — rzekłem poprawiając cylinder.

Szaniawski sięgnął z karety «aparaciki», zatrzasnął drzwi i krzyknął do woźnicy:

— Jazda... za tamtym!

Woźnica opatulony dwiema burkami, z wytartą czapą barankową, nasuniętą na uszy, ujął lejce i cmoknąwszy zziębłemi wargami zawołał przeciągle:

— Aaa — heuuuu!

Kareta potoczyła się, skrzypiąc kołami po śniegu. Stanąłem na krawędzi wału szukając zejścia, gdy w tem ciemniejąca w dali grupa postaci zbliżyła się nieco i dał się słyszeć słodki głos Julka:

— Gutek... słóweczko!

Zatrzymaliśmy się. Szaniawski odłączył się od nas. Chwilę jakąś rozmawiał z Julkiem a następnie zaczęli coś gestykulować w kierunku wschodniej strony nieba.

Patrzyliśmy tam z Rymkosiem.

Po za bielejącymi oparami gotowało się coś na niebie.

Szaniawski wrócił i przyniósł mi następującą propozycyę przeciwnika:

— Ponieważ zapowiada się ciekawy wschód słońca a o tak wczesnej porze nie zawsze ma się sposobność, żyjąc w mieście, obserwować grę świateł i barw, przeto Julek proponuje, abyśmy opóźnili spotkanie o jakie dziesięć minut...

Łagodny Rymkosio przerwał Szaniawskiemu i rzekł z całym spokojem:

— Powiedz pan temu Julkowi, że jest głupi...

Na co ja odparłem:

— Powiedz pan, że się z przyjemnością zgadzam...

Szaniawski oddalił się, Rymkosio natomiast zaczął bić piętą w śnieg i coś mamrotać pod nosem.

Popatrzyłem w stronę wschodu.

Świat cały był nakryty zasłoną falującej mgły. Nagle ręka jakiegoś czarodzieja podniosła z niezmierną szybkością tę zasłonę w górę i przez błękitne niebo unosząc, rzuciła gdzieś za widnokrąg. Odsłoniło się ośnieżone morze wierzchołków lasu.

rozpościerające się aż do krańców nieba, podobne do zamarzłego lodowiska gdzieś pod biegunem, kędy Nansen, towarzyszów pożegnawszy, sam się zapuszczał, sam, mając za przewodnika tylko odwagę swoją. Modro-biała dal wierzchołków niezliczonych drzew poczęła coraz więcej jaśnieć i gdzieniegdzie błyskać kryształikami migotliwymi. Na wschodzie niebo grało barwami zielonemi, pomarańczowemi, które to barwy udzielały się ośnieżonej przestrzeni wierzchołków. Ale na samym skraju firmamentu błysła śnieżno-złota plama, niby jakaś odkryta pierś. Zdawało mi się, że jakiś cień w nią uderzył i wnet wysączyła się z tej złotej piersi w górę wielka kropla krwi, wielka jak głowa, czerwona jak ogień. Wszystkie wierzchołki widniejące przed nami pokryły się czerwienią, oślepiającą czerwienią... Odwracam oczy w stronę Rymkosia zadumanego i zapatrzonego... Na twarzy jego powłoka czerwieni...

Przez chwilę widzę wszędzie tę kroplę krwi, na niebie, na śniegu, na futrze Rymkosia. Ale nieco później widzę już tylko krążek zielonkawy, również wszędzie, na co padnie moje oko. Potem znów krążek ten niknie a natomiast wysuwają się plamki sino-szare, przelatują między mną a Rymkosiem nad śniegami, w powietrze, po niebie...

— Uważajcie, panowie, teraz na ten ton — tak — trochę za jasny karmin — jest to za ordynarne — takby nie można malować — prawda? — każdy to przyzna — niebo dobre — miękkie —

omdlałe — ale także nieco ordynarne — to wina położenia geograficznego, w jakiem się znajdujemy — tak — niezawodnie — bardziej na południe wychodzi to wszystko mniej ostro — zlewa się z sobą — modyfikuje — dlatego też i społeczeństwo jest tam więcej wyrobione — większe poszanowanie dla sztuki — tak — a przedewszystkiem dla artystów — tak — prawda? — A teraz patrzcie panowie — o! — jak tu malować tę pstrokaciznę — w takie kolory ubierają się Kaśki i Maryśki, gdy idą do kościoła, ale nie szanujące się niebo — hi, hi, hi, hi... Porównanie niezłe — co? — Wolałbym, żeby zamiast tego jednostajnego lasu były jakie wzgórza — tak — albo jakie jezioro.

Nagle przerwał ciszę głos Rymkosia:

— Panie Juliuszu, czy możemy tymczasem wrócić do Warszawy na szklankę gorącej herbaty?

Dał się w dali słyszeć szereg pytań:

— Co? Co? Co on mówił? Co?

Na co dobiega nas przyciszona odpowiedź, poczem znowu ozwał się Julek słodko-ironicznie:

— Spieszy się tym panom... Widocznie mało mają zimnej krwi...

Zeszliśmy z nasypu w głąb lasku.

Szaniawski i Rymkosio idą przodem, radząc coś. Tamci również zbiegli z nasypu i suną na przełaj. Przedzieramy się przez gąszcz, otrzepując śnieg z gałązek; śnieg osiada nam na rękawach, na ramionach.

Po kilku minutach rozchylają się krzewy i drzewa; stajemy na dość rozległej polance. Na przeciwko grupuje się partya Julka. Porozumiewają się. Nadchodzi Medwej, szepcze coś na ucho Szaniawskiemu, ten kiwa głową, podchodzi do mnie i pyta:

— Ma pan przy sobie oświadczenie?

— Jakie oświadczenie?

— To trzeba zaraz napisać... Tu na pieńku można... Ma który z panów kawałek papieru? Nie? To oni będą mieli.

I rusza do naszych przeciwników.

— O jakie oświadczenie im chodzi? — pytam Rymkosia.

— Niemam pojęcia — odpowiada Rymkosio.

Szaniawski wraca z papierem i ołówkiem, strzepuje śnieg z pieńka i mówi do mnie:

— Trzeba na wszelki wypadek przygotować oświadczenie, że giniesz pan śmiercią samobójczą.

— Ah... rozumiem!... Owszem, zaraz napiszę...

Siadłem na pieńku i zacząłem pisać, podłożywszy cylinder pod kartkę.

— Wystarczy w dwóch słowach — nalegał Szaniawski.

— Nie przeszkadzaj pan — przerwał Rymkosio. — Odliczymy tymczasem kroki.

Szaniawski zdjął futro, położył na śniegu, na futrze pudełko z «aparacikami». W połowie polanki zeszli się z sekundantami Julka.

Medwej ujął pod ramię Szaniawskiego i mieli zacząć mierzyć metę. Ale Rymkosio odsunął Szaniawskiego i ruszył w bok z Medwejem.

— Co pan nazywasz krokiem? — odezwał się Medwej, stając.

— To, co wszyscy ludzie na całym świecie. No, dalej, nie traćmy czasu!

I nogami jak topole długiemi począł czynić jakieś nadludzkie skoki, którym Medwej z niemałym trudem nadążał. Obaj w głos liczyli:

— Raz — dwa — trzy — cztery — —

— Zajdą panowie do Warszawy — zawołał śmiejąc się Julek.

— Pięć — sześć — cicho tam! — siedm — —

— Cha, cha, cha, cha, cha, cha — brzmiał chrypliwy tryl śmiechu.

Szaniawski zawiązał na chustce węzełek i wysuwając różki białe ku mnie — rzekł:

— Węzełek oznacza Nr. 1 pistoletu.

Pociągnąłem nie patrząc i pisałem dalej.

Po chwili ktoś znowu wysunął ku mnie różki chustki:

— Węzełek oznacza Nr. 1 pozycyi.

Pociągnąłem i pisałem dalej.

Zaczęli nabijać «aparaciki». Rymkosio odepchnął Szaniawskiego i Medweja.

— Ja mam tu także głos — rzekł z dziką stanowczością jak na jego gołębi charakter (Wcale nie tak gołębi — *Rymkowski*).

Skończyłem pisać. Usłyszałem:

— Na stanowiska!

Zarzuciłem futro i ruszyłem.

Przez chwilę mroczyło mi się trochę przed oczami. Ustawiono mnie i wręczono pistolet. Spojrzałem przed siebie. Julek stał w pozycyi jak Adonis.

Wtedy zaszła we mnie widocznie jakaś zmiana. Powietrze wydało mi się jakoś więcej przejrzyste, wszystkie przedmioty widziałem wyraźniej, bliżej. Spojrzałem ku ręce opuszczonej z pistoletem. Była lekko różowa od chłodu, spokojna, jakby dzierżyła nie ów «aparacik», ale najnudniejszy rękopis, nadesłany przez prowincyonalnego korespondenta do redakcyi. I znowu spojrzałem na Julka. Widzę go blizko, coraz bliżej, coraz wyraźniej... U dyabła, ja doprawdy... mimowoli... chlasnę w niego...

W połowie mety, nieco z boku, grupują się sekundanci, lekarz, na czele staje Rymkosio i mówi głosem bardzo chwiejnym w tonacyi (Bardzo proste! — *Rymkowski*):

— Jako superarbiter wzywam panów do zaniechania nieprzyjacielskich kroków względem siebie... Obaj jesteście młodzi, obaj macie obowiązki względem społeczeństwa...

— Ja żadnych niemam — przerywa Julek.

Rymkosio zwraca twarz ku mnie.

— Może panowie podaliby sobie ręce na zgodę...

Milczenie.

Odzywa się Medwej:

— Z obowiązku sekundanta wzywam panów do zgody. Milczenie oznacza odmowę... Panowie milczą... Odstępuję głos panu Gustawowi Szaniawskiemu.

Szaniawski mówi:

— Z obowiązku sekundanta wzywam panów do zgody. Milczenie etc. etc. etc.

Przychodzi mi do głowy, że gdyby tym głosem kapłan wzywał przed konfesyonałem grzeszników do skruchy, to dyabli zamianowaliby go honorowym prezesem swej instytucyi.

Rozlega się komenda na próbę, po chwili zaś donośne:

— Baczność!... Raz...

Nim podniosłem pistolet, błysło coś przedemną, coś trzasnęło mnie w bok i w moment potem rozległ się huk pistoletu Julkowego.

Podbiegają ku mnie, chcą podpierać.

— Za pozwoleniem, jeszcze ja swego nie zrobiłem...

Podnoszę pistolet... Widzę go wyraźnie... Gruchnęło jak sto dyabłów... Opada dym... Z głowy Julka sypie się cylinder...

Słyszę gwar:

— Cylinder przestrzelony! Cylinder! Gdyby niżej o linię — —

— Jak mierzyć, to mierzyć!—mówię z uśmiechem do nadbiegającego Rymkosia.

Ale po chwili widzę niebo nad sobą i dłonie

dotykają czegoś zimnego... To śnieg... Szaniawski podtrzymuje mi głowę...

Niebo staje się z niebieskiego sine, potem szare, potem czarne...

Dudni coś dokoła... Zapadam w jakąś głąb...

LIST XXVII.

Kochany Panie Ludwiku!

Ot, znowu po długim czasie pierwszy list, kreślony rodzoną ręką pańskiego przyjaciela. Wieczór, Rymkosio na mieście, Bronka reperuje mi ubranie; jakoś nie idzie jej biegle . . . . . .

. . . . . .

Przepraszam... przerywam na chwilę pisanie.

. . . . . .

Co tylko miałem z Bronką dość długą rozmowę. Uważam sobie za święty obowiązek powtórzyć ją panu bez jakichkolwiek uwag ze swej strony.

— Kiedy Brońcia wraca do Krakowa?

— Jak pan będzie całkiem zdrów.

— Kiedy już jestem całkiem zdrów.

— Dokąd mam wracać?

— Do Krakowa...

— Poco??

— Jakto: poco? Do pracy!

— Ah...

— Już Brońcia dość czasu zmitrężyła na te głupstwa.

— To nie były głupstwa.

— Wszystko jedno, ale zabrały Brońci dużo czasu...

— Ja mam zawsze dużo czasu...

— To źle...

— To dobrze!

— Kiedy z Brońcią nie można się dogadać...

— A inni potrafili...

— Ale ja nie chcę być taki, jak inni...

— Eh...

— Czego Brońcia mówi «eh...» Wracać do Krakowa i brać się do roboty.

— Jaki pan dziś nudny!

— Proszę mi opowiedzieć, jak to tam było w Krakowie.

— Co będę opowiadać!

— Do czego się Brońcia wzięła? Do maszyny?

— Do maszyny...

— Do szycia bielizny?

— Do szycia bielizny...

— A może nie do szycia bielizny?

— Może i nie...

— Po jakiemu Brońcia gada?

— Uoo, jaki pan dziś nudny, strach! wytrzymać nie można...

— Brońciu, ale ja się zupełnie na seryo Brońci pytam...

— Wiem, pan jest zawsze na seryo... Jeszcze w życiu takiego nie spotkałam...

— Jak Brońcia myśli, czy taka robota może się opłacić? Ja myślę, że może. Z początku tobyśmy tam Brońci dopomagali... Co Brońcia tak patrzy w lusterko?

— Czy nie wyładniałam przez czas pańskiej choroby? Co?

— Brońcia wie, że ja się na tem nie znam...

— O, jaki mi to święty... myślałby kto...

— Niech mi Brońcia się nie wykręca. Gucio mówił, że Brońcia chce się wziąć do pracy i w bardzo ładnych kolorach tę chęć Brońciną odmalował.

— Kto??

— Mówię: Gucio...

— Gucio?? A to gałgan...

— Po jakiemu się Brońcia wyraża...

— Gucio jest łgarz, a ja łgarzów nie lubię.

— Nie widzę wcale, żeby Gucio był łgarzem.

— Gutek wziął się teraz do malowania «nastrojów», to już mu nie jestem więcej potrzebna. Niech mu nastroje pozują...

— Do pracy Brońcię zachęcał...

— O jo joj, co z pana za człowiek! Namawiał mię do pracy, bo chciał się mnie pozbyć a żal mu było komu innemu ustępować...

— Co Bronka dziś taka gorzka?

— A bo jestem gorzka...

— Zresztą pal sześć Gutka. Wracam do projektów pana Ludwika Kołakowskiego. Najął

Brońci pokoik? Pomógł wybrać maszynę? postarał się o jaką naukę szycia, kroju?

— Aha... Co pan chce na kolacyę? Szynka gotowana, czy surowa?

— Ja chcę teraz wiedzieć, jak się pan Ludwik zajął panną Brońcią. Bo przecież muszę mu podziękować.

— To niech mu pan podziękuje. Zajął się mną.

— A jakeście się to sobą zajmowali?

— Niech pan nie będzie zanadto ciekawy...

— Moja Brońciu, mówmy seryo...

— Przecie pan inaczej nie potrafi...

— Pan Ludwik Kołakowski podobał się?

— Dlaczego??

— Niechno Brońcia tu bliżej podejdzie i poda mi rękę...

— Co panu jest?

— Niechno Brońcia podejdzie...

— No dobrze... Pan taki dziwny dziś... Pan to dobry, naprawdę dobry... Oh, co to? Siwy włos na skroni? Zaraz, to trzeba wyrwać...

— Ale bardzo proszę...

— Nie, nie, nie! To wskutek tej choroby.. Ot już go niema... O jej! Ależ tu na drugiej skroni pełno... Czekaj pan... Pan jeszcze wcale ładny...

— Niech mi Brońcia nie siada na kolanach...

— Ja bardzo pana lubię, bo pan jest miłosierny człowiek... Pan ma dobre serce a takich mało na świecie... I pan jesteś doprawdy jeszcze ładny...

Takie pan ma mądre oczy... Nigdy nie kochałam się w człowieku o mądrych oczach... Stefek miał namiętne oczy... Oni wszyscy mają namiętne oczy... Ale mądrych to nie mają...

— Niechno mnie Brońcia posłucha...

— A czyby pan choć trochę pokochać mógł taką biedną dziewczynę, jak ja? Czekaj pan, przeczeszę pana... Pan się źle czesze...

— Słuchaj, Bronka...

— Jabym pana po zapachu poznała nie wiem gdzie, choćby było ciemno... Niech mi pan popatrzy w oczy... Nie srożyć się.

— Bronka, głupia jesteś!

— Tak? To widzę, że się z panem bawić nie można... Czego pan chce, ale prędko?

— Słuchaj. Takich Stefków, takich Szaniawskich, takich Julków toś tuzinami słuchała. Czemu nie chcesz posłuchać bodaj raz rozumnego człowieka...

— Mów pan, bo już jestem zła... prędko!

— Bronka... A w jaki to sposób zajmował się tobą tam... w Krakowie... ten...

— Panie, bo się rozpłaczę...

— Słuchaj... czyżby i on??

— Pan doprawdy gada, jak dzieciak... Czy pan nie przypuszcza, że ja chciałam się wyrwać z tego wszystkiego?? Co?? Czy pan myśli, że nie mam tego — potąd? Bo czemże ja jestem?? Modelką?? Cha, cha, cha, cha. Kiedy przestali kobiety malować, to spróbowałam wziąć się do roboty...

Czy pan wie, ile to można przez dzień zarobić? Czterdzieści groszy, najwyżej czterdzieści pięć... I jeszcze za co to człowieka mają! Bieda, chłód, głód, niedospane noce, obrzękłe ręce, zaczerwienione oczy, bóle w krzyżach i łopatkach... A w dodatku wymyślanie, czasem i potrącanie... Cha, cha, cha, cha, cha!... Czybym to ja sobie zarobiła na taką suknię, jak ta — o!? Albo czybym miała taki zegarek?!... Ładnie wam gadać o pracy, ale czy wy wiecie, co to jest praca takich dziewczyn, jak ja!?... Wiem, wiem, wiem najlepiej, czem jestem i to tak dalej nie może być... Ja muszę wziąć się do czegoś... Bo czemże ja jestem? Prostą czyjąś nał... zawsze czyjąś... zawsze w niewoli... Dziś u tego, jutro u tamtego...

Przerwała, ukrywając twarz w rękach. Nastała chwila ciszy. Zrobiło mi się żal dziewczyny, ująłem ją łagodnie za rękę i rzekłem:

— Niech Brońcia słucha... Tu weźmiemy się do pracy... Ja się tem zajmę... Ja w to wierzę, że z Brońci da się coś zrobić... wierzę, jak Boga kocham! W tobie dziewczyno dobry grunt, tylko cię zepsuli, zepsuli, okropnie ci duszę uszkodzili... Szkoda, że to tam w Krakowie spełzło na niczem, bo pan Ludwik...

Bronka skoczyła jak ukąszona przez żmiję.

— Co pan Ludwik? Który pan Ludwik?! Phi... Już też niech pan nie udaje... Bo też czasem gada pan tak, jakby pan miał lat pięć. Nie myślałabym tyle o losie innych, tylkobym się kochała

w ładnych kobietach i koniec! Pan Ludwik! On taki, jak i wszyscy, ma trochę szerszą rękę... To też jakeśmy się puścili tam... mówię: na gruby guzik... to się trochę spłukał... Co się pan tak na mnie patrzy? No, co? Już pan nie jest chory, to można z panem gadać jak z mężczyzną... Cha, cha, cha, cha, cha!... Patrzcie państwo!... Jeszcze nie może zrozumieć... Cha, cha, cha, cha, cha!...

I śmiejąc się dzikim chichotem wybiegła szybko z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

LIST XXVIII.

Nie pytam pana jakie wrażenie wywarł na panu list ostatni. Nie pytam pana, czy to prawda, czy to nieprawda, co Bronka opowiadała. Nie pytam pana, ku jakiej filozofii chylisz się, w jaki system ekonomiczny wierzysz, jakie masz poglądy na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość kuli ziemskiej, tak zwanej ludzkości, ras, szczepów, narodów, mężczyzn i kobiet. Nie pytam pana, jakiej teoryi o sztuce hołdujesz, kto cię rodzi i czy zamyślasz się żenić. Nie pytam wreszcie o to, czy jesteś religijny i czy wierzysz w Boga. Słuchaj tylko tego, co będę opowiadał.

Cotylko wyszedł odemnie Rymkowski. Bardzo zbliżyliśmy się ze sobą w czasie mojej choroby. Jest to człowiek ewangelicznej czystości i prostoty.

Opowiadają o nim, że nie kochał w życiu ani

razu. Mam naturalnie na myśli miłość względem niewiasty; gdyż zresztą Rymkowski kochał dużo, kocha wiele! Nie widziałem duszy piękniejszej, pogodniejszej a zarazem bardziej bojowej. Tylko to taki zwierz, który nie walczy pazurami i kłami, ale spojrzeniem gołębia i powolnością baranka.

Ciągle coś pisze, choć prawie nic nie ogłasza. Mało kto wie o nim. Ale jeżeli kiedyś świat dobierze się do jego stolika, to według mnie znajdzie tam to, czego mu w tej chwili brak i z którego to braku zdaje sobie sprawę w różnych żalach i skargach. Gdyby jednak Rymkowski zaniósł mu dziś swój dorobek, wyrzuciłby biedaka za drzwi. Kto światu coś przynosi, musi mieć w sobie jakiś majestat, inaczej świat nie będzie z nim gadał. Takim biedakom, jak Rymkowski, tylko śmierć nadaje majestat.

A przecie ten gołębi człowiek bywa niekiedy zjadliwy jak Heine. Rozmawialiśmy w czasie choroby o «Herm-Afrodycie». Rymkowski uśmiechnął się i rzekł:

— Ci panowie wygłaszają hasło: sztuka dla sztuki. Nie przeczę, że hasło to jest równie dobre, jak wszelkie inne, aczkolwiek go nie rozumiem. Gdybym naprzykład powiedział nędzarzom, kalekom i chromym, że Bóg jest dla Boga a nie dla nich, to wziąłbym im jedyną nadzieję i podporę w strapieniu życiowem. Gdybym im powiedział: niebo jest dla niebian a nie dla ludzi, popadliby w rozpacz. Ale przypuśćmy, że drogą jakichś de-

dukcyi uzasadnimy tę tezę i powiemy, że człowiek może stać się niebiańskim, a wtedy i niebo mu się otworzy. W sztuce jednak wszelkie teorye i wywody nie mają najmniejszego znaczenia. Tu rozstrzyga praktyka, czyn, dzieło. Obaczmyż, jak owi panowie, którzy wygłaszają hasło «sztuka dla sztuki», wykładają swoje teorye dziełami, czyli: jak przedstawiają się w praktyce. Według mnie jest to literatura najniższych instynktów o bezkrytycznym wyborze, literatura, którą nazwałbym nie sztuką dla sztuki, ale sztuką dla podrażnienia nerwów seksualnych.. Panowie ci gromią zacofany świat, że nie słucha ich pieśni lubieżnej. Ale mnie się zdaje, że to oni właśnie są zacofani i że są zarazem dworskimi artystami nikłej gromadki zacofanych. Z jakąż pogardą odzywamy się dziś o najemnych pieśniarzach średnich wieków lub o nadwornych sztukmistrzach. A czemże są ci panowie? Zaprzedają się tym, którzy wygnali z duszy wszystko, co pięknem trąciło, zaprzedają się bankierom, fabrykantom, jednem słowem nabobom, bo któż może ich lepiej płacić? A rozmaici bogaci próżniacy, którzy przez cały dzień, wyspawszy się poprzednio, myślą tylko o sprawieniu przyjemności swoim zmysłom, z jakąż lubością nabywają rzeczy podrażniające ich nerwy seksualne!... Tak, to nie artyści, to geszefciarze, którzy sztuki nie tworzą, ale ją mniej lub więcej zręcznie wyrabiają, to ludzie z niewidzialnymi łańcuchami na rękach, które w dodatku sami sobie wkładają, okłamując świat

teoryjkami o niezależności. Mnie się zdaje, że prawdziwa sztuka, owa nieśmiertelna, owa wielka, owa prometejska, będzie zawsze trafiała łatwiej do serc maluczkich, niż do serc bankierskich. A zresztą, jeżeli jakiś odłam sztuki ma się stać dopiero wtedy przystępny dla ludzi, kiedy wszyscy będą mieszkali w pałacach, udekorowanych gołemi kobietami, to może zaczekalibyśmy z malowaniem do tych czasów, kiedy nie będzie w życiu gołych kalek, źle odzianych sztubaków i szwaczek o zaczerwienionych powiekach... Przeto zdaje mi się, że taki praczłowiek, widzący nędzę i mizeryę na każdym kroku, odwracając od niej twarz z słodko-ironicznym uśmieszkiem i malujący dla tych, którzy często gęsto stają się powodem owej mizeryi, powtarzam: malujący dla nich bachantki, na marmurach omdlałe, że taki człowiek, taki esteta, taki artysta, musi mieć chyba kamienne serce...

Tak wywodził Rymkowski. Są to naturalnie zdania szalone, na które może się pan nie zgodzi. Ale, jak powiedziałem, nie pytam się pana, jakie teorye pan wyznaje. Proszę tylko, abyś słuchał tego, co dalej opowiadać będę.

Rymkowski wszedł dziś bardziej nieśmiały, niż zwykle. Czułem, że przybył z «czemś». Siadł na fotelu, opuścił oczy i obu rękami dzierżąc kapelusz, puszczał go w ruch obrotowy.

Zaczęliśmy mówić o mojej ranie. Temat się wyczerpał niebawem. Pauza.

Zaczęliśmy mówić o malarstwie. Temat wyczerpał się również bardzo prędko. Druga pauza.

Zaczęliśmy mówić o poezyi. Zdawało mi się, że chłopak ma coś w zanadrzu. Może chce mi przeczytać. Naprowadzam rozmowę na to, potem pytam wprost — nie. Trzecia pauza.

Zaczynamy mówić o sprawach społecznych. Rymkowski podnosi oczy. Aha, coś jest. Ale oczy chłopaka po chwili gasną, znowu je chyli, puszczając rękami kapelusz w ruch obrotowy. Urywam. Czwarta pauza.

Przechodzę do filozofii myśli i nieznacznie zbaczam do filozofii serca. Kapelusz Rymkowskiego przestaje wirować. Czuję, że mam już klucz w ręku, nie mogę tylko trafić do zamka. Jeszcze ciemno.

Nagle Rymkowski odrzuca kapelusz na łóżko, zaczyna oglądać swoje paznogcie i powiada do mnie:

— Przyszedłem do kolegi w pewnej sprawie dość trudnej i zawikłanej...

— Słucham. Jestem na usługi.

Rymkowski wciągnął powietrze do płuc, zaczął pukać po poręczy i rzekł po chwili:

— Chciałem z kolegą pomówić o pannie Bronisławie.

Uderzyło mnie to. Rymkowski spojrzał w okno i ciągnął dalej:

— W czasie choroby kolegi miałem możność przypatrzenia się bliżej tej dziewczynie. Zdaje mi

się, że przyszłość jej nie zapowiada się świetnie. Jest to życie z dnia na dzień. Dopóki młoda, zdrowa, wesoła, wszystko idzie jak z płatka...

— Czy tylko jak z płatka, wtrąciłem.

— Tak kolega mniema? A to tembardziej.

— Co tembardziej?

— Zaraz się wytłomaczę. Zdaje mi się, że jest to dziewczyna z bardzo dobrem sercem.

— Może z zepsutem...

— Tegobym nie powiedział. Ostatecznie widziałem ją, jak się krzątała w czasie choroby kolegi. Przyleciała umyślnie z Krakowa, siedziała całemi nocami, nie wysypiała się, dźwigała nieprzytomnego... A dla kogo to robiła? Dla człowieka bądź co bądź obcego; czyniła to, o ile mi wiadomo, całkiem bezinteresownie...

Teraz ja nie znalazłem odpowiedzi. Milczałem. Rymkowski spojrzał na mnie swemi gołębiemi oczami i rzekł:

— Gdzie zatem kolega widzi zepsute serce?

— Istotnie, masz kolega racyę — odparłem i z kolei spojrzałem w okno.

Nie mogłem przecież obgadywać tej, która była mi siostrą miłosierdzia. Zresztą nie miałem wobec Rymkosia argumentu racyonalnego.

Rymkowski zaczął znowu:

— Więc kolega zgadza się na to, że jest to dziewczyna z bardzo dobrem sercem?

— Zgadzam się najzupełniej — odparłem, pu-

kając w poręcz i czujcą, że teraz Rymkowski staje się kluczem, a ja zamkiem.

Rymkowski pomilczał chwilę i począł mówić:

— Nie powiem, aby los panny Bronisławy był pewny śród tutejszych malarzy. Są to ludzie o bardzo zmiennem usposobieniu, jeżeli już nie charakterze. Zresztą zdaje mi się, że oni ją haniebnie wyzyskują.

— Albo wyzyskali — już!

— Czemu — już? mniemam, że to trwa w dalszym ciągu.

— A ja mniemam, że swoją drogą obecnie ona zgadza się na taki stan rzeczy.

— Bo nie zdaje sobie sprawy z tego.

— Przypuszczam, że już zdaje sobie całkiem dokładnie sprawę z tego...

— A ja mimo to pozwoliłbym sobie zaprzeczyć koledze. Może kolega zgodzi się na mój pogląd.

— Słucham.

— Panna Bronisława jest modelką i niczem innem obecnie być nie może. W tej chwili jest świeżą, młodą, piękną, oryginalną. Ale to nie potrwa długo. Niebawem kwiat ten pocznie schnąć, a wtedy któż ją będzie malował?

— Widywałem w Niemczech modelki pięćdziesięcioletnie.

— Wiem — i ja widywałem. Ale nie w Warszawie, gdzie malują tylko «główki» i «odaliski».

— Prawda. Zapomniałem o tej normalności... Więc?

— Więc rzecz przedstawia mi się tak. Panna Bronisława daje malarzom całe swoje życie w wykładniku okresu rozkwitu swej urody. Tymczasem malarze nie dają jej honoraryum za całe życie, tylko za te kilka lat. Przecież we wszystkich przejawach podażu i popytu bierze się pod uwagę w obliczaniu cen wartość odpadków... Przepraszam kolegę, że się tak prozaicznie wyrażam, ale zdaje mi się, że tylko dobry poeta ceni należycie prozę... Otóż według mnie malarze nie wynagradzają panny Bronisławy w ten sposób, aby honorarya zabezpieczyły jej życie w latach późniejszych. Niebawem odepchną ją jak grat zużyty. I zdaje mi się, że panna Bronisława zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Czy zatem przekonałem kolegę?

— Najzupełniej — odparłem, oglądając paznogcie.

— Zatem kolega widzi, że dzieje się jej krzywda w dalszym ciągu?

— Tak, widzę, istotnie...

— O to mi właśnie chodziło. Sądzę, że teraz mogę przejść do następującej rzeczy. Mnie się zdaje, że trzebaby o jej losie pomyśleć...

— To już próbowano...

— Nie słyszałem o tem.

— A ja słyszałem.

— Co kolega słyszał?

— Namawiano ją do pracy.

— Kto namawiał?

— Ja — inni...

— I jakiż skutek?

— Nietęgi...

— Daruje kolega, ale nie bardzo ufam tym próbom. Praca, to słowo o bardzo rozległem znaczeniu. Główna rzecz, czy panna Bronisława wykazała dobrą wolę, czy nie...

— Właśnie zdaje mi się, że nie...

— Otóż znowu pozwolę sobie wystąpić z maleńką opozycyą. Kolega powiada, że panna Bronisława nie wykazała dobrej woli. Przeciwnie! W czasie choroby kolegi pracowała jak prosta dziewka, poparzyła sobie ręce środkami antyseptycznemi, dźwigała kolegę, mężczyznę ciężkiego, latała do doktora, do apteki, gotowała buliony... Trudno mi wyliczyć w tej chwili wszystkie czynności. A przecież robiła to, jak już powiedziałem, zupełnie bezinteresownie. Gdzież tu zatem niepracowitość i zła wola?

Racya! Niema co gadać: racya! Przecież nie mam prawa powoływać się na to, co się działo w Krakowie, kiedy tamto jest dla mnie teorya, a to, co się tu działo, praktyka. Rymkowski użył najczystszego «argumentum ad hominem». Bo nie mam prawa upominać się za obrazę moich teoryi, gdy ktoś w praktyce względem mnie postępuje jak miłosierny Samarytanin. Odparłem tedy:

— Najzupełniejsza racya.

— Więc kolega zgadza się na to, że panna

Bronisława jest pracowitą i wykazuje bardzo dużo dobrej woli?

— Zgadzam — się — najzupełniej. —

— O to mi właśnie chodziło... Przystępuję tedy do rzeczy stosunkowo najważniejszej... Kiedy w czasie choroby kolegi miałem możność przypatrzenia się bliżej jej dobremu sercu, jej pracowitości, jej dobrej woli, przyszło mi do głowy...

Urwał. Tchu mi brakło w piersiach.

— Co panu — przyszło — do głowy?...

— Przyszło mi do głowy — a gdybym ja tak — z panną Bronisławą — ożenił się...

Ucapiłem się obu poręczy. Rymkowski oblał się szkarłatem i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem:

— Jak się kolega na to zapatruje?

Jak ja się na to zapatruję??... Myśli latały mi po głowie, goniąc się wzajemnie... Począłem kręcić się na krześle, kłaść dłoń na poręcz i podnosić... A on czekał mej odpowiedzi, chylił tylko twarz, czerwieniejąc coraz silniej...

Co ja na to?!... Panie Ludwiku... może pan, któryś również poznał jej *dobre serce* i wiesz, kto to Rymkowski, pierwej na to odpowiesz...

LIST XXIX.

Powiedz mi pan, panie Ludwiku, jakim sposobem ja w to błoto zalazłem?? I powiedz mi pan, jakim sposobem jestem niby śród błota, kiedy pa-

trząc na ręce i na czoło w zwierciadle, nie widzę najmniejszej plamy na sobie??

Przypuszczam, że pytanie, stawione panu w liście ostatnim, będziesz uważał za retoryczne, to jest takie, na które osoba zapytująca nie oczekuje odpowiedzi. Nie przeczę, że jestem w bardzo kłopotliwem położeniu, ale istotnie w tej sprawie nie oczekuję odpowiedzi — od pana.

Rozmowa z Rymkowskim miała epilog następujący.

Rymkowski powstał nagle; i ja powstałem.

— Pan mi nie odpowiada? — wyjąknął.

Chwyciłem go za obie ręce.

— Widzi kolega... cóż ja... ja się na tych sprawach... jakby tu powiedzieć..

— Stawiłem pytanie niezmiernie proste i przypuszczałem, że kolega równie prosto może mi na nie odpowiedzieć...

— Daruj mi, ale... miałem w tej chwili maleńki zawrót głowy... nie jestem jeszcze całkiem... w porządku z sobą...

— Boże mój! Koledze słabo?! A ja głupi męczę kolegę takiemi sprawami... Może to lepiej dziś na noc zostać...

— Nie, dziękuję serdecznie...

— Ale! Zostaniemy z panną Bronisławą... bo ja taki niezgrabiasz...

— Nie, bezwarunkowo nie!... Nie chcę, nie chcę!

— He, he, he! Chorego się nie pytają! Lekarz

nas ostrzegał, że siły kolegi nieco wyczerpane... Brak świeżego powietrza... Niech kolega nie robi ceremonii! Co tam! Jedna noc więcej, czy mniej... Lecę po pannę Bronisławę... Uszanowanie...

— Stójże, człowieku!...

Zamknął mi drzwi przed nosem. Słyszałem tylko grzmot po schodach...

LIST XXX.

Nie masz pan pojęcia, co się dziś na świecie dzieje! Roztopy, marzec, co pięć minut inne powietrze.

Chmury urządzają sobie po niebie jakieś turnieje czyścowe. Od czasu do czasu rozgarnia je promień słońca, przebiega po ziemi i niknie. Deszcz, śnieg, jakaś kasza — i za chwilę znowu pogoda. Wiatr tylko gra bez ustanku, zmieniając tonacye.

Nie znam dziwniejszego grajka nad ten wiatr polski. Posiada on na skrzypkach swoich milion strun i chyba milion smyczków. Od najcieńszego dyszkantu przebiega do warczącego basu organów, z cichej melodyi, podobnej do nuty komara, wpada w huragan akordów. Niekiedy poczyna gdzieś w głębi gamę chromatyczną oktawami i kończy ją jakimś piekielnym świstem, chichotem trylu, urywa — cisza — i znowu ryk jakby stada turów oszalałych, jakby wojenny okrzyk wędrujących szczepów, świst strzał pierzastych, rżenie koni...

To znowu jakby szum wzbierającego potopu i krzyki tłumów, czepiających się po opadach skał, ojców, spychających syny, synów kąsających z rozpaczy ojców celem zdobycia piędzi ziemi, ułomka skały nad wzbierającą masą wodną. Fale ryczą i wodnemi paszczami pochłaniają gromadę za gromadą, dzikim śmiechem uderzając o niebo, zasunięte brunatnemi chmurami. Grzywiaste bałwany rozglądają się po górach i cyplach, gdzie zczepiony kłąb rąk i ciał; spojrzały, ryknęły chichotem i natarły, zwlekając ze skał za nogi całe sploty połyskliwych ciał ludzkich, rozrywają je, roznosząc po wrących dalach, chłonąc, wyrzucając na chwilę z wód kilka głów, kilka rąk i natychmiast zalewając je pianami i syczącą zielenią wody morskiej. Chmury na niebie palą się jak miedź. Gdzieś z najwyższego szczytu Himalajów Herkules jakiś patrzy ponuro ku owym płonącym chmurom, a u nóg leży ciężko oddychające chłopię i omdlała dzieweczka. On, siłacz nad siłacze, rozpruł barami tłoczące się tłumy, oślą szczęką oczyścił najwyższy cypel i wciągnął za sobą chłopca i omdlałą dziewczynę. Raz jeszcze gromady ludzkie rzuciły się na nich, chwyciły zębami ich nóg, przewracając okiem oszalałem jak zwierz; on półbóg pochylił się ku nim, ścisnął ich gardła, kurczowo ściągnięte szczęki rozwarły się, puszczając z zębów nogi chłopaka i omdlałej dziewczyny; w tej chwili zawrzały fale, zmyły napastników; on półbóg ujął się za zlane wodami czoło i patrzył po

dalach... Jeno wody, wody, wody, wody!... Spojrzał w niebo... Jeno jakaś paląca się miedź, z której leją się szkliste strugi, z trzaskiem padając na pieniste, zielone, wzbierające przestrzenie! Chłopak obejmuje go za nogi, wznosi twarz ku niemu, błaga wzrokiem, wskazując ręką ku omdlałej dziewczynie... Półbóg jedną dłoń położył na jego zwilżonych włosach, drugą trzyma nad oczami i rozgląda się. Oblicze jego jak z ciemnego bronzu ulane, oczy upiora, rozchylone usta... Na falach nic, nic, nic... Słyszał o jakiejś arce — o jakimś gołębiu, który wzleci z zieloną gałązką i krążyć będzie nad wodami... Nagle gdzieś na ostatnim brzeżku widnokręgu dźwignął się jakiś łeb nad wody i ryknął. Zaszumiały fale. On dźwignął się wyżej i ryknął głośniej; fale nastroszyły grzywy, z głuchym pomrukiem wydymają grzbiety, toczą się ku ostatniej skalistej wyżynie, nie mogąc jej szczytu dosięgnąć wodnym pazurem. Tam na skraju widnokręgu on łeb, on huragan, skinął ramieniem w stronę cyplu. Skinięciem tem pchnął wichry do szalonego biegu. Zatrzęsło się powietrze, starło się z sobą, stworzyło poziomo warczący wir, który jak lejek, wody śród biegu w siebie czerpiąc, leciał z chrzęstem, świstem, rykiem i śpiewem w stronę cypla. Półbóg zgiął się w pałąk, rozstawił nogi, przechyla się zwolna, wszystkie mięśnie napięły się w straszliwym skurczu wysiłku... Lejek powietrzny już potrąca go, on chwyta ruchem błyskawicznym ramię omdlałej dziewczyny, obejmuje pierś

ledwie żywego chłopca... Zawrzał wir, skręcił cypel skalisty, zgryzł go, zmiażdżył i plunął nim na dale...

Szmaragdowe góry wodne chyboczą się, trzęsąc kwieciem pian na szczytach. Półbóg jedną ręką rozgarnia wody, drugą podtrzymuje omdlałe ciało dziewczyny. Z przeciwnej strony płynie zsiniały chłopiec, drętwiejącem ramieniem obejmuje szyję jego, obraca ku niemu twarz i mówi gołębiemi oczami:

— Tyś półbóg... tyś potężny... ty nas wywiedziesz z tego potopu... z tego chaosu... odpowiedz!

A rozgarniający wody półbóg unosi usta sine nad piany i szepcze szeptem zadyszanym, rwanym:

— Jam tylko człowiek... mizerny człowiek... i nic nie wiem... nic... nic... nic...

LIST XXXI.

Położyli mnie tedy do łóżka i kazali spać. Przymknąłem oczy, ale przez rzęsy widziałem ich. Siedzieli przy stoliku naprzeciw siebie, pijąc herbatę.

Wicher wzmagał się, hucząc i rozłamując się na przeróżne głosy. Zdawało się, że zwali ten dom i rozrzuci po świecie.

Nad nimi świeciła lampa z białym reflektorem. Blask tworzył jasną plamę na głowie Rymkowskiego. Chłopak był w doskonałym humorze

i ciągle żartował. Bronka smarowała mu bułki masłem, nakładając na nie plasterski szynki.

— To już pewnie gdzieś północ...

— Spać się chce pannie Brońci?

— To panu się spać chce...

— Mnie się chce dokazywać!

— Patrzcie państwo — poważny człowiek!

— Jaki tam poważny?!

— Przecie — poeta...

— Który nic nie pisze, tylko ciągle nosi się z zamiarami...

— Jaki to skromny! Myślałby kto...

— Przynajmniej skromny...

— Skromnym źle na świecie...

— A mnie właśnie dobrze... bardzo dobrze!

— Oto człowiek, który jest ze wszystkiego zadowolony!

— Bo mi niewiele potrzeba...

— Mnie tam potrzeba — wiele!

— To się tak pannie Brońci zdaje...

— Niech no pan zje jeszcze kawałek szynki. Będzie pan głodny. Będą się panu śniły cygany...

— Nie będą mi się śniły, bo nie zamierzam spać...

— Niech pan nie mówi tak głośno, bo się zbudzi...

— Czy usnął już?

— Zdaje mi się, że usnął... Popatrzę... Śpi... Ale wygląda lepiej...

— Na pewno śpi?

— Niech się pan przekona...

— Ja pannie Brońci wierzę...

— Niech no pan nie będzie tak łatwowierny...

— Dlaczego?

— Nikomu nie można wierzyć...

— A ja chciałbym każdemu człowiekowi wierzyć... To tak przyjemnie!

— Dziękuję za te przyjemności!

— Oho, patrzcie się państwo, co za gorycz!

— Gorycz, nie gorycz, ale tak jest!

— Przynajmniej teraz można z panną Brońcią swobodnie porozmawiać...

— Dlaczego teraz?

— Bo kolega śpi.

— Ze mną zawsze można swobodnie rozmawiać.

— Nigdy mi panna Brońcia nie opowiadała o swojej przeszłości...

— Tere-fere... A pan mi opowiadał?

— Mogę każdej chwili...

— Nie jestem ciekawa...

— Bo i przeszłość moja nieciekawa.

— No, to niech pan opowiada.

— Naprawdę? Panna Brońcia chce słyszeć?

— Rozumie się. O panu dziwne rzeczy opowiadają...

— Któż może o mnie opowiadać, kiedy ja nikogo nie znam!

— Julka pan nie zna?

— Właściwie nie znam. Miałem z nim tylko do czynienia w czasie sprawy honorowej.

— I nigdy pan z nim nie rozmawiał?

— Nigdy...

— Na pewno? A może pan mówi nieprawdę?

— Słowo uczciwości.

— A Gutka pan zna bliżej?

— Nie znam.

— Ani Stasia? Ani Medweja?

— Nie znam.

— Jezus Marya — a gdzie się pan wychował! Toć pan rzeczywiście nikogo nie zna!

— Siedzę godzinę dziennie w redakcyi, dwie godziny w bibliotece, czasem zachodzę tu, zresztą nie utrzymuję żadnych stosunków ani z tutejszymi literatami, ani z malarzami, nie mięszam się do niczego, mam swoje kółko, taki miły zaświat towarzyski...

— To pan nie zna naszych stosunków zupełnie?

— Nie znam.

— To pan i o mnie nigdy nic nie słyszał?

— Owszem, słyszałem...

— Co pan słyszał?... Co?... Mój złoty, mój złociusieńki...

— Słyszałem od kolegi tylko tyle, że pani ma bardzo dobre serce i że z pani mogłaby być dzielna kobieta...

— Czy ten kolega śpi, czy nie śpi?... Zaraz... Zdaje mi się, że śpi... Słyszał pan westchnienie?

— To przez sen. Opowie mi panna Brońcia coś o sobie?

— Już pan wszystko słyszał!

— Jakto wszystko?

— Sam pan mówił przed chwilą.

— Ale ja chciałbym usłyszeć z ust panny Brońci...

— Niech pan najpierw o sobie opowiada.

— Dobrze. Opowiem chętnie. Jestem sierota, urodziłem się na wsi, dziecko chłopskie...

— A ja szlachcianka, wie pan? Szlachcianka? Mam papiery w porządku...

— O, to ja z całem uszanowaniem... To ja się panny Brońci boję... Co ja prosty chłop!

— No, no, no, proszę sobie ze mnie nie żartować!

— A gdzieżbym ja tam śmiał! — Matka moja, poczciwa kobiecina, biedulka wiejska, komornica...

— A czem był pana ojciec?

— Mój ojciec??

— No tak, ojciec.

— Wie pani, że zupełnie nie pamiętam ojca.

— Nigdy pan o nim nie słyszał?

— Niestety nigdy...

— To... może... pan...

— Nic nie wiem, nic nie pamiętam... To wiem tylko, żeśmy się z matulą niebawem zabrali w świat.

Matula nigdy potem nie była ze mną w tej wsi i nawet nigdy mi nie mówiła, jak się ta wieś nazywała.

— Dlaczego nie mówiła?

— Czy ja wiem?! Te pytania dziś mi przychodzą do głowy, ale wtedy nie stawiałem ich matuli.

— Patrzcie państwo!... No, co dalej...

— Zabłąkaliśmy się do jakiegoś miasteczka i tam biedna moja matula umarła.

— A co się z panem stało?

— Mnie chcieli odstawić do wsi rodzinnej, ale nie mogli wyszperać, gdzie ona leży. Tedy wziął mnie do siebie lekarz miejski i wychował. Czyściłem mu buty, potem także broń, bo bardzo poczciwiec lubił polować. Był to stary kawaler, miał siostrę przy sobie, która mnie nauczyła czytać i pisać. Kiedy miałem lat dwanaście, pojawiła się cholera i zmiotła ich.

— A to się też panu szykowało!

— Tedy ja, popłakawszy na pogrzebie, nogi za pas i dalej w świat. Zawędrowałem do Płocka.

— A wie pan, że ja pochodzę z Kieleckiego?

— Czy panna Brońcia ma tam jeszcze rodziców?

— Opowiadać o sobie. Co to jest!

— W Płocku było mi zrazu ciężko, nosiłem kuferki nad Wisłę, ale potem dostałem się do rejenta za pisarza. Wieczory miałem wolne, poznałem się z uczniami i ci zaczęli mnie uczyć.

— I czegoś się pan nauczył?

— A wszystkiego tego, co i oni.

— Zdolne dziecko, patrzcie się!

— Nie wydawałem na siebie wiele i mogłem nawet odkładać. Uczniaki wyrobiły mi potem nawet korepetycye. Dziwne to trochę, że sam, nie chodząc do szkół, udzielałem korepetycyi, ale tak było. Tymczasem, kiedy moje paniczyki pozdawały egzaminy, okrutnie mi się markotno zrobiło— i drapnąłem.

— Dokąd to pan drapnął?

— A za nimi do Warszawy — na uniwersytet.

— I wpuścili pana?

— Kiedym przecie nie mógł chodzić na uniwersytet, nie przeszedłszy szkół średnich. Tylko znowu odwiedzałem ich, przysłuchiwałem się, uczyłem się z nimi, korzystając z ich książek i zeszytów.

— A z czego się pan utrzymywał?

— Z różnych rzeczy. Pisywałem u adwokatów, rejentów, przepisywałem kursy. Potem, pewnego pięknego dnia — zostałem literatem!

— Jakim sposobem?

— Bo to na szczęście nie potrzeba do tego żadnych szkół, ani egzaminów.

— Cicho... pssst... poruszył się...

— Niech panna Brońcia popatrzy...

— Śpi... prawie nie oddycha... To dobrze...

Może panu jeszcze herbaty? Samowarek ciepły.. Niech pan pozwoli, naleję...

— Ja sam sobie usłużę...

— O, od czegóż jest kobieta! — Cicho... Bo pan go obudzi... A wie pan co? O jednem nic pan nie mówił...

— O czem to?

— Niech się pan domyśli...

— Będę się domyślał jaki tydzień...

— To ja panu dopomogę. Nie opowiadał mi pan nic o tem, ile razy się pan kochał...

— Ja? Ja nigdy się nie kochałem... Panna Brońcia jest pierwszą kobietą, z którą tak swobodnie rozmawiam...

— To też ludzie o panu opowiadają...

— Co opowiadają?

— Że pan jest — aniołem!

— Dyabłem, nie aniołem!

— Żeby się człowiek przed śmiercią tylko otarł o pana, to już dostałby się przez to samo do nieba...

— Niech pani nie żartuje ze mnie, chłopa biednego... No, teraz kolej na pannę Brońcię...

— Ja myślałem, że pan o mnie słyszał coś więcej...

— Dalibóg, nie słyszałem...

— Ciszej... bo pan zbudzi...

— Kolega śpi... możemy rozmawiać z całą swobodą...

— Cóż ja panu o sobie opowiadać będę? Niech się pan spyta malarzy.

— Najpierw nie pytałbym się ich dlatego, że im nie dowierzam, powtóre dlatego, że wystarczy mi to, co panna Brońcia sama o sobie powie...

— To niech się pan spyta — tego — tam...

— Nic więcej mi nie powiedział nad to, co panna Brońcia już słyszała.

— To co ja biedna poczne?!...

— Poczne — opowiadać...

— Na co panu to?

— Na co? Ot, to tak... przez przychyl...

— Akurat!

— Słowo uczciwości... Ja pannę Brońcię bardzo polubiłem...

— Ładna jestem??

— Eh, ładnych jest dużo na świecie, ale panna Brońcia jest — dobra...

— Cóż ja panu o sobie mogę powiedzieć... Przywiał mnie wiatr, sama nie pamiętam skąd?... Przecie i pan nie pamięta... Zajęli się mną... dobrzy... ludzie... i potem straciłam ich z oczu... I pańscy opiekunowie poginęli... Od kilku lat jestem modelką, pozuję... ot, co tu więcej mówić!

— I panna Brońcia myśli, że to ciągle tak będzie dalej szło?

— Co będzie dalej tak szło?

— Ano, życie panny Brońci... Że się to nie urwie... że to można tak długo żyć z dnia dzień...

— A cóż ja na to poradzę...

— Rada znalazłaby się...

— Jaka?? Gdzie?? U kogo??

— Panno Brońciu... Wprawdzie panna Brońcia szlachcianka, a ja prosty chłop...

— Co panu tak ręka drży...

— Aleśmy i ja i panna Brońcia jak ptaki tułacze... Wie panna Brońcia co?

— Niech pan mówi ciszej... Słucham...

— Może to szalona myśl...

Chrząknąłem dźwigając się z łóżka — a oni odskoczyli od siebie.

LIST XXXII

Ranek zajrzał przez okno.

Chodziłem długo po pokoju z rękami w tył założonemi, poglądając to w okno, to na Bronkę i nie wiedząc, jak zacząć.

Rymkowskiego nie było już od dwóch godzin.

Bronka również chodziła po pokoju. Kilka razy popatrzyła na mnie, wreszcie zaczęła wkładać kapelusz.

— Nie odchodź...

Dziewczyna skierowała na mnie pytające oczy. Położyła kapelusz, oparła się o ścianę i czekała.

Nie wiedziałem dalibóg, jak zacząć. Ona czuła, że się na coś zanosi, bo przybladła nieco. Miała wprawdzie oczy spuszczone, ale ilekroć spacero-

wałem od okna ku drzwiom, wodziła za mną wzrokiem. Złapałem ją na tem kilkakrotnie.

Nareszcie stanąłem przed nią i szepnąłem:

— Bronka... ja... tej nocy... nie spałem... wcale...

Dziewczyna nie odrzekła nic. Przez chwilę wahałem się, tymczasem począłem znowu chodzić po pokoju. Brakowało mi oddechu.

Przechodząc w stronę okna spojrzałem na nią i rzekłem:

— Słyszałem całą waszą rozmowę... Bronka, nietylko to, co on mówił, ale i to, co — ty!

Na to ani słowa.

— Tyś mu wszystkiego nie powiedziała...

I znowu ani słowa.

— Tyś mu nawet pozwoliła się dorozumieć czegoś całkiem innego... Tyś mu powiedziała — nieprawdę!

Milczenie.

Potarłem czoło.

— Słuchaj Bronka... Ty musisz mu powiedzieć... wszystko... słyszysz?... wszystko!

Ruszyłem ku drzwiom i nagle stanąłem, nie odwracając się. Posłyszałem cichy płacz.

Podszedłem ku dziewczynie. Ukryła twarz w rękach. Ująłem jej ramiona, odchyliłem od twarzy i rzekłem:

— Wszystko!... Słyszysz??... I to możliwie rychło...

Dziewczyna krzyknęła:

— To niech mu pan powie!

— Mnie nie wolno... Ty to musisz uczynić...

— Ja... nie mogę!

— Musisz!

Zaczął mnie gniew ogarniać. Chodziłem po pokoju sapiąc. Spojrzałem w okno. Wypogodziło się.

W pokoju duszno... niepodobna wytrzymać... Trzeba zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zacząłem wkładać paltot.

— Bronka... ja teraz wychodzę... może spotkam się... z nim... Ty tu zostaniesz... może on przyjdzie tu... sam... Pamiętaj zatem!

Ująłem za klamkę. Nagle posłyszałem za sobą kroki i po chwili — Bronka leżała u mych nóg.

— Co ty wyrabiasz dziewczyno!

— Ja mu nie powiem... nie, nie, nie... nie mogę, nie mogę... Niech mu pan powie wszystko, niech pan doda, niech pan mnie odmaluje jak szatana, ale nie ja sama, nie, nie... mój złoty, mój najlepszy... to pierwszy człowiek, który mi wierzył... Nie, nie, nie...

Oswobodziłem nogi z jej uścisków, wyszedłem, zamknąłem drzwi. Ale po chwili zawróciłem na palcach pod próg.

Dziewczyna siedziała na podłodze u drzwi i płakała... płakała...

LIST XXXIII.

Zabłąkałem się nad Wisłę szarą, dziś może więcej szarą, niż zwykle. Patrzyłem po jej wodach, czy mi jakiej wieści od pana, panie Ludwiku, nie przyniosą. Słońce przyświecało blado; gdzieś w górze rozgrywało się życie Warszawy. Długo stałem nad brzegiem dumając, sumując, rozważając, zestawiając jedno z drugiem i nagle ogarnęła mnie wielka chętka machnąć na wszystko ręką i skoczyć do wody.

Za wiele rozumujemy.

Nie narzekałbym zresztą na ten zbytek rozumowania, gdyby się to wiecznie i zawsze nie kończyło jakiemś machnięciem ręką i chętką skoczenia do Wisły.

A swoją drogą nie skaczemy do Wisły...

Czyż zatem jedynym ruchem zewnętrznym, na jaki się zdobywamy, jest machnięcie ręką?...

Tani pesymizm!...

W braku czynu budujemy teorye o czynach. Jakże łatwo buduje się teorye, żyjąc w czterech ścianach swego pokoju! Jakże łatwo się je obala i na gruzach ich dźwiga inne!

Czy to tylko istotnie budowanie teoryi?! A może to tylko zabawa w «ciuciubabkę» z naszemi zmiennemi usposobieniami?! Dalibóg, tyle ich jest, tych «teoryi», ile naszych «usposobień». Bóg dał rozum człowiekowi za przewodnika przez świat;

tymczasem człowiek, chcąc zbadać tajemnicę wzroku tego przewodnika, wyłupił mu oczy. No i obaj teraz idą, macając rękami na około, gubiąc się co chwila i klnąc na siebie...

A życie nie czeka, tylko robi swoje. I zdało mi się, że jestem owym człowiekiem, stojącym na szczycie Himalajów, kiedy w koło wzbiera potop. U nóg moich wije się dziewczyna, a z boku patrzy mi w oczy Rymkowski. Z wielkiej, rozległej ziemi, gdzie tyle dróg, ścieżek i ludzi nieznających się wzajemnie, zebraliśmy się na tym cyplu, wzmagający się potop wypadków zbliża nas coraz bardziej ku sobie i nareszcie zmiecie na burzliwe fale, gdzie dłużej nie będzie można się wahać, jeno trzeba coś postanowić, coś uczynić! Żal mi tej wijącej się u nóg moich dziewczyny, ale... nie! To niemożliwe! Taki gołębi Rymkowski i ona! Toż niebawem mogłaby się rozegrać najstraszliwsza tragedya. A zresztą... to nawet... śmieszne!

Aj, bodaj że ja znowu na coś machnąłem ręką...

Jeżeli Bronka stała się istotnie «wekslem», przechodzącym z rąk do rąk, to czemuż akurat ma się go dyskontować u Rymkowskiego! Czemu on właśnie ma być tym, który zadość uczyni idei sprawiedliwości?!

Nie, niepodobna machnąć ręką... Trzeba coś postanowić, coś przedsięwziąć!

Lecz — co?!

W każdym razie coś takiego, co zrównałoby szanse obu stron.

Gdy wychodziłem na most żelazny, spotkałem się oko w oko z Rymkowskim. Chłopak leciał jak najęty. Rumieńce pałały mu na policzkach, oczy jaśniały wesołością.

— Kolego — na chwilę! — zawołałem.

Chłopak niezmiernie się ucieszył z tego spotkania. Teraz wiedziałem już, co uczynić.

— Dokąd kolega tak spieszy? — zapytałem.

— Na Złotą. Lekcye...

— Bardzo pięknie. Będzie koledze po drodze. Kolega zapomniał u mnie...

— To u kolegi pozostały moje notatki? Ajej, toż łamałem sobie głowę, gdziem je mógł był zostawić...

— Leć tam kolega zaraz!

— A jakże się dostanę do mieszkania?

— Jest tam... Bronka...

Rymkowski pokraśniał. Chwilę milczał, nareszcie rzekł:

— Może wsiądziemy do dorożki i pojedziemy razem?

— Nie... nie mogę teraz...

— To ja wstąpię po notatki po południu...

— Idź kolega teraz... zaraz...

— Nie chciałbym... Ale dlaczego kolega sobie życzy, żebym teraz tam się udał? Czy może załatwić co koledze?

— Bynajmniej. Tylko... tam jest Bronka... która chce z kolegą... pomówić...

Rymkowski pobladł.

— A to co innego. Żegnam kolegę.

I poleciał.

Z piersi stoczył mi się jakiś ciężar. Popatrzyłem za niknącym w tłumie chłopakiem. Po chwili ruszyłem dalej, ale jakoś ciągle miałem przed oczami pobladłą twarz jego.

LIST XXXIV.

Układałem sobie, że nie wrócę przed wieczorem do domu i niech się — tam — dzieje co chce...

Powziąwszy takie postanowienie znalazłem się może w jakie pół godziny potem w bramie — owego domu.

Windowałem się wolno po schodach, zbliżałem na palcach do drzwi. Nasłuchuję. Serce wali we mnie jak młotem. Cisza, co to?? Chwytam za klamkę, otwieram. Na środku pokoju stoi Bronka w płaszczyku i kapeluszu, gotowa do wyjścia.

— Był tu Rymkowski?

Dziewczyna nie odpowiada. Powtarzam zapytanie głosem nieco podniesionym.

— Był — szepnęła.

— Powiedziałaś mu?

Dziewczyna spuszcza oczy. Chwytam ją za ramię.

— Powiedziałam — odparła, nie podnosząc oczu.

Zacząłem zdejmować płaszcz. Bronka powiesiła go na wieszadle przy drzwiach. Trzęsły mi się nieco ręce. Siadłem i rzekłem cichym głosem:

— Bronuś... chodź no tu...

Dziewczyna podeszła, stanęła przy mnie i milczała.

— Słuchaj Bronuś... ja wiem, że ty biedna... bardzo biedna... Cóż on na to??

Bronka nie odpowiedziała ani słowa.

— Jak on to przyjął? Mów! Przecie to mój przyjaciel!

— Ja nie mam przyjaciół — szepnęła dziewczyna przez zęby.

Coś mnie szarpnęło za serce.

— Masz we mnie najżyczliwszego przyjaciela...

— Dziękuję panu...

To «dziękuję» było jednak tak powiedziane, że mnie nieco ubodło.

— Ty mi już nie ufasz, Bronka?

— Nikt mnie nie uczył ufności... Ani Stefek, ani owa «ciotka», ani Gucio, ani Julek....

— Bronka, popatrz mi w oczy!

Dziewczyna podniosła hardo głowę. Brwi jej zbiegły się nad oczami, tworząc jeden wał, przedzielony rysą gniewu.

— Tyś mu nic nie powiedziała!

Rzekłszy to chwyciłem ją za rękę. Ale dziewczyna wyrwała mi się i skoczyła ku drzwiom. Rzuciłem się za nią, wstrzymałem w progu.

— Puszczaj mnie pan! — krzyknęła oddychając ciężko.

— Bronka, ty kłamiesz!

Oczy dziewczyny mieniły się, pierś jej falowała. Zaczęła mówić głosem urywanym, dławionym wściekłością:

— Tak? Myślisz pan, że ja wciąż będę taka głupia? Dobrze, powiem mu — a co będzie — potem?? Wiesz pan? On, jak tu wpadł, w rękę mnie pocałował! W rękę! Słyszysz pan?? Phi... mądry pan! Ale niech pan o nas nie myśli, już my sobie sami damy radę!... Dziękuję za taką życzliwość... Bóg mnie otoczył samymi życzliwymi... Po nocach przy panu siadywałam, pilnowałam, strzegłam, ręce mi odpadały... Nigdy nikomu takich rzeczy nie wymawiałam i przykro mi, że to czynię względem pana, boś pan po ludzku ze mną wychodził... Ale jak się rachować, to się rachować... Ja panu tak — a pan mnie tak!

Patrzyłem na nią pocierając czoło, potem spuściłem oczy ku ziemi... Wreszcie wolnym, niepewnym krokiem ruszyłem do okna i siadłem na łóżku.

Zdało mi się znowu, że dokoła mnie potop, że płynę rozgarniając z trudem wody; tylko nie widzę już przy boku ani gołębich oczu chłopca, ani om-

dlałej dziewczyny. Fale uniosły ich gdzieś hen! a na mnie wtaczają się wody, zalewają...

Bronka stała u proga, patrzyła na mnie bokiem, po chwili podeszła, ujęła mnie za rękę i szybko podniosła ją do ust.

Skoczyłem na równe nogi.

— Bronka!

Dziewczyny już nie było w pokoju.

LIST XXXV.

Dobrze, panie Ludwiku, bardzo dobrze!

Mierzyłeś pan celnie... każde słowo trafiło... Nie myślę chwytać tarczy, lub kryć się za bastyonami sofistyki...

Piszmy o sztuce!

Mam już w głowie cały szemat, całą książkę!

Widzę tę książkę... Dalibóg będą ją rozrywali nasi czytelnicy i artyści!

Nie widzę właściwie książki, tylko jej szkielet, rusztowanie, wiązadła. Widzę fundamenty, kozły, belkowania wieżyczki, z której ma powiewać sztandar zasady!

Fundament — to czterysta stronnic ósemki. Wiązadła — to rozdziały o ogromnej liczbie paragrafów. Gdyby mnie ktoś spytał, co właściwie widzę w tej chwili, narysowałbym mu w powietrzu szereg takich znaków:

§ § § § § § §

Belkowania wieżyczki wiązane z tych samych

znaków. Na płótnie sztandaru widnieje ten sam znak jako godło...

A co dalej?!

Wpakujmy w jakiś potwornie wielki młyn dyabelski czcionki wszystkich tłoczni świata i każmy pokręcać korbą, wypuszczając na chybił trafił po kilka lub kilkanaście liter. Przecież u licha ułożą się w jakieś słowa. Potem oblepimy temi słowami szkielet owej «ósemki» i otrzymamy estetykę, ni gorszą ani lepszą od wszystkich dotychczasowych estetyk.

Niegdyś ludzie miewali księgi sybilińskie i z ksiąg tych czerpali rady. Czerpanie to odbywało się właściwie nie bezpośrednio, lecz pośrednio, gdyż księgi były zapieczętowane na siedm pieczęci. Do ksiąg tych zaglądali wyłącznie kapłani i to, co było potrzebne, obwieszczali osłupiałemu ludowi. Onego razu zdarzyło się wszelako, że pewien młodzieniec, nie ufający rozumowi kapłanów, wtargnął nocą do świątyni. Znużona westalka drzemała około ognia wieczystego, który jednak wygasł był w czasie tej drzemki zupełnie. Zdumiał młodzieniec, gdyż natychmiast zbudziło się w nim podejrzenie, że może ognie wieczyste są tylko symbolem, rozpalanym, ilekroć westalki się zbudzą. Pokiwał głową i ruszył dalej. Sunął cichutko na palcach do miejsca, zakrytego tajemniczą zasłoną i macając przez ciemności dotarł do ołtarza. Serce pukało w biedaku wszystkimi możliwymi wyrzutami; ale zacisnął zęby i — sięgnął. Tak... to one... Obej-

rzał się trwożliwie dokoła. Święta cisza. Nie drgnęła ziemia w posadach, nie runął w niego grom... I to go nieco zastanowiło. Ostrożnie, jak złodziej skarby unoszący, sunął na palcach, dźwigając księgi pod pachą, ominął śpiącą westalkę, która lekko chrapnęła, ominął leżących na wschodach stróżów świątyni w głębokim śnie pogrążonych, wysunął się do gaju cyprysowego, zalanego światłem miesiąca, siadł przed posążkiem Hermesa i przycisnął księgi do serca. Potem zaczął je pilnie ze wszystkich stron oglądać. Zauważył tedy z niepomiernem zdumieniem, że księgi wcale nie były zapieczętowane, tylko wisiały u nich jakieś guzły woskowe na sznurach. Pokiwał głową w lewo i w prawo, następnie otworzył pierwszą księgę i przy świetle łagodnej Seleny spojrzał na kartę pergaminową. Litery jakieś znane, ale sensu dołapać się nie może. Co to jest u licha! Widzi odstępy między szeregiem liter, więc te zbitki znaków muszą stanowić słowa. Przeczytał pierwszą kartę — nie zrozumiał nic! Przewraca ją — to samo, trzecią — to samo! Popatrzył w niebo, podumał chwilkę i znowu zaczął od pierwszej karty. Zestawia pierwsze jej słowo ze słowem karty następnej... Co to jest? Toż litera w literę to samo! Cała stronica zapełniona kolejno temi samemi znakami! Patrzy na trzecią kartę, na czwartą... Otwiera drugą księgę, trzecią... Dochodzi tedy do tego wniosku, że właściwie wystarcza, aby odczytał jedną kartę i to jakąkolwiek, aby poznać treść wszystkich

ksiąg. Wraca tedy znowu do pierwszej karty. Śród szeregu liter dostrzega, że niektóre są nieco większe i wiążą się w jakąś pełną znaczenia całość. Pot kroplisty bije mu na czoło, oddech zamiera w piersi. Już odczytał jedno słowo, wodzi palcem — już uchwycił drugie. Na przelotną chwilę uląkł się własnej odwagi. Spojrzał po niebie. Ale ani jedna gwiazda nie spadła, księżyc się nie zamroczył i posążek Hermesa nie przygniótł go. Obraca tedy śmiertelne oczy na pożółkły pergamin i dalej palcem wodzi. Na policzki występują mu wypieki... O Dzeusie gromowładny... Co to takiego!... O Sowiooka!... Jakże to?!... Zgarnia ramieniem pot z czoła, nosem niemal wodzi po pergaminie świętym... Zrywa się, podnosi księgę w górę, aby światłość miesięczna jaśniej mu przyświecała... Włosy stają mu dębem na głowie, kolana drżą, zęby ze strachu szczękają... Już odczytał!... Przed osłupiałemi, niepoświęconemi oczami młodzieńca widniała karta, następującemi zgłoskami przeraźliwie czytelnie zapisana:

vx.*—..O.mTvcO.mm mnS.kĄ.*—vcza
sde.K..SkgIdfeĘ, ljhGooiI.sdawer
mlsdwG..kŁ.khUsdwPiuyO.:xTvYmnw
lrpeL.aUqwDrZnbaKvxIzcEsdJ./xv,

LIST XXXVI.

Aha, ruszyło pana sumienie!... Tak, to fatalna siła ciężkości, wstrzymywana tylko przez kamień

naszego egoizmu. Czasem jednak jakaś ręka usunie ów kamień i nasze sumienie leci na łeb na szyję...

Nie, nie pisz pan do Rymkowskiego. Byłoby to może sentymentalne, ale swoją drogą nie pisz. Coś chodzi mi po głowie, że to nie byłoby dobrze. Kto tak żył jak on, kto posiada tyle prostolinijnej dobroduszności, ile on, kto wreszcie tak wtedy na moście pobladł, jak ów młodzieniec, ten, po przejrzeniu, mógłby nam tak straszliwie prostolinijną niespodziankę zrobić...

Nie, nie pisz pan do Rymkowskiego.

Czemu mnie pan beszta za bajkę o księgach sybilińskich? Więc pan mniema, że nasze sybilińskie księgi estetyki nie zasłużyły na taką... napaść??

Napaść??? Dlaczego zaraz: napaść???

Mnie się tylko wydaje, że estetykę dorabia się do sztuki. Sztuka jest to królowa, która załatwia wiele czynności znamiennych, ale jako kobieta rodzi także czasem dzieci. Dzieci te, nieco przez królowę-matkę lekceważone, zamknięte w pokoju, obgadują ją. Następnie zaczynają się buntować i układają kodeks, według którego królowa-matka powinna postępować, jeśli nie chce zasłużyć na ich naganę. Królowa-matka skarży się czasem wobec innych monarchów, że jej się dzieci nie udały, ale rządzi po swojemu, nie oglądając się na postanowienia dzieci.

Tak, sztuka to matka, a krytyka jej córka.

Krytyce zdaje się czasem, że stosunek jest odwrotny. Ale czy słyszałeś pan kiedy o takiem zdarzeniu, aby córka porodziła swoją własną matkę?!

Ja nie słyszałem...

Natomiast słyszę od pana: napaść!!!

W takim razie muszę panu dopowiedzieć resztę o owym młodzieńcu, który zajrzał do sybilińskich ksiąg.

Gdy biedak wyczytał niezmiernie charakterystyczną tajemnicę, upuścił święte księgi na świętą ziemię i przez dobrą chwilę skrobał się po głowie. Łagodny blask Seleny na lazurach gasł coraz bardziej, a natomiast na stronie wschodniej nieba poczęła różanolica Eos ruszać się na łóżku, usłanem z srebrnych obłoczków. Święty gaj zaszumiał uroczyście, młodzieniec chwycił księgi i wsunął się na palcach do świątyni. Szelest jego kroków zbudził westalkę. Święta dziewica ziewnęła, poruszyła pogrzebaczem święte popioły, a gdy nie dostrzegła ani jednej iskierki, poczęła święte polanka cedru łamać z trzaskiem na kolanie i krzesać ognia. Czyniła to wciąż poziewając i przeciągając się, albowiem chłód poranka był dotkliwy. Młodzieniec sunął dalej, odchylił zasłonę — i zadrżał.

Stało tam czterech kapłanów, wyrywających sobie włosy z głowy.

Ale gdy ujrzeli zdrętwiałego młodzieńca na progu z księgami pod pachą, wydali okrzyk świętego oburzenia. Nadbiegła rozbudzona straż. Zwią-

zano przestępcę i tego samego dnia stawiono przed najwyższym trybunałem.

Ponieważ zbiegowisko ludu było ogromne, przeto postanowiono sądzić świętokradcę w amfiteatrze.

Tłumy napełniły krągłą widownię, a w głębi, kędy aktorowie tragedyami wstrząsali serca, lub płochemi komedyami z nicości świata się naśmiewali, zebrali się sędziowie, stanęli kapłani jako oskarżyciele i świadkowie zarazem, wreszcie on młodzieniec w charakterze obwinionego o świętokradztwo i znieważenie tego, co było drogie dla ludu.

Złoty Helios, promienne włosy zgarnąwszy, zajrzał zdumiony do głębi amfiteatru i zapytał swej płomiennej duszy, czyją to tragedyę dziś będą wystawiali?

Uczyniła się tajemnicza cisza, śród której rozbrzmiał głos najstarszego sędziego:

— Pocoś to uczynił?

Tłumy nachyliły się z rękami u ucha. Z dołu rozległa się odpowiedź:

— Uczyniłem to, bom niedowierzał rozumowi kapłanów.

Święte powietrze rozdarł ryk nieludzki:

— Bluźnierca!

Najstarszy sędzia wstał, spojrzał dokoła po tłumach i znowu nastało święte, tłoczące milczenie.

— Coś w owych księgach wyczytał? obrócił się z pytaniem do młodego świętokradcy i profana.

Kapłani zaprotestowali przeciwko temu pytaniu. Otoczyli trybunał, wymachiwali rękami, tłum począł huczeć, powstał gwar namiętny, w całym amfiteatrze sprzeczano się.

Lecz najstarszy sędzia, mąż najsprawiedliwszy w narodzie, uparł się, rozkazał odprowadzić kapłanów na wyznaczone dla nich miejsca, skinął ku tłumom i ponownie zapanowało święte milczenie.

Gdyby lekka muszka zachybotała się na śpiewnych skrzydełkach ponad amfiteatrem, cichutki brzęk tych skrzydełek byłoby słyszało każde ucho w narodzie.

Z dołu zabrzmiało powtórne pytanie:

— Coś wyczytał w onych księgach! Odpowiedz!

Cisza. Młodzieniec ozwał się:

— Wyczytałem w nich jedno jedynie zdanie: Oto są księgi głupoty ludzkiej...

Zawrzał huragan okrzyków, klątw, świstań, ryków, płaczu i zgrzytu. Zdawało się przez chwilę, że wybuchnie rewulucya. Kapłani doskakiwali do najstarszego sędziego i kiwając brodami i palcami, jakby mówić chcieli: «A widzisz? a widzisz? a widzisz?» zdzierali święte wieńce z głów swoich i podnosili ramiona w stronę promiennego Heliosa, który miał bardzo zaambarasowaną minę.

Po kilku godzinach, gdy wyczerpały się płuca i ramiona, a gardła ochrypły, nastała znowu cisza świętego oburzenia i najstarszy sędzia w te słowa przemówił do tłumów:

— Istotnie.. nie przypuszczałem, aby bezczelność niepoświęconych ust tak bezgranicznie wielką być mogła...

Przerwał jednak, gdyż poczęto wynosić półomdlałych kapłanów. Spazmatyczny płacz kobiet wtórował tej ponurej ceremonii.

I znowu uczyniła się cisza świętego oczekiwania.

Zabrzmiał w dole drżący głos najstarszego sędziego:

— Mylisz się, młodzieńcze niedobry, jeżeli mniemasz, żeś obraził bogów nieśmiertelnych, żeś znieważył świątynię i dotknął świętych kapłanów. Nie! Tyś obraził naród! Tyś targnął się na ludzkość! I sroga kara cię nie minie. Ale, jeżeli chcesz, nieszczęsny, by taka sroga kara, jaka cię dotknie, była możliwie łagodna, taka, przed którą nie drgną zasmucone serca nasze, wobec której nie uwiędną ręce nasze, zaprzecz słowom własnym, obmyj usta swoje odwołaniem! Będzie to zadośćuczynienie i przestroga dla wszystkich młodzieńców, niedowierzających rozumowi wykładaczy ksiąg sybilińskich. Wzywam cię po raz wtóry: odwołaj!

Tłumy rykiem zażądały odwołania. Niby grom, który obiega niebo, ginie gdzieś w dali i znowu powraca, tak ryk obiegał w koło amfiteatr, póki najstarszy sędzia nie uniósł dygocącej ręki.

Śród ciszy uroczystej zabrzmiały w dole słowa młodzieńca. Tłum rozchylił usta, aby lepiej słyszeć.

Obwiniony młodzieniec rzekł swobodnie i niemal wesoło:

— Jakże mam odwołać, kiedy w onych księgach to samo każde pacholę wyczyta, jeżeli tylko nauczyło się rozeznawać litery i wie, co to jest książka, co oznacza wyraz głupota i co wreszcie oznacza wyraz ludzkość.

Miara bezczelności przepełniła się.

Ludność przez pół roku miała chrypkę, głuchotę i ramiona jakby poprzetrącane.

Posprowadzano Eskulapów z wszystkich części kraju. Po upływie jakiegoś czasu wszystkie najwspanialsze domy przeszły na własność lekarzy.

A co się stało z młodzieńcem?

Pytajcie drzew, z których obłamywano gałęzie! Pytajcie dróg, z których powyrywano wszystkie kamienie!

Gdy poczęły się jesienne obrady legislatorskie, kapłani wnieśli dodatek do prawa, zabraniający pod najsurowszą karą mówić o tem.

Przeto wieść o onem zdarzeniu znajduje się tylko w jednem jedynem dziele i to świeżo śród wykopalisk odgrzebanem. Tytuł tego źródła brzmi:

. . . . . .

. . . . . .

Ażeby wam, kochany panie Ludwiku, setnie dokuczyć, posłałem tę opowieść do Gazety Powszedniej. Prawdopodobnie za jakie pół godziny otrzymam numer.

LIST XXXVII.

A to miła niespodzianka! W tej chwili otrzymuję od redaktora Gazety Powszedniej list następujący. Przytaczam go, panie Ludwiku, w całości.

Szanowny Panie!

Z wielkim żalem zwracam Szanownemu Panu nadesłaną mi łaskawie opowieść o księgach sybilińskich, gdyż rzecz ta, niestety, mogłaby obrazić uczucia religijne naszych czytelników.

Z niekłamanym szacunkiem

Antoni Strumiłowski.
Red. Gaz. Powsz.

. . . . . .

Na razie trudno mi było połapać się i w żaden sposób nie mogłem wytłomaczyć sobie, w jakim stosunku mogą stać księgi sybilińskie poczciwych czasów pogańskich do uczuć religijnych czytelników wyznania rzymsko-katolickiego. Udałem się tedy do starego a zacnego kanonika, przyjaciela ojca mego, przeczytałem mu opowieść, staruszek zaczął chichotać, następnie poklepał mnie po ramieniu mówiąc: «kpiarz z pana dobrodzieja, ale z redaktora kiep» i prosił, abym mu rzecz tę zostawił i cierpliwie czekał.

Po upływie jakiegoś czasu wpada mi w rękę numer Gazety Powszedniej, w którym zdumione oczy moje przeczytały taki artykuł:

«Łono», organ poświęcony tradycyom ogniska rodzin chrześcijańskich, pomieścił w ostatnim numerze niezmiernie ciekawe studyum znanego naszego estetyka X. X. o sprawie wykradzenia ksiąg sybilińskich z jednej ze starożytnych świątyń pogańskich, o czem wiemy tylko z jedynego źródła, które odnaleziono podczas poszukiwań archeologicznych na gruncie klasycznym. Ze studyum tego wynika dowodnie, że świat klasyczny już wtedy zniechęcony był do szalbierstw augurów i bezsiły bałwanów, oraz że powaga ksiąg sybilińskich wówczas już była zachwiana. Czytelnicy nasi, którzy zapewne interesują się owym rozłamem dusz, jaki zapanował w świecie, oczekującym nowej doby, chętnie rzecz tę przeczytają i dlatego pozwalamy sobie poniżej przedrukować ją w całości.

Tu następuje dosłowny przedruk mojej bajdy.

W pierwszej chwili struchlałem, albowiem przyszło mi do głowy, że nasi filolodzy mogą mnie w straszliwy sposób miotnąć za brednie Strumiłowskiego. Niebawem jednak uspokoiłem się, bom sobie przypomniał, że pisma codzienne a nawet tygodniowe rozpraw rzeczonych z zakresu starożytnictwa nie pomieszczają. Niech się zatem klasycy wściekają pocichu!

LIST XXXVIII.

Ani pan pojęcia nie masz, kochany panie Ludwiku, jakie wrażenie wywołała rzecz o księgach sybilińskich!

Najpierw przyleciał do mnie Szaniawski w imieniu Stasia z zapytaniem, czy wydam to oso-

bno, gdyż w takim razie pragnąłby dorobić ilustracye. Odpowiedziałem, że do pracy tej nie przykładam żadnej wagi. Szaniawski odrzekł mi, iż źle robię, gdyż jest to rzecz dobra, napisana sumiennie i ze znajomością rzeczy. Na to odparłem, że jest to fraszka, napisana licho wie jak i bez najmniejszej znajomości rzeczy. Na to rzekł znowu Szaniawski, że koniec końców ludzie o tem gadają a zwłaszcza artyści, którzy oddawna nosili się z zamiarem wystąpienia gromadnego przeciw rozpanoszeniu się niepowołanej krytyki. Artyści w pracy mojej widzą protest przeciw starym i niedorzecznym szablonom, bardzo pragnęliby ze mną nawiązać stosunki i wysunąć na czoło swego stronnictwa.

Zaledwie wyszedł, kiedy zjawili się u mnie Julek i Medwej.

Julek zbliżył się do mnie z uśmieszkiem słodkim i układając malinowe usta możliwie miękko, wyraził szczery żal, że przez jakiś czas «losy» nas rozdzieliły, iż zawsze nad tem bolał, gdyż w głębi duszy czuł, że jesteśmy artystami jednego «tonu». Rzecz moja o księgach sybilińskich jest wprost znakomita i według hrabiny Żyglińskiej (którą kolega Medwej obecnie maluje i czuje ją wcale dobrze) powinna być zwłaszcza przez artystów malarzy należycie oceniona. Obaj tedy, on i Medwej, występują do mnie z propozycyą założenia kółka, które broniłoby interesów palety, tej tak niedocenianej palety, liczą na częstsze dzieła moje w tym rodzaju i wierzą w to, że będę się z nimi łączył do

pracy, której celem jest podniesienie stopy estetycznej w kraju. Odpowiedziałem, że sobie to należycie rozważę, gdyż trudno mi, ze względu na niewielką pojemność mego mózgu prędko się decydować. Julek uśmiechnął się słodko, położył dłoń leciutko na mem kolanie, rzekł: «pozwoli pan, że temu stanowczo zaprzeczę» i pożegnał mnie, gdyż Medwej ma prócz tego interes osobisty.

Pozostaliśmy tedy sami z Medwejem.

Był to chłop ogromny, kształtów atletycznych, o twarzy nieco rozlanej, porosłej jasną bródką, oczach niebieskich dobrodusznych. Zanim wyłuszczył mi swój interes, zapytałem go o hrabinę Żyglińską, gdyż z kilku słów, rzuconych przez Julka, wywnioskowałem, że musiały zajść jakieś zmiany w stosunkach.

— Pan maluje zatem hrabinę Żyglińską — rzekłem częstując go papierosem.

— Tak, robię ją do kolan... Ona jest niezła...

— Jakto: niezła? Czy to znaczy, że ją pan dobrze «czuje»?

— Proszę pana, ja się na tem nie znam, niech się pan o to Julka spyta.

— Pytałem. Mówił mi, że ją czuje przez Symbol...

— Eh, on jest, za pozwoleniem pana małpa, to tak gada.

— A malowanie hrabiny Żyglińskiej nie zamąciło harmonii, jaka między panami... to jest chciałem powiedzieć...

— Ja pana rozumiem, co pan chcesz powiedzieć. Pan się pewnie pyta, czyśmy się z tego powodu z Julkiem nie pokłócili?

— Istotnie, miałem na myśli coś w tym rodzaju.

— Trochęśmy się pożarli, ale nie na długo, bo ja tam nie bawię się w żadne ceregiele. Szmyrgnąłem nim o ścianę i tyle...

— Jakto: szmyrgn...

— A tak. Ja wiem, że on lubi dużo gadać. On się z panem strzelał, mnie się to niepodobało, ale cóż! No, szczęśliwie się przynajmniej skończyło. On się na mnie nie może teraz gniewać, bo maluję hrabinę. Zawracał mi także głowę o tych rzeczach «całkiem nowych», ale ja się na to brać nie dałem, tylko sypię, jak potrafię...

— Przypuszczałem, że pan musi jednak podzielać podobne poglądy na sztukę i utwierdziło mnie w tem mniemaniu to, że pan się z Julkiem zjawił w sprawie utworzenia kółka...

— Eh, proszę pana, to co innego. Krytycy nas chepią a myśmy chcieli się tylko bronić. Mnie tam wszystko jedno, bylem mógł malować tak, jak widzę.

— Wie pan, że ja pana dotąd nie znałem...

— Otóż proszę szanownego pana, ja mam do pana taki interesik...

— Służę z całą przyjemnością.

— Proszę pana (i tu nachylił mi się do ucha) ale niech się pan nie gniewa — między mężczyzna-

mi to się mówi otwarcie — pan miał czas jakiś u siebie tę dziewczynę z kasztanowatymi włosami...

— Jaką dziewczynę? Nie, panie, pan się myli...

— To p n może nie pamięta. Zdaje mi się, że było jej na imię Bronka.

— Ah, Bronka! Tak... w istocie... Ale jakto pan rozumie: miał u siebie?

— Pan miał z nią... stosunek...

— Co pan gada!

Między artystami krążyło...

— Wierutne plotki!

— A no, to chyba plotki, bo przecież pan nie miałby żadnego interesu wypierać się.

Zaczęła mnie trochę nurtować niecierpliwość. Człowiek leżał postrzelony w malignie, niczem Łazarz, a oni posądzają go o takie głupstwa... I za co tej dziewczynie przylepiają moją etykietę? Za to, że mnie pielęgnowała w chorobie, że mi zastąpiła matkę, siostrę?

Medwej nachylił się znowu ku mnie, uśmiechnął się dobrodusznie, spojrzał mi w twarz niebieskiemi oczami i rzekł:

— To już teraz mogę bez ceremonii mówić, bo widzę, że nie pokrzyżuję pańskich planów. Ja, proszę pana, szukam tej dziewczyny.

— A na co ona panu? Czy zamierzasz ją malować?

— Eh, nie; maluję Żyglińską; zresztą aktów kobiecych nie robię.

— Więc o co panu chodzi??

— Jabym ją chciał jakiś czas — mieć u siebie...

Skoczyłem z krzesła i zacząłem gwałtownie szybko chodzić po pokoju. Po chwili rzekłem przyciszonym głosem:

— Ja pana bardzo proszę, abyś nie szukał tej dziewczyny.

Medwej popatrzył na mnie zdumionemi oczyma i odparł:

— Dlaczego, proszę pana? Przecież mi się ona podoba?

Skłamałem na prędce:

— Bronka wychodzi za mąż...

Medwej przewrócił oczami, przeżegnał się, potem zaczął się śmiać tak długo, szybko «chi, chi, chi, chi, chi, chi», następnie uspokoiwszy się i otarłszy łzy, zapytał:

— Pan jest człowiek seryo, to wierzę. Ale za kogo ona wychodzi, jeśli wolno wiedzieć? A toż wyprawimy jej weselisko, jakiego świat nie widział!

— Panie Medwej — odparłem szorstko — dość tego. Bronka wychodzi za mąż, pan o tem nikomu ani słówka i koniec.

— Ależ owszem, owszem, nie mam nic przeciw temu — rzekł Medwej podnosząc się i żegnając. — Pan mi niema za złe, że ja tak otwarcie...

— Zupełnie nie mam za złe...

— Moje uszanowanie...

— Sługa pański...

Wyszedł.

Chodziłem długo po pokoju, trąc czoło i bijąc się z myślami. Powoli mrok zapadał.

Wtem zapukano lekko do drzwi.

— Dobry wieczór kochanemu koledze...

— Któż tam do dyabła?? Patrzę. Krew mi uderzyła do głowy.

Przedemną stał Rymkowski.

LIST XXXIX.

Byłem tak zaskoczony tem jego nagłem zjawieniem się, że nie wiedziałem, jak z nim mówić. Ale chłopak nie zauważył mego pomieszania, był wesół, swobodny i ni stąd ni zowąd rzekł do mnie:

— Wie, kolega, mam małą biedę...

— Jaką? — zapytałem.

— Z metryką...

Zacząłem wielkimi krokami chodzić po pokoju. Poprostu brali mnie wszyscy dyabli... Tymczasem Rymkowski siadł przy oknie i mówił dalej najspokojniej w świecie:

— Bo to, jak koledze wiadomo, jestem właściwie jak przez pół znajda... Przypuszczam, że mnie matula ochrzcić kazali, bo to u chłopów pierwsza rzecz. Ale jak tu wynaleźć parafię!

Stanąłem przed chłopakiem i rzekłem nagle:

— Słuchaj, kolega, możebyśmy się tak przeszli — ale porządnie — gdzie za miasto...

Rymkowski zerwał się na równe nogi.

— A i owszem! Ja nawet sam miałem ochotę zaproponować, bo nieźmiernie przyjemne powietrze: nie wiedziałem tylko, czy kolega będzie miał ochotę.

Niebawem znaleźliśmy się na ulicy.

— Teraz albo nigdy! pomyślałem sobie.

LIST XL.

Wiosna, przedwcześnie w podróż się wybrawszy, chorym krokiem szła przez kraj, ziębnąc i przystając po drodze. Tu i ówdzie pąk jakiś, ukazawszy maluchny rąbek zieleni, zmarzł pod powłoką szronu rannego. Gdzieindziej blady kwiatek, zdradnie przez słońce z pod ziemi wywabiony, opuścił ścięte zimnym podmuchem czoło i chylił się ku tej ziemi, z której zawcześnie wybujał. Na dnie rowów bielały szmatki przybrudzonego śniegu. Rozmiękła powierzchu ziemia szkliła się wodnemi zwierciadełkami, odbijającemi pogodne niebo, pogodne, lecz zimne jeszcze i jakby wyblakłe od ustawicznych deszczów z śniegiem połączonych.

Ale pod wieczór wiatry obróciły się i powiały w inną stronę. Jakaś zmiana poczynała się w naturze. W powietrzu jęły krążyć świegotliwe ptaki, zataczać koła i zbierać się gromadami. Słońce, utraciwszy świetność dzienną, chyliło rubinową tarczę, dotknęło gdzieś daleko skraju widnokręgu i zatrzymawszy się chwilkę, jak gdyby celem spoj-

rzenia raz jeszcze na świat, poczęło zanurzać się w ciemne łono odległego horyzontu. Powiała jakaś świeżość. Czuć było istotnie w powietrzu wiosnę!

Na niebie zamigotało kilka białych gwiazdeczek. Po chwili rozsypało ich się więcej w górze, po spadach. Niebawem białe te ćwieczki poczęły przybierać odblask złoty, niektóre zaś jęły mienić się jak poruszane niewidzialną ręką drogie kamienie.

W dole modra ciemność pokrywała wzgórza, drzewa widniały jak z czarnego papieru misternie wycięte wzory. I znowu wiatry zmieniły kierunek, powiało ciepło jakby z pieca — i nastała cisza.

Tymczasem niebo poczynało jaśnieć całym majestatem niezliczonych miryadów błyskotliwych kamieni, całem bogactwem, które zazdrosny dzień białą szatą blasku nakrywa. Kopuła niebieska stawała się coraz głębszą, coraz bardziej modrą, aż wreszcie rozpękła się przez pół oparem gwieździstym drogi mlecznej.

Na czystej, modrej kopule zaświeciło kilka pryskających baniek-meteorów, kilka gwiazd spadających pozostawiło przez chwilę złote kresy na niebie -- i znowu jeno migotanie onych drogich kamieni, tajemnicze, dziwne...

Dołem rozległ się szum podobny do szumu rozkołysanego lasu. To Wisła. Wody jej czarne; gdzie niegdzie błyśnie tylko kilka wyrzuconych w górę kropelek i gaśnie. Nadbiegają nowe wody,

zawracają, wirują, wzdymają się, zaświecą przez chwilę i toczą się dalej. Przestrzeń wodna tonie w pomroku, niepodobna objąć jej okiem, leje się tylko, leje bez końca, toczy, szumi i toczy jak jakiś wąż, którego ogon jeszcze z gór się nie wydostał a szeroka paszcza już w morze się zanurza. Czarny ten wąż cielskiem swem wyżłobił sobie przez tysiące lat głębokie koryto i wciąż je pogłębia, kryjąc się w ziemi za urwistymi brzegami. Niekiedy, przy migotliwem świetle gwiazd, połyska tu i owdzie łuską, ten wąż roztopiony na prądy, wiry, piany.

Kto błądzi nad brzegami późnym wieczorem lub nocą, wsłuchując się w ów rozgwar wód, w tę mowę pian i wirów, w ten nieokreślony śpiew lejącej się przestrzeni wiślanej, ten przystaje, patrzy na wody, zapomina, że jest na chleb pracującym człowiekiem, pyta tylko swoich trosk i smutków, czy długo będą go wodziły po ziemi. Śpiewanie lejącej się przestrzeni potrąca mu w duszy niezliczone struny do wtóru. W śpiewaniu tem brzmi:

...Wszystkie żale, wszystkie łzy, wszystkie niedole, potoczcie się z memi wodami czarnemi...

...Wszystkie lata goryczy, wszystkie noce bez snu spędzone, wszystkie westchnienia daremne, suńcie szeregiem ciemnym do moich brzegów...

...Wszystkie oczy od bólu zczerwieniałe, wszystkie czoła zimnym potem zroszone, wszystkie twarze skamieniałe z rozpaczy, chylcie się ku mojej wodnej piersi...

...Wszystkie głowy bez rady na łono opuszczo-

ne, wszystkie ręce załamane, wszystkie usta zsiniałe, w głębiach moich cichość i rada i pocieszenie i kojący, długi sen...

Staliśmy z Rymkowskim na brzegu w milczeniu, zasłuchani jeno w ów bezmiar przelewającej się przestrzeni a w górze nad nami migotało niebo światłami gwiazd. Spojrzałem w twarz chłopaka; był blady, skupiony, oczy jego tchnęły niewymownym smutkiem.

Ale tej twarzy jego nie dotknęło jeszcze życie rylcem swoim i nie poszczerbiło szpetnemi rysami goryczy, zawodów i nadziei utraconych. I zdało mi się, że to barwny motyl łąk naszych, jakimś ciepłym podmuchem zagnany do puszczy kamiennych gmachów, któremu ani kurzawa skrzydełek nie oprószyła, ani go ulewy nie cisnęły o kamienie miejskie, ani tysiące nóg w pochodzie nadepnąć nie zdążyło.

Kto będzie pierwszy??

Już chciałem ująć go za rękę i począć mówić to wszystko, co od tak dawna zamierzałem, kiedy chłopak, patrząc ku gwiazdom, rzekł z dziwną, iście rodzimą poezyą w głosie:

— Wie kolega co? Powiadają, niech ludzkość będzie rozumną... Powiadają, niech ludzkość będzie dobrą... A jabym chodził po wszystkich ulicach, po wszystkich miastach i wszystkich drogach i jedno tylko powtarzał: niech ludzkość będzie szczęśliwą!

Poczekałem chwilę i szepnąłem:

— Słuchaj, Rymkowski, czy ty kochasz... Bronkę?

Chłopak opuścił głowę. Ująłem go za obie ręce i wpatrywałem się w niego. Rymkowski zaczął się jąkać, podniósł wystraszone oczy...

— Przecie kolega coś o tem — bąkał niewyraźnie.

— Wracaj na wieś do swoich! — rzekłem głosem wzburzonym . . . . . .

. . . . . .

Milcząc sunęliśmy w stronę miasta.

LIST XLI.

Zaledwie wróciłem do domu i zapaliłem lampę, kiedy z hałasem rozwarły się drzwi i wpadła Bronka.

Stanąłem jak wryty.

Dziewczyna rzuciła w kąt parasolkę, szarpnęła z głowy kapelusz i cisnęła go o podłogę, następnie oparła się twarzą o ścianę i poczęła szlochać.

Nie śmiałem ruszyć się z miejsca.

Bronka szlochała coraz silniej, coraz gwałtowniej. Wreszcie z piersi jej począł się dobywać jakiś nieludzki krzyk płaczu. Wstrząsała się całem ciałem jak w dreszczach febrycznych.

Coś we mnie skamieniało, coś zamarło. Nie podszedłem do niej, nie szepnąłem słowa pociechy, ukojenia.

Nagle dziewczyna odwróciła się od ściany, załamała ręce nad głową i runęła na podłogę.

Oparłem się o stół, pochyliłem głowę, zaczęło mnie zimno przebiegać. Po chwili zmogłem się, ścisnąłem pięści, potarłem czoło. Spojrzałem ku niej półbokiem.

Jakieś chrapanie dobywało się z jej gardła. Postąpiłem kilka kroków.

— Bronka!...

Pochyliłem się ku niej. Twarz ścięła się w jakimś złowrogim kurczu. Ogarnął mnie strach. Skoczyłem po dzbanek z wodą, zlałem jej głowę, twarz. Podsunąłem ramię pod jej szyję. Dziewczyna otworzyła oczy, popatrzyła zrazu błędnie, potem poznała mnie, skrzywiła twarz i jęła kwilić jak dziecko. Chyliłem twarz ku jej twarzy, szepcąc:

— No, Bronka, Bronka... nie rozklejaj się... no, cicho, cicho, cicho...

Powoli zaczęła się uspakajać, oparła policzek o moje kolano i rzewnie płakała a łzy jej spływały mi po ubraniu, łzy rzęsiste, ciepłe.

Dźwignąłem ją z ziemi i usadowiłem na łóżku. Przytuliła się do mnie drżąc, trzęsąc się jak w febrze, dzwoniąc zębami. Oparłem ją o krawędź łóżka, pobiegłem po szklankę wody.

Dziewczyna piła chciwie a potem znowu przytuliła się do mnie i płakała.

Nareszcie przycichła, szepnęła kilka razy «straszne, straszne», oparła twarz o moje piersi i czas jakiś milczała.

Zacząłem głaskać ją po włosach. Dziewczyna przytuliła się mocniej, nagle podniosła ostrożnie głowę ku mej twarzy i poczęła bełkotać:

— Wie pan... wie pan... tego chyba nikt w życiu nie przeszedł i nie przejdzie...

— Cicho, cicho — uspakajałem stanowczym głosem.

— Idę ulicą... wie pan... Marszałkowską... Patrzę... serce przestało mi na chwilę bić... Jezu Marya!... Krzyknęłam... Dzika radość, szalona radość ogarnęła mnie... Biegnę z wyciągniętemi rękami... A on... on odwraca się... udaje, że mnie nie poznaje... Wie pan... tak... tak... Wie pan... Tatuńcio!... Mój tatuńcio!... Mój stary, mój siwiutki tatuńcio!...

Łzy rzuciły mi się do oczu.

— Wie pan... ja jeszcze nie wierzyłam... idę za nim kilka kroków z wyciągniętemi rękami... Patrzę... To ta sama burka... i czapka ta sama... To on! on!... Tatuńcio... Chwyciłam go za łokieć... A on nawet twarzy nie odwrócił... nawet słowa nie wyrzekł... tylko... patrząc gdzieś przed siebie... tą samą ręką... lekko odgarnął mnie...

Głos uwiązł jej w gardle... Zdawało mi się, żem się w słup lodu zamienił, tylko wewnątrz czułem zarazem jakiś żar.

— Wie pan... Stanęłam... Zdrętwiałam... Patrzę... A on idzie dalej ze spuszczoną głową... niknie w tłumie... jeszcze raz go widzę w świetle okna jakiejś wystawy... Potem zakryła go gromadka wracających z pensyi dziewczynek... Nawet na mnie

nie popatrzył... Nawet po tylu latach głosu jego nie usłyszałam... nic... nic... jak obcą... gorzej jak obcą... Tatuńcio wstydził się mnie... wstydził się mnie... siwy, stary mój tatuńcio!...

Nie mogłem wytrzymać dłużej, wstałem, przeszedłem się po pokoju, następnie opadłem na krzesło przed stolikiem, kryjąc twarz w dłoniach.

I myślałem sobie, za co świat tak męczy tę dziewczynę, czemu się tak zawziął na nią, czemu zewsząd płoszy ją jak utrudzonego ptaka... Czemu, gdy na jakimkolwiek progu stanie, dach zapala się nad jej głową i jeno wciąż dalej iść musi... Wszyscy ku niej wyciągają ręce, a objąwszy, odpychają, by znowu dalej szła, dokąd? Bóg jeden wie...

I myślałem o owym Stefku, owym pierwszym, który ją spoił, sponiewierał, a następnie z całym cynizmem odrzucił... I myślałem o tej jakiejś strasznej opiekunce porzuconych dziewczyn, która je «leczy» z kłopotu najbliższego i następnie zaciągnąć chce do swej nocnej armii... I myślałem potem o Gutku i Julku i Stasiu, artystach, estetach, owych praludziach, żyjących tylko dla piękna i miękkich, podnoszących barbarzyńską ludzkość uczuć... Myślałem o tych kapłanach sztuki, o tych obrazach ich tkliwe sceny przedstawiających — i nagle to całe ich piękno, te wszystkie miękkie ich uczucia, to całe ich kapłaństwo wydało mi się jakiemś kłamstwem, jakiemś potwornem, ohydnie obłudnem kłamstwem, wydało mi się w takich warunkach nie bóstwem, ale jakimś apokaliptycznym

smokiem, któremu ludzkość musi corocznie rzucać na ofiarę seciny dziewczyn ledwie rozkwitłych, po których chodzą ojcowie jak błędni, nie mogąc się przez lata całe opamiętać...

I myślałem o próbie pracy, usiłowaniu wyrwania się z tej szatańskiej sieci... I myślałem o Krakowie... I myślałem o Medweju...

Nagle przyszedł mi na myśl Rymkowski...

Zadrżałem.

Nie, nie znajdę rozwiązania... Rymkowski!... Innych sił tu trzeba, jakichś gromadnych, zespolonych sił, a nie głowy jakiegoś człowieka obłędnego...

Obejrzałem się mimowoli.

Cisza. Bronka leżała na łóżku, obrócona twarzą do ściany. Ująłem lampę, podszedłem na palcach do łóżka, poświeciłem...

Dziewczyna spała. Tylko niekiedy wstrząsało nią łkanie, jak czasem maleńkim dzieckiem, kiedy po długiem płakaniu za nieobecną matką uśnie nareszcie ze zmartwienia i znużenia.

LIST XLII.

Geniusze grzeszą nieraz ciężko przeciw ludzkości, ale mogiłą tych grzechów jest olbrzymia góra ich zasług. Talenty natomiast zachowują się względem ludzkości odwrotnie. Na strzelistej górze ich grzechów strzępi dumnie pióra pisklę ich dorobku duchowego. Czas strąca owo pisklę w otchłań

wieczystego zapomnienia, a góra krzywd pozostaje.

A przytem — kto może za życia powiedzieć o sobie: jam jest ten, na którego wieki czekały!

Za życia... Powiedzmy: za życia w pierwszej jego połowie, kiedy się niema możności rozwinąć w całej pełni skrzydeł natchnienia, ale natomiast korci chętka rozsuwania nietoperzowych skrzydeł grzechu do cichego, nocnego lotu...

Artyści, którzy chcą się wyłamać z pod ogólnego prawa międzyatomowego ciśnienia ludzkości, nie widzą tego, że ludzkość ta zgniecie ich na proch i miazgę. Poeci, którzy uczucia swoje przenoszą w jakiś czwarty wymiar, własnemi rękami podcinają sobie żyły i powiędną jak suchotnicy. Piewcy, którzy chcą być kwiatem w włosach kobiet, będą odrzuceni po jakimś nader krótkim czasie jak zielsko literackie na śmietnik zapomnienia. Artyści bez czci i wiary, dla których cnota i zbrodnia jednaką wartość przedstawia, którzy sławę swoją zdobywają hańbą innych, będą kiedyś przez pracowite pszczoły ludzkie uważani za trutniów, którym owe pszczoły gromadnie nikłe skrzydełka obetną.

I chyba nastaną takie czasy!

Bo ludzkość jest jako żywioł rzeczny. Dopóki ktoś psuje mu brzegi nie sięgając poziomu wód, toczy się dalej. Ale gdy cała kasta śmiałków poderwie jej tamy, wtedy obróci się w pochodzie i wodną stopą ich podepce...

Szary poranek obielił ramy okna i przyćmił

palącą się na stole lampę. Obróciłem się w stronę łóżka.

Bronka uniosła głowę, przetarła oczy, popatrzyła na mnie nieprzytomnie i zaczęła pytać:

— Co to? Co to takiego? Co się stało?...

Wstałem, włożyłem płaszcz i kapelusz, następnie zbliżyłem się do niej, mówiąc:

— Słuchaj, Bronka. Rozbierz się na dobre i śpij. Wychodzę. Zamknij drzwi na klucz i nie puszczaj nikogo. Śpij choćby cały dzień.

Dziewczyna siadła na łóżku.

— Wie pan co... (mówiła patrząc przed siebie i pocierając czoło)... Śniło mi się... śniło mi się ciągle, że byłam duchem... takim bladym duchem...

— No już dobrze, dobrze. Wychodzę... zamknij drzwi na klucz...

— Zaraz... Wie pan... wiatr nocą niósł mnie pod jakiś dom... w oknach było światło... Taki jakiś znany dom... gdzieś śród pól, śród drzew... Zbliżam się pod jedno okno z rękami złożonemi... wychylają się, odpędzają mnie znakiem krzyża... z pod drugiego okna tak samo... Błąkam się około domu a tu z ganku wysuwa się nawet pies... taki znany mi pies... i zaczyna wyć na mnie . . . . .

. . . . . .

LIST XLIII.

Błąkałem się po ulicach niemal do południa Warszawa — to jak wielki młyn!

Tysiące kół dorożkarskich warczy w obiegu niestrudzonym dzień i noc, setki tysięcy stóp depce po chodnikach. Dźwigają się gmachy długimi rzędami, wszędzie roi się mrowisko, czynne, ruchliwe. każdy wlecze za sobą jakiś wór interesów, projektów! Co roku furmanki i koleje dowożą tłumy nowe, które rozpraszają się po ulicach, ginąc w ogólnem rojowisku. Każdy z przybyłych chwyta w tym młynie za coś, czepia się jakiejś windy, porywa jakiś wór i wlecze go dalej. Olbrzymie kamienie młyńskich stosunków wirują ustawicznie, a kogo porwą między swe ściany, tego istotnie zmielą na mąkę. A wiatrówka, poruszana niewidzialną siłą, wydmuchuje wciąż ludzkie plewy, dalej i dalej, z ulic pierwszorzędnych na drugorzędne, na przedmieścia, za rogatki, niekiedy do Wisły lub pod koła oblatujących Warszawę pociągów.

Zwiedziłem kolejno wystawy. Na jednej z nich spotkałem się ze Stasiem.

Ciekawy jestem, skąd on wytrzasnął twarz swoją... Wyobraź pan sobie, kochany panie Ludwiku, pączek z binoklem na nosie. Włos, krótko strzyżony, wygląda na głowie tego pączka jak rozsypana mączka cukrowa. Oczu za binoklami prawie nie widać, usta mają wargi chyba z wewnątrz, bo na zewnątrz nie widać ich wcale, tylko jakby ktoś nożem lekko pączek ów nadkrajał. Pan wiesz, że obecnie podają w cukierniach pączki na fryzowanym papierku. Tu zamiast fryzowanego papierka bieli się kołnierzyk niby krótki mankiet; na

tym mankiecie widnieje osadzony pączek w binoklach. A wszystko to spoczywa na jakimś czarnym słupie o dwóch mało rozsuwalnych nogach.

Staś prawie nigdy nic nie mówi; słucha tylko i krzywi twarz z pogardliwą ironią.

Każdy jego obraz jest również jakiemś pogardliwem skrzywieniem się na gwar świata. Na wystawie wywołuje wciąż sensacyę.

Właśnie zdarzyła mi się z nim rzecz następująca.

Mówię:

— Patrz pan, panie Stanisławie, co ci koledzy pańscy wyrabiają! Widzisz pan tam w dali ten kwadracik. Szyba matowa, czy co? A za szybą brudna ścierka w kłębek zwinięta...

Staś milczy. Spojrzałem na niego. Krzywi twarz z pogardliwą ironią.

Przecieram oczy, podchodzę nieco do owej matowej szyby — i nagle istotnie osłupiałem.

Szyba matowa zamienia się w mgłę, a brudna ścierka w rozłożystą wierzbę, odartą z liści, rozkołysaną w podmuchach wiatru listopadowego.

Obracam się do Stasia. Wciąż milczy, krzywiąc jeno twarz z pogardliwą ironią.

Znowu patrzę na obraz — a tu z boku układa się z wirujących po ziemi liści hieroglificzny podpis: Stanisław Rataj...

— Wie pan, panie Stanisławie, tegom się nie spodziewał po owej szybie matowej — wołam ki-

wając głową przed obrazem, odchodząc i zbliżając się naprzemian.

Staś milczy w dalszym ciągu i coraz pogardliwiej wykrzywia twarz, połyskującą binoklem.

Dwie damy zatrzymują się przed obrazem. Jedna przykłada lornetkę i mówi:

— Popatrz no, Zosiu, co to takiego?

Druga dama podchodzi do obrazu, nachyla się i zaczyna sylabizować:

— Sta-ni-sław Ra-

— Rataj! Wiem, wiem! A co tam więcej napisane?

— Cena: czterysta rubli...

— O tytuł się pytam.

— Niema tytułu.

— Prawda, teraz w modzie bez tytułu... Chodzi o wrażenie a nie o tytuł... Widzisz, Rataj, Rataj.

Kiwa głową zwracając się co chwila ku innym obrazom, co czyni tylko ubocznie, gdyż stoi ciągle przed rozkołysaną wierzbą.

Staś nie rusza się, tylko wykrzywia twarz pogardliwie.

Nadchodzi jakiś wuj z pannami, które zachowują się dość głośno. Słyszę na kilka głosów:

— Wujku, wujku, najpierw pójdziemy do Ratajowej szybki ze ścierką! --

— Ciszej smarkate...

— Mańka, cicho!... Józka, nie mów tak gło-

śno!... Zosiu, nie szurgaj tak nogami, bo wuj więcej z nami nie pójdzie! —

Zatrzymują się przed Ratajowym obrazem. Wuj kiwa głową, założył ręce w tył i mruczy:

— Jednak te bestye mają czasem dryga! —

Obskoczyły go dziewczynki i zarzuciły pytaniami:

— Wujeczku, co to jest dryg? co to jest dryg? co to jest dryg?

Wuj, otoczony gromadką obskakujących go podlotków, oddala się, wykładając:

— Widzicie, smarkate. dryg to jest...

Reszty nie można dosłyszeć.

Staś milczy, wykrzywiając twarz z pogardliwą wyrozumiałością.

Wtem z boku wysuwa się Julek. Witamy się. Staś bardzo pogardliwie podaje mu rękę. Julek zatrzymuje dłoń moją w uścisku i odciąga mnie na stronę.

— Mam do szanownego pana maleńki interesik...

Tu obraca się do Stasia, układając usta do słodkiego uśmieszku:

— Wszak kolega niema nic przeciw temu?

Staś milczy pogardliwie. Julek nachyla się ku mnie i mówi szeptem:

— Nienawidzę tego bufona.

— Ale to malarz z duszą — odpowiadam.

— Z duszą bardzo niewspółczesną. Konfuzyonuje nam publiczność...

— Czem panu mogę służyć?

— Proszę szanownego pana... jutro... ale słowo?... jutro wieczorem u mnie maleńka kolacyjka...

— Pan wie, że ja jeszcze nie jestem całkiem zdrów.

— Wolno panu nic nie jeść i nic nie pić. Wolność przedewszystkiem. Ja umiem uszanować prawa indywidualności... Więc mogę liczyć na pewno?

— Wolałbym...

— Niech mi pan tego despektu nie wyrządza... Przytem to nie prosta kolacyjka. Będziemy radzili o naszem kółku...

— Nie należę właściwie do kółka panów...

— To nic, nic! Napisałeś pan znakomitą rzecz o księgach sybilińskich i uważamy pana za swego.

— Napisałem głupstwo...

— Znamy pańską skromność... Panie! Skromność w Warszawie to wielkie nieszczęście... Wierzaj mi pan! Wszystko trzeba wygłaszać z ogromną pewnością siebie, inaczej pana będą mieli za nic...

— A niech mnie mają za nic...

— Oh, za pozwoleniem! My artyści - malarze na to nie pozwolimy! Pan jesteś nam potrzebny.

— Chyba do słuchania waszych teoryi i do patrzenia na wasze obrazy...

— Mam zatem słowo pańskie?

— Nie przyrzekam...

— W takim razie wyślemy deputacyę do pana...

— Na miłość boską!

— Więc liczę na pana z pewnością. Będzie Gucio, będzie Medwej...

Tu ściskając mi rękę, nachyla się do ucha i dodaje szeptem:

— Będzie kilka modelek...

Podnoszę szybko głowę, a on ukazując nieznacznie w stronę Stasia, powiada:

— A tego bufona nie będzie!

Słychać tryl śmiechu. Dotyka miękkim ruchem brzegu cylindra, zawraca zgrabnym piruetem i niknie za filarem. Brzmi tylko przez chwilę jeszcze ów tryl śmiechu.

LIST XLIV.

Ledwie straciłem z oczu Julka, kiedy stanął przedemną Szaniawski. Ujął mnie pod ramię i zaprowadził do przyległej sali, w której wisiała jego odaliska.

Na pierwszy rzut oka poznałem w niej Bronkę.

Długo, długo wpatrywałem się w ten obraz. Szaniawski stał z boku i śledził każde moje poruszenie.

Po chwili westchnąłem, a on szepnął mi do ucha:

— Co?... robi wrażenie?...

— Istotnie — odparłem — wywierá — i to nawet znacznie większe, niż pan przypuszcza...

Zdawało mi się, że powiedziałem za wiele, gdyż spowiadałem się z całkiem innej kategoryi wrażeń. Ale Szaniawski uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— Cieszę się, że się nareszcie coś mojego panu podoba.

Pochyliłem głowę i milczałem. Szaniawski był w bardzo pogłaskanym humorze i wodził mnie od obrazu do obrazu, udzielając wszelkich możliwych i niemożliwych objaśnień. Słuchałem półuchem, nareszcie przestałem całkiem słuchać. Przechadzaliśmy się po sali tam i napowrót. Szaniawski czas jakiś mówił jeszcze o swej odalisce, następnie o projekcie nowego obrazu; wreszcie widząc, że jestem zamyślony, szepnął półgłosem:

— Czy panu co dolega?

— Powiedz mi pan — odrzekłem — dlaczego w tem wszystkiem (i wskazałem ręką dokoła) tak mało fantazyi, tak mało rozmachu? Czemu to wszystko takie szare, takie podobne do siebie? Przecież powiadają, że obecnie święcimy dobę rozkwitu malarstwa naszego. Powiedz mi pan, gdzie w tej sali znamiona owej doby??

Szaniawski zapłonił się lekko i szepnął:

— Niech pan będzie szczery... Czy się panu mój obraz nie podobał?

— O pańskim obrazie mówiliśmy przedtem. Nie mówię również o obrazach Stasia Rataja...

— Eh, Rataj...

— Dobrze, daruję panu Rataja. Ale w takim razie pytania, stawione panu przed chwilą, nabierają tem większego znaczenia.

Szaniawski posmutniał i odrzekł:

— Tak, w skargach pańskich jest trochę słuszności. I mnie to czasem przychodzi do głowy. Widzi pan, Warszawa miele nas na proch. Tu tętni życie tak bujnie, że niepodobna się skupić. Brak jakiegoś artystycznego środowiska. Po pracowniach pustki, szarość, wyczerpanie. Wszyscy oczekujemy jakiegoś Mesyasza, któryby tchnął w nas nowe życie, nowy zapał...

— Zdawało mi się, żeście do niedawna mieli jeszcze kierunek «całkiem nowy»... Czyżby wam trzeba było czegoś «całkiem nowszego»??

— Żart żartem, ale i owe «całkiem nowe» rzeczy przejadły nam się. Najpierw nie było to tak bardzo nowe, powtóre tchnęło to chłodem, który publiczności brać nie mógł. Jesteśmy wszyscy trochę zmanierowani...

Chodziliśmy znowu czas jakiś w milczeniu. Publiczność powoli topniała. Istotnie dziwnie pusto i szaro było dokoła.

— O ile ktoś z naszych zagranicznych malarzy nie przyśle czegoś — wywodził dalej Kazik — to doprawdy niema po co tu przychodzić!

— A jednak pan bywasz tu dosyć często.

— Trzeba bądź co bądź słuchać tego, co mówi publiczność...

— Zdawało mi się, że panowie gardzicie tym motłochem... Przynajmniej do niedawna wyznawaliście podobne teorye.

— Rozumie się, że gardzimy i teoryi naszych nie zmieniamy jak rękawiczek. Ale chodzić trzeba, a na dowód, że potrzeba, wymienię panu tych, których pan tu ciągle widzieć może. Wymienię panu Julka, wymienię Medweja, wymienię dwudziestu innych. Nawet Rataj chodzi, choć się tylko pogardliwie uśmiecha! To trudno! Musimy żyć!

— Dlaczego tedy kręcicie się w tem błędnem kole i nie staracie się o ożywienie duszy, o poruszenie serca? Drgnąłby wam pędzel w ręku całkiem inaczej!

— A właśnie, że się o to staramy! Ja zbieram pieniądze na nową podróż do Paryża...

— Po pomysły??

— Dlaczego po pomysły? Po ożywienie!

— To dziwne! Mnie się natomiast zdaje, że malarze francuzcy z Paryża uciekają po ożywienie...

— To się pan myli! Paryż jest środowiskiem świata, pomysłów, wszystkiego!

— A wie pan, że nasi Najwięksi również z Paryża uciekali do kraju po rozmach, po fantazyę, po materyał i po natchnienie.

Szaniawski począł stroić marsa i niecierpliwić się. Wywodziłem dalej:

— Tylko ci nasi Najwięksi żyli istotnie jak artyści, wy natomiast...

I nagle, jak gdyby przechodząc do innej kwestyi, zagabnąłem go:

— Co pan robi dziś wieczorem?

— Mam raut.

— A jutro?

— Jutro jest zebranie u Julka.

— A pojutrze?

— Pojutrze przyjęcie u hrabiny Żyglińskiej.

— A popojutrze?

— Idziemy gromadnie na koncert. Ale o co panu chodzi?

— O której pan wstaje?

— Około jedenastej.

— Wstaje pan z bólem głowy po dniu wczorajszym?

— Trochę...

— Potem pan idzie na wystawę?

— Jak pan widzi.

— Potem na śniadanie?

— Może pan pójdzie ze mną razem? Dobrze?

— Potem idzie pan na Krakowskie Przedmieście, albo w Aleje??

— Nie, panie, wracam wtedy do pracowni.

— A o piątej już ciemno i zaczynają się przyjęcia? Musicie się przecież panowie pokazywać, rozumiem...

— Naturalnie...

— Bardzo słusznie... Tylko — powiedz mi pan — kiedy wy w takim razie właściwie malujecie??

Szaniawski wysunął rękę z pod mego ramienia, popatrzył na mnie gniewnie i rzekł:

— Dlaczego pan mnie ciągle rozdrażnia? Czy pan nie wie, że mnie to na jaki tydzień wytrąca z równowagi?!

— Najmocniej pana przepraszam, ale nie jestem ani fajfoklokiem, ani rautem, ani zebraniem towarzyskiem, ani hrabiną Żyglińską, abym pana wytrącał z równowagi...

— Pan nie rozumie życia...

— Ja nie rozumiem — was.

Umilkliśmy.

Szaniawski zacisnął zęby, twarz mu pożółkła a czarne oczki wpadły gdzieś głęboko w oczodoły, białka natomiast zaczerwieniły się lekko.

Po chwili trzepiąc rękawiczką po nodze odparł:

— Niech pan coś na to wymyśli...

Zapytałem:

— Czy nie może mi pan powiedzieć, co jest bodźcem dla pana w pracy artystycznej?

Szaniawski począł recytować:

— Owszem mogę panu powiedzieć: miłość sztuki, miłość sławy...

— A czy nie może mi pan powiedzieć, co to jest naprzykład: miłość sztuki?

— Stawia pan dziwne pytania.

— Nie tak bardzo. Więc pan napinasz płótno; bierzesz pędzel i paletę, idziesz przed stalugi a za panem staje Miłość Sztuki i wodzi pańską ręką?

— Pan wszystko na opak tłomaczy.

— A z drugiej strony staje za panem Miłość Sławy i palcami wskazuje po palecie, jak farby dobierać?

Szaniawski wpadł w furyę.

— A tak! a tak! — zaczął wołać. — A tak! Żebyś pan wiedział, że tak!

— A która z tych dziewczyn ładniejsza. Miłość Sztuki, czy Miłość Sławy?...

Praczłowiek nie wytrzymał. Spazm jakiś począł mu ściągać usta, zaokrąglać rysy, rozszerzać oczy. Wreszcie chłopak parsknął śmiechem i rozkaszlał się.

— No, co tam! — zawołał — chodźmy na śniadanie! Ja pana zapraszam, będzie pan moim gościem! Napisał pan taką śliczną rzecz o księgach sybilińskich...

— Właśnie zamierzam teraz napisać jeszcze śliczniejszą o panu, panie Gustawie...

— Paradny z pana człowiek!

— Przedstawię pana przed stalugami z paletą w ręku. Z jednej strony stanie Miłość Sztuki bez burki od Hersego i bez wielu innych rzeczy a z drugiej strony Miłość Sławy w takimże kostyumie. Obie te Miłoście będą panu chustką wiązały oczy, odbiegały wołając «proszę się na miejscu okręcić a potem łapać», pan będzie je gonił...

— Skąd panu takie rzeczy do głowy przychodzą?

— Skąd? Na samą myśl, że mam jechać do Japonji...

— Pan jedzie do Japonji? — żachnął się Szaniawski. — I nic mi pan o tem nie mówił! Winszuję panu, z całego serca winszuję! Oh, musimy to zapić...

Naraz opuścił głowę i rzekł smutnie:

— Tu istotnie niema co robić...

— Eh, wie pan — odparłem — tu właściwie niema kiedy robić... Bo co do reszty...

Zawahałem się. Patrzyłem mu w oczy badawczo i stawiałem sobie pytanie: powiedzieć mu szczerze, czy nie...

Ale nie! Nie powiem... Nie uwierzy nigdy!

. . . . . .

Czy pan wie, kochany panie Ludwiku, co chciałem mu powiedzieć??

Chciałem mu powiedzieć: Guteczku, dziecko kochane, poco ty malujesz Bronki bez burek od Hersego i bez wielu innych rzeczy z zakresu konfekcyi??

Wyjdź w świat, wyjdź na ulice, stań na tych olbrzymich rusztowaniach, rzuć pędzel, chwytaj wiecheć, maczaj w kubie — maluj kamienice!!!

Nie będzie wprawdzie tragedyi dusz zbolałych, nie będzie wnikania w siebie, nie będzie tyle Bronek utyskiwać, że ojcowie omijają je na ulicach — ale zato będziemy mieli wspaniale odświeżone miasto . . . . . .

. . . . . .

Rozumie się, że nie mogłem tego powiedzieć Szaniawskiemu, bo najpierw nie uwierzyłby temu nigdy a powtóre mam już dosyć tego jeżdżenia za rogatki grochowskie o wschodzie słońca do pierwszego lasku...

LIST XLV.

Kochany panie Ludwiku!

O co pan mnie oskarża? O przesadę? Twierdzi pan, iż wszystkie fakty uwodzenia młodych dziewczyn i rozluźnienia więzów moralnych zapisuję na ciężar rachunku praludzi?

Że zaprzeczą mi wszystkie kryminały, wszystkie notatki i protokuły policyjne?

Być może. W każdym razie przypuszczałem, że w obronie praludzi powołasz się pan na inne instytucye.

Przypuszczałem następnie, że według pana a zgodnie z kodeksami wszystkich państw ucywilizowanych, ludzie tworzący «piękno», będą bardziej odpowiedzialni za «niepiękne czyny», niż naprzykład jednostki nieuprawiające żadnego procederu z zakresu piękna.

Mniemałem wreszcie, że jeżeli prawo powszechnego ciążenia przygważdża do ziemi wszystkich ludzi jednakowo bez względu na stan, ród i zamiłowanie do wnikania w siebie, to i prawa moralnego ciążenia wszystkich jednakowo obciążać powinny.

Wprawdzie praludzie przeczą temu. Ależ w takim razie — czy nie byłoby lepiej, celem uniknięcia wzajemnych nieporozumień, aby ci praludzie założyli gdzieś zdala od ludzkości osobne państwo?

Bo istotnie obecne nieporozumienia mącą trochę wzajemną harmonię. I tak:

Ludzkość jest obowiązana dostarczać praludziom wszelkich artykułów spożywczych, nieraz nawet bardzo kosztownych, z czego się wprawdzie niezawsze dobrze i w terminie właściwym wywiązuje. Artyści natomiast wypłacają się jej obrazami niezawsze pierwszorzędnej wartości i po obrachunku często gęsto wygadują na nią różne nieprzyzwoite rzeczy. W stosunkach uczciwych fakty takie nie są mile widziane.

Ludzkość daje artystom wszystko z zakresu konfekcyi męskiej, czyści im buty, furmani im, a oni w zamian bałamucą im córki, tak, że doprawdy dziewczyn, zwłaszcza ładniejszych, upilnować niepodobna. Jeżeli praludzie uważają się właściwie za gości na tym padole różnych porządków społecznych, istotnem zaś miejscem stałego ich pobytu jest jakiś Parnas, to takie swobodne zachowywanie się śród ludzi na ziemi jest conajmniej naruszaniem praw gościnności.

Ludzkość oklaskuje praludzi, zasypuje ich kwiatami, nabywa ich podobizny, obchodzi się więc z nimi grzecznie — a praludzie w zamian za to nazywają ją podłym tłumem?!

Ludzkości nie może to być przyjemnie. Musi utyskiwać i myśleć nad uregulowaniem takich stosunków.

Jeżeli przeto praludzie nie są zadowoleni z kontraktu, do którego zresztą tylko jedna strona się przyznaje, to czy nie możnaby go rozwiązać? Tem bardziej, że właściwie nawet niecała ludzkoś korzysta z artystów, tyko garstka protegowanych??

Niech więc lpraludzie założą osobne państwo, niech tam sobie sami szyją i czyszczą buty, maglują koszule, tkają szaty, łowią śledzie, szprotki i ostrygi, sycą miody, budują domy, wyrabiają meble, ołówki, farby, palety, stalugi, niech sami siebie obsługują, wszystko sobie sami wytwarzają — a w chwilach wolnych od tych zajęć niech służą «czystej sztuce».

Wtedy na niskim padole ziemskim ludzkość zebrana padnie na klęczki i bijąc się w piersi wysłucha grzmiącego z wyżyn głosu, zaczynającego od znamiennych słów:

— Podła zgrajo, ciemny motłochu, filisterski tłumie...

W przeciwnym bowiem razie gotowa ich kiedy zniecierpliwiona ludzkość zacząć wzajemnie... bojkotować!

LIST XLVI.

Zebranie u Julka. Gwar «praludzki». Julek podlatuje do mnie z butelką «czystej». Pod ścianą,

gdzie wisiała «Melancholia topoli», stoi Szaniawski, kołysze się na nogach i śpiewa «Z dumnem czołem poszła w świat».

Błękitny tuman dymu unosi się w powietrzu.

Za nim widzę długi stół i rząd pleców. Po przeciwnej stronie jaśnieje rozlana nieco twarz Medweja. Wyciągnął rękę przed siebie i coś dowodzi. Z obu stron chylą się ku niemu głowy.

— Radzę panu maleńki kieliszeczek — mówi ze słodkim uśmieszkiem Julek. — A może koniaku? Znakomity koniak. Nawet u Żyglińskiej lepszego nie podają. Tu grzybki... Pan, o ile wiem, lubi grzybki? Pan daruje, jeżeli wyrażam się zanadto swobodnie, ale przyznaję się... wszyscy jesteśmy w bardzo dobrych humorach.

Przy stole nastaje cisza. Oglądamy się.

— Co pan mówisz o krytykach? pyta ogromnym głosem Medwej. Czyli przepraszam — poprawia się — co pan mówisz o tej hołocie?

Wybuch śmiechu i znowu cisza.

Naprzeciw Medweja po drugiej stronie stołu odzywa się maleńka figurka (Alfred Inkaust, publicysta):

— Panie Medwej — jaki kram, taki pan!

Nowy wybuch wrzawy. Medwej przegina się w tył, podnosząc rękę i wołając:

— Jaki pan? Kto pan? Krytyk pan? Szewc on, nie żaden pan!...

Następnie przechyla się naprzód, wspiera na obu rękach i mówi:

— Wie pan co, panie Inkaust... Zaraz... Może pan się już nazywa Inkaustowski? A to przepraszam...

Salwa śmiechu. Julek nachyla się ku mnie:

— A co, wesoło? Prawda? I pan się zaraz rozbawi...

Ktoś dzwoni w szklankę. Nastaje cisza.

Powstaje Ignaś Bukowski (komedyopisarz i reporter), mruży oczy, patrzy z wyżyny patosu na biesiadników i poczyna, zacinając się nieco:

— Panowie... suuweczko... Czy piszemy dzieua sceniczne, czyli na puu-ótnie świat lepszy tworzymy, nie zapominajmy, panowie, że honor każdemu miuy... Miuy on zarówno żydowi...

— Kto gadał o żydzie! przerywa Medwej.

— Daj mi pan skończyć...

— Ależ nie dam panu skończyć, bo pan gadasz o żydach, kiedy ja mówiłem o panu Inkaustowskim...

— O panu Inkauście, nie zapominaj się pan...

— No, to przepraszam... ja nie lubię ludzi obrażać, tylko nie zawracaj mi pan głowy, bo tu są ważniejsze rzeczy do obgadania. Julek pij do Ignasia, bo nam przeszkadza.

Nadbiega Julek.

— W pańskie zacne ręce, panie Ignacy!

— Dzięki. Piuem już dosyć, odpowiada patetycznie Ignaś.

Medwej ciągnie dalej:

— Tedy mówię, tylko mnie nie słuchacie, że

tak dalej być nie może. Malarstwo nasze zejdzie na psy, gdy mu tak będą po gazetach urągali.

— Kto urąga, nikt nie urąga — wtrąca niedbale Alfred Inkaust.

— Pan pierwszy — woła Medwej wskazując palcem na oponenta. — Coś pan napisał o Rataju?

— Medwej, miarkuj się! — przerywa z ironicznym uśmieszkiem Julek. — O Rataju pisał wyjątkowo dobrze.

— Jakto dobrze? Co dobrze? Powiedział, że niema talentu — woła Medwej.

— I miał słuszność — mówi Julek z pewnością sugestyonera.

Medwej bierze się pod boki.

— Gadaj zdrów, Julku! Staś może jest bufon, ale co mnie do tego. To ogromny malarz!

— Medwej, jeszcze raz ci mówię, miarkuj się, bo wpadasz w ekstazę...

— Ekstaza, czy nie ekstaza, ale siedź cicho! — Panie Inkaustowski...

— Inkaust — poprawia Bukowski.

— Niech będzie... Panie Inkaust, coś pan napisał o Szaniawskim, co?

Ponownie dzwoni szklanka. Wstaje Bukowski.

— Proszę o guos.

— No, widzę, że się pan musisz wygadać — powiada Medwej.—Gadaj pan, ja sobie tymczasem odpocznę.

Bukowski mówi patetycznie i bardzo wolno:

— Wielokrotnie suyszauem, panowie, że w dzisiejszem zgromadzeniu pociągano guosy publiczne do prywatnej odpowiedzialności... Panowie takie stawianie kwestyi...

— Panie Inkaustowski, jesteś pan głosem publicznym — przerywa Medwej.

— Inkaust — zgrzytnął Bukowski wodząc dokoła wzrokiem niezadowolonego lwa.

— Zresztą nie przerywam panu—kończy Medwej, zwracając się do Bukowskiego.

Ten westchnął jak Demostenes, zmrużył oczy i ciągnął dalej:

— Panowie... Aczkolwiek jestem komedyopisarzem i móguybym propagować stronniczość, to jednak wrodzone poczucie sprawiedliwości nakazuje mi uszanować prawa krytyki... Bądźmy wyrozumiali, bądźmy szlachetni.

Medwej wstaje.

— A propos szlachetności... Panie Bukowski, czy to prawda, że pan grywasz na skrzypcach?

— Czemu mnie pan o to pytasz?

— Bo powiadają, że pan ludzi zachęcasz do gry na skrzypcach?

— Czemu mnie pan o to pytasz?

— Bo powiadają, że pan ludzi zachęcasz do gry na skrzypcach?

— I cóż stąd?

— Bo podobno dlatego pan grywasz na skrzypcach, aby w sobie wyrobić uczucia szlachetne, czy nawet rozbudzić uczucia szlachetne.

— Panie!

— Może przekręcam... Niech zatem mnie pan objaśni...

Zawrzał śmiech ogólny. Bukowski zbladł. Po chwili jednak uśmiech sardoniczny rozweselił nieco jego posępne jagody.

— Panie Medwej — rzekł — cenię w panu humor.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo — kłaniał się Medwej — to już pan skończył? Zatem panie Inkaustowski kończymy swoje.

— On mnie tym Inkaustowskim do rozpaczy doprowadzi — rzekł Bukowski zwracając się do mnie.

— Panowie, poncz! ozwał się donośnie Julek.

— Poncz! Poncz! zawrzało dokoła.

— Panie Inkaustowski, dokończymy potem — wołał Medwej.

Rzucono się do ponczu. Dało się słyszeć przesuwanie krzeseł, brzęk szkła, stoczyło się parę butelek i rozbiło. Bukowski zaś położył mi rękę na ramieniu, przymrużył zamglone oczy i zaczął patetycznie deklamować:

«Chwytajmy bratnią dłoń
«I tulmy w uścisk skroń!
«Gdy serca żywiej zabiuy
«Gdy biegnie bez troski czas miuy...

Wtem ręce jakieś chwyciły go w pół, porwały i nie dosłyszałem końca ody. Natomiast zamaja-

czała przedemną oblana lekkim ogniem twarz Szaniawskiego i posłyszałem zapytanie:

— Jak się kochany pan bawi?

Nie mogłem mu jednak odpowiedzieć, gdyż teraz mnie z kolei objęły w pół jakieś ręce; uczułem pod sobą jakie pół tuzina głów — i już tkwię w powietrzu, kołysząc się na rękach i głowach. Zawrzał okrzyk:

— Niech żyje autor historyi o księgach sybilińskich! Wiwat! Wiwat! Wiwat!

Ze dwadzieścia czarek zabrzękło koło mych kolan, rozlewając napój po głowach i ubraniach. Musiałem duszkiem wypić jakąś szklanną wieżę ponczu, poczem rozległy się nowe wiwaty — i lekko opuszczono mnie na poziom «gniazda orlego».

— Rżnij pan tych psubratów! wołał Medwaj. To rzeźniki. Niedawno kropnęli mnie za portret, com go, między nami mówiąc, odrobinkę sfuszerował...

— To ja, jakem Inkaustowski — ozwało się z boku.

Medwej krzyknął:

— Panie Bukowski... Gdzie Bukowski?

— Tu jestem — odparł Bukowski podchodząc.

— Słyszałeś pan?

— Co?

— Panie Alfredzie, powtórz pan!

— Ja pana machnąłem za ten portret, jakem Inkaustowski.

Medwej położył obie ręce na ramionach Bukowskiego i rzekł perswadująco:

— Pan, panie Bukowski, zawsze robisz awantury. Pan Alfred sam nazywa się Inkaustowskim a pan mnie za to strofuje!...

— Panie Inkaust — rzekł ponuro Bukowski. Zawiodłem się na panu...

Powstał jakiś tłok, przyparto mnie do ściany. Znalazłem się obok Julka, który począł mnie ściskać i przepraszać za to, co się stało za grochowskiemi rogatkami o wschodzie słońca w pierwszym lasku. Twierdził, że po otrzymanym postrzale trafić przeciwnika w cylinder, to rzecz ogromnie artystyczna i dowodzi bajecznie pewnej ręki. Zarazem powiedział, że niezmiernie mu się podobał Rymkowski. Zaprosił go nawet na ucztę, wyszperawszy z trudem jego adres. Rymkowski zrazu wymawiał się, ale potem przyrzekł pod warunkiem, że wolno mu będzie spóźnić się nieco.

— Musimy się zbliżyć, wszyscy zbliżyć — dowodził, chwiejąc się nieco na nogach i zbliżając istotnie nad miarę twarz do mojej twarzy. Gdyby pan częściej z nami obcował — ciągnął dalej — zacząłby pan inaczej tworzyć. To ogromnie pobudza. A taki obrazek jak dziś — o! — patrz pan! — i wskazał ręką.

Około stołu utworzyła się zbita gromadka słuchaczy. W pośrodku stał Ikar (poeta, świeżo wydał tomik sonetów pod tytułem «Sonety w pełnem słońcu»). Była to postać niezmiernie charaktery-

styczna, uosobienie kierunku symbolistycznego. On jeden zjawił się we fraku. Każda linia twarzy i w twarzy była jakimś symbolistycznym floresem. Włosy miękkimi pierścieniami okoliły jego melancholijne oblicze, oczy, nieco porcelanowe, zapatrzone były w jakiś czwarty, czy piąty wymiar; plecami oparł się o stół, ręce opuścił bezwładnie po bokach. Deklamował wiersz własnego pióra, modulując głos, który wydobywał się łagodnie z jego piersi, jak tajemnicze tchnienie wiatru z gaju cyprysowego. Przed nim stał Żegota Kowalski (także poeta, ale nie praczłowiek), poprawiał okulary, wybałuszył nieco maleńkie czarne oczy, podobne do dwóch żywo poruszających się guzików, wykrzywiał nerwowymi odruchami twarz (nieco pucołowatą) i pilnie słuchał. Na melancholijnem obliczu Ikara błyskało niekiedy z trudem tajone zadowolenie z siebie, rozchylał usta, jakby nie deklamował, ale omdlewał z miłości, kończąc ostatnią zwrotkę «lejtmotywem»:

«Więc mów, że kochasz, choćbyś nie kochała....»

Kowalski jeszcze więcej wybałuszył oczy i już chciał coś powiedzieć, kiedy wysunął się Ariel (poeta, wydał świeżo tomik sonetów pod ogólnym tytułem: «Sonety smętne») spojrzał na Ikara i począł improwizować odpowiedź:

«Nie mów, że kochasz, jeżeli nie kochasz...»

Ikar słuchał ze spuszczonemi oczami i schylo-

ną głową, przyczem jasna jego broda miękko się układała na fryzowanym gorsie. Ariel patrzył w niego jak przebrany w tużurek minesenger i znaczenie wygłaszanych słów podkreślał od czasu do czasu ruchem bladej twarzy.

Zawrzały oklaski. Żegota chwycił za jeden guzik Ariela, za drugi Ikara, spojrzał czarnemi oczkami z za okularów ku jednemu i ku drugiemu i rzekł:

— Słuchajcie, idyoty, czy wy sami wiecie, czego chcecie??

Ariel zaczął mrugać do Ikara i skrycie wskazując na Żegotę, zatoczył palcem kółko na czole. Ikar uśmiechnął się litośnie i rzekł do Kowalskiego:

— Pan nie rozumiesz poezyi «Młodej Polski...»

Ariel zaś, klepiąc Kowalskiego po sercu mówił:

— Ty, Kowalsiu, jesteś kloc, ty jesteś, widzisz, człowiek normalny, to ty tego zrozumieć nie możesz. Mam żal do ciebie, że nie uznajesz «nowych kierunków», bo to nawet i niebardzo po koleżeńsku...

Kowalski łypnął czarnemi oczkami, splunął i zawołał:

— Eh, niech was jasne pioruny... Ktoś napisze lada bzdurstwo i już masz «nowy kierunek»! Malec, w pieluchach nieledwie, gdy się... woła do matki: «Plose mamy się nie awantulować, bo to kielunek Młodej Polski!»

Nie mogłem jednak dosłyszeć dalszego toku dysputy, bo niemal całe towarzystwo otoczyło Medweja, który siedząc na stole i dyrygując potężną prawicą, śpiewał wraz z chórem:

«Z dumnem czołem poszła w świat...»

Gdzieś znikł mi Julek. Chciałem się z nim pożegnać. Przeciskałem się przez tłum, docierając zwolna do drugiego pokoju.

Stanąłem na progu i aczkolwiek szumiało mi już dobrze w głowie, drgnąłem.

Obaczyłem obrazek następujący.

Przed otomaną maleńki stolik, na nim filiżanki z czarną kawą, kieliszki z likierem, papierosy, zapalona świeca.

Z boku na niskim taboreciku siedzi Szaniawski, podnosi kieliszek. Z taborecika po drugiej stronie podnosi się blady, zielony niemal Julek, ale zawsze słodko uśmiechnięty, trąca się z nim i mówi:

— Tyś praczłowiek!...ja praczłowiek!... Reszta... tłum, zgraja!... Pijmy na wieczne zbratanie się!...

Kieliszki uderzyły o siebie, napój się przelewa na stolik. Za płonącą świecą słyszę jakiś śmiech kobiecy. Ktoś podnosi się z kieliszkiem—patrzę—Bronka!

Stała w burce, w kapeluszu, widocznie niedawno przyszła i nawet się nie zamierzała rozbierać. Ale na twarzy dwie nieduże plamy rumieńców, oczy roziskrzone, kieliszek w ręce; śmieje się i woła:

— Co tam!... Niech żyją praludzie!...

— Wszystko furda! krzyczy Szaniawski, trącając się z nią.

— Wszystko furda! — powtarza Bronka i wypija kieliszek, następnie stawia go tak silnie, że utrąca szyjkę i woła:

— Żyje się raz... co tam starzy ludzie gadają!... Julek nalewaj... Słuchajcie praludzie... Wszystko furda!

Przecieram oczy. Julek podaje mi kieliszek i szepce do ucha:

— Kapitalna dziawczyna, co? Ani przypuszczała, że tu będzie!

— Jak się to stało??

— To już w tem mój rozumek — śmieje się Julek, układając miękko usta jak do pocałunku.

Nagle w drzwiach rozlega się tubalny głos:

— Bronka tu? Widzicie państwo!

Na progu stał Medwej. Chwiał się nieco, ale plasnął w ręce, przechylił się naprzód i rzekł:

— Gadali, Bronka, że ty za mąż wychodzisz, jużem chciał z rozpaczy wdziać żałobę...

Brwi Bronki zbiegły się, tworząc wał czarniawy, oczy mieniły się, wpadając z koloru zielonego w piwny, twarz przybrała wyraz zacięty. Krzyknęła:

— Ażebyś wiedział, głupcze, że wychodzę za mąż...

Najpierw zabrzmiał, niby tryl fletu, śmiech Julka. Po chwili, niby glissando oktawą na altówce, dał się słyszeć śmiech Szaniawskiego, przery-

wany chrapliwym kaszlem i chwytaniem powietrza. Wreszcie, niby falujący generałbas, zahuczał śmiech Medweja, który wsparł się o ścianę, ocierał czoło chustką, trząsł się i bił naprzemian raz po raz dłonią po podniesionem kolanie.

Bronka chwyciła filiżankę z kawą, rzucając nią w Medweja, ale ten usunął się, filiżanka się rozprysła o ścianę, na której wystąpiła brunatna plama z ściekającemi w dół kroplami.

Odwróciłem się. W drugim pokoju było już pusto, tylko niebieskawy dym wisiał warstwą w połowie wysokości między podłogą a sufitem.

— Bronka się awanturuje! zabrzmiał głos Julka. Panowie, trzeba ją przyprowadzić do równowagi!

I nachylił się do kieliszka z butelką w ręku.

Na to Bronka chwyciła go za czuprynę, poczęła nią potrząsać i chichotać. Julek szarpnął, stolik się przewrócił, zleciały wszystkie filiżanki i kieliszki, tłukąc się. Rozdeptano skorupki. Medwej chwycił Bronkę za ramiona, Szaniawski zdjął burkę i kapelusz, Julek, wciąż jeszcze trzymany za włosy, objął ją w pół i rozbierał.

— Proszę mi nie drzeć ubrania! — wrzeszczała Bronka.

Po chwili błysnęły jej obnażone ramiona, biała pierś. Na twarz dziewczyny wystąpiły jakieś rude rumieńce, oczy jaśniały, usta się rozchyliły — krzyczała:

— Wszystko furda!... Raz się żyje!... Górą praludzie!... Co tam starzy wiedzą!!!...

Wtem twarz jej jakby skamieniała. Rumieńce zbiegły z policzków, wystąpiła na nie jakaś zieloność, usta posiniały, oczy przybrały wyraz osłupienia, przestrachu graniczącego z obłędem...

Wrzask nie ustawał, trzymano ją, szarpano. Rozplotły się jej włosy i falami kasztanowatemi opadły na połyskliwe ramiona.

Ale dziewczyna jak gdyby nic nie czuła, nic nie widziała. Wpatrywała się tylko mgłą zachodzącym wzrokiem w jeden punkt. Następnie wystąpiły jej niebieskie koła pod oczami, powieki zapadły, głowa pochyliła się bezwładnie na obnażone piersi...

Obejrzałem się szybko za siebie. W progu drugiego pokoju mignęły mi jakieś plecy. Skoczyłem tam. Wypadam do sieni. Słyszę szybkie zbieganie po schodach. Patrzę w dół, niby w szyb z wijącymi się w dół schodami. Grzmot kroków słabnie, słychać 'go coraz głębiej, na zakręcie widzę jakąś postać, z jedną ręką ślizgającą się po świecącej poręczy, a z drugą wpitą w włosy na górnej części głowy... Kto to??... Tak bajecznie podobny do... Rymkowskiego??...

LIST XLVII.

Kochany Panie Ludwiku!

Aby skrócić chwile oczekiwania, sięgnąłem po arkusik papieru i siadam do listu. Piszę w miesz-

kaniu Rymkowskiego. Trochę mnie po tej hecy wczorajszej głowa boli. Nie będę filozofował na ten temat, bo trudno opierać się na argumentacyi, poczynającej się od słów «Ego autem censeo», gdy się ostatecznie do tego, choćby biernie, należało.

Rymkowski gdzieś wyszedł. Muszę się z nim widzieć koniecznie i to najpierw dlatego, ponieważ chcą w Gazecie Powszedniej do numeru Wielkanocnego jakiegoś utworu jego pióra, następnie dlatego, aby się przekonać, czy to on mignął mi w progu i na schodach, czy nie on, jeżeli zaś on, to, ponieważ scenę ową widzieć musiał, jak się zamierza w dalszym ciągu zachować.

Chłodno trochę u tego Rymkosia. Za oknem rozległy widok. Jesteśmy bowiem na Ogrodowej.

Patrzcie państwo, co za księgozbiór. Cztery ogromne police aż pod powałę sięgające, zastawione książkami. W kącie stos czasopism i znowu książki! Ten chłopak widocznie nie jadł, nie pił tylko książki kupował. A jednak nie znam twarzy bardziej czerstwej, jak jego. Na ścianach kilka fotografii z obrazów Chełmońskiego. Te jego bagna to coś wspaniałego! Dusza chłopska Rymkosia odczuła olbrzymią poezyę tych zapadłych bagien. Poznał swój swego! Nawet «Marya» Malczewskiego nie jest w stanie obudzić w człowieku takiej tęsknoty, jak owe bagna Chełmońskiego. Stałoby się przed tem i płakało godzinami...

Chyba nie doczekam się tego Rymkosia.

Wchodzi pani gospodyni, baba nieco otyła,

z zakasanymi po łokcie rękawami. Brzęczy wiązką kluczy.

— Czy nie powiedział pan Rymkowski, kiedy mniej więcej wróci?

— Powiedział, że zaruchno wróci. Powinien już być!

— Dawno wyszedł?

— Wyszedł rano. Jeszcze ósmej nie było.

Tak—a teraz południe. Ładne mi «zaruchno»!

Bębnię palcami po stole. Po chwili obracam się do pani gospodyni i pytam:

— Czy nie powiedział pan Rymkowski przypadkiem, dokąd poszedł?

— Przecie mówię, że miał zaruchno wrócić, to nigdzie daleko iść nie mógł.

Słusznie. Zostawiam tedy do niego kartkę na stole i uprzejmie dziękuję pani gospodyni za objaśnienia. Baba uśmiecha się mile, poprawiając kaftanik na piersiach; dryga i wychodzi.

Zazdroszczę niekiedy temu Rymkowskiemu!

Pytasz pan czego mu zazdroszczę??

Zazdroszczę mu najpierw tej zdrowej chłopskiej duszy, tej niepokalanej chłopskiej pogody ducha i tego prostolinijnego sądu w wyborze pomiędzy złem a dobrem. Zazdroszczę mu jego filozofii, jego niesłychanej pobłażliwości — a przedewszystkiem, tak, przedewszystkiem — jego dobroci...

Zdaje mi się czasem, że taka dobroć jest potężniejszą dźwignią kulturalną, niż wszystkie razem wzięte silnice parowe, elektryczne, naftowe, benzy-

nowe... Niż wszystkie razem wzięte teorye, rozprawy i dzieła traktujące o tem, «jak człowieka uczynić lepszym»...

Przecież on posiadł to wszystko, za czem ja ubiegając się, popadłem w jakiś stan...

Pan wiesz!

LIST XLVIII.

Jestem w najwyższy sposób zaniepokojony. Rymkowski od trzech dni znikł gdzieś bez śladu. Jak wtedy wybiegł z domu, tak więcej się tam nie pojawił.

Obszedłem redakcye, z któremi wiązały go stosunki. Byłem w bibliotece. Odwiedziłem wszystkich wspólnych znajomych. Nikt go nie widział.

Nie mogę poprostu połapać myśli.

Teraz dopiero widzę, że go nietylko szanowałem, ale bardzo kochałem. Niepokój ogarnia mnie z coraz większą siłą.

Byłem dziś dwa razy na Ogrodowej. Pani gospodyni spłakała się, obaczywszy mnie na progu. Dobra to kobiecinka, prosta baba, ale musi mieć niezłe serce.

Podniosła fartuch do oczu i mówiła:

— Co się z nim stać mogło, Jezu, Jezu!... A toć człowiek to nie klucze, żeby się tam miał gdzie zawieruszyć... Przecie był zdrów, wesół, jadł zdrowo, żadne chandry się go nie czepiały... Jezu, Jezu, Jezu!

Postałem milcząc z jaki kwadrans, patrząc bezmyślnie w podłogę i powlokłem się dalej.

Daruj pan, kochany panie Ludwiku, że kończę, ale czuję w tej chwili wstręt do pióra. Jakiś żal kołacze mi w piersi, wzbiera, roztapia wszystko...

Co się z tym Rymkowskim stać mogło!?—

LIST XLIX.

Ręce mi się trzęsą...

Dziś w południe przyszedł do mnie Szaniawski, blady nieco, siadł w paltocie i z kapeluszem w ręku. Po chwili milczenia rzekł:

— Słyszał pan już?

Podniosłem na niego oczy.

— Co takiego??

Szaniawski wahał się czas jakiś, jak gdyby przychodziło mu z trudnością mówić, następnie posmutniał jeszcze bardziej i rzekł:

— Bronka się utopiła...

W pierwszej chwili zdawało mi się, że ten praczłowiek oszalał i bredzi. Podniosłem ramiona, potarłem czoło i zapytałem:

— Co pan powiada, panie Gustawie? Kto się utopił, Bronka??

Szaniawski pokiwał głową i rzekł smutnie a dziwnie poważnie:

— Tak, tak, panie... Utopiła się jeszcze przedwczoraj. Kilku rybaków rzuciło się za nią, ale zapóźno. Gdy ją z wody wyciągnęli, już nie żyła.

Skoczyłem z krzesła.

— Panie Gustawie, czy to istotnie — prawda??

— Niestety najprawdziwsza prawda! Dziś rano spotykam znajomego rewirowego, a ten mi powiada: ot, wasza Bronka, co zrobiła! Pytam go: co takiego? A on mi mówi: chodź pan ze mną, bo ją będą właśnie wywozili. Prowadzi mnie, gdyż nie przeczę, że mi się trochę w głowie zaćmiło. Wchodzimy do prosektoryum. Owiały mnie wyziewy karbolu. Mijamy sień, wstępujemy do jakiejś sali. Kilku ludzi niesie nosze, zakryte prześcieradłem. Rewirowy skinął na nich. Zatrzymali się. On uchylił prześcieradła... Zdrętwiałem...

Chwyciłem Szaniawskiego za dłoń.

— Prowadź mnie tam pan czemprędzej! —

Szaniawski odchrząknął, ale nie ruszył się z miejsca. Opowiadał tylko w dalszym ciągu, odwracając twarz ode mnie:

— Odszedłem do okna. Nie słyszałem nic z tego, co się potem działo. W skroniach dzwoniły mi jakieś dwa młoty. Za oknem na dziedzińcu stał wóz, tragarze zbliżyli się, wsunęli do skrzyni coś zawiniętego w białe prześcieradło. Konie ruszyły...

Milczał przez chwilę, a przesuwając w rękach kapelusz i patrząc w podłogę, dodał:

— Tak, tak... na cmentarz powieźli naszą Bronię...

Chodziłem długo po pokoju od okna do drzwi, od drzwi do okna; czasem tylko odetchnąłem głę-

biej, ale nie byłem w stanie słowa przemówić. Szaniawski milczał również.

Nakoniec wstał, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Widzę, że i na panu wiadomość ta wywarła wrażenie. Idzie nas kilku nad Wisłę rozpytać rybaków o szczegóły. Może pan wybierze się z nami?

Włożyłem machinalnie płaszcz, nasadziłem kapelusz, rozejrzałem się po ścianach, jakby czegoś szukając. Szaniawski wziął mnie pod ramię. Wyszliśmy.

Jeszcze nie mogłem się opamiętać.

Po drodze przystanęliśmy przed mieszkaniem Julka. Szaniawski nacisnął guzik elektryczny w bramie, a następnie przyłożył ucho do tuby.

Po kilku minutach zbiegli ze schodów Julek i Medwej.

Ruszyliśmy w stronę Wisły.

Powoli Warszawa zaczynała tracić pozór wielkomiejski. Pojawiały się brudne, opadające w dół uliczki, pełne wybojów i błota. Ogromne, wspaniałe kamienice, zamieniały się w rzędy starych ruder okopconych, odrapanych. I twarze przechodniów poczęły się zmieniać i ubiory, a nawet dźwięk mowy ludzkiej uległ zmianie, przechodzący w jakiś ton chrypliwy, twardy, przenikliwy.

Tylko w górze było inaczej. Ukazywała się coraz większa przestrzeń nieba, coraz więcej blasku słonecznego, wiało ku piersi coraz więcej powietrza.

Przed nami zaszumiała Wisła. Kryła się jesz-

cze za wałem, ale mowa jej już brzmiała przelewaniem się fal, szmerem wirów i sykiem pian.

Julek z Medwejem wysunęli się naprzód i niebawem sylwetki ich ujrzałem nad wałem na tle nieba

Zdążaliśmy za nimi z Szaniawskim wolno i w milczeniu. O czem tu w takich chwilach rozmawiac?

Człowiek jest jakiś znieczulony, jakiś zobojętniały na wszystko. Porusza się niby automat, gdyż myśli jak wylękłe ptaki uleciały z gniazda jego mózgu.

Stanęliśmy na wale.

Wisła toczyła się jak przestrzeń ruchomego złocistego piasku, gdzie niegdzie siwymi mchami pian pokrytego. Za nami na niebie jaśniało słońce i cienie nasze rzucało od brzegu skośnie na wody.

W dali przepłynęło kilka łódek niby chwiejących się zapałek, mających zamiast główek schylone postaci u steru. Z boku po drugiej stronie wiatr rozwijał czarny welon dymu nad kominem wolno sunącego parostatku.

Fale pluskały na wybrzeżu, bijąc o ziemię i głazy jak ciskające się ryby.

Usłyszeliśmy gwar głosów. W dole stał Julek, Medwej i jakiś rybak, kiwający głową i silnie prawą ręką gestykulujący. Julek skinął na nas.

— Ten człowiek widział całą scenę — rzekł Julek, gdyśmy się zbliżyli. A no, bywają przyjemniejsze chwile w życiu — dodał z melancholijnym uśmieszkiem.

Rybak zdjął czapkę, przeczesał ręką włosy. Julek rzucił mu do czapki pół rubla i wszedł z Medwejem na wał.

Szaniawski kazał rybakowi opowiadać całą historyę na nowo.

Rybak nałożył czapkę, wyciągnął rękę w stronę wznoszącego się stromo nad wodą wybrzeża i jął mówić:

— To ta panienka już coś dwa razy zachodziła tutaj. Bardzo to było fertyczne, jeno jakiś zgryz ją trapił, bo biegała nad brzegiem tam i z powrotem, głośno płacząc. Popatrzyłem, jak to się patrzy i odwróciłem głowę, bo to nie jeden tu płacze. Coś wedle południa znowu przyszła, znowu lata tam i z powrotem i znowu płacze. A chusteczkę miała taką i ciągle ją przy oczach trzymała. Znowu popatrzyłem, ale żem był mocno zajęty siecią, takem i niewiele na nią zważał. Aż tu pod wieczór, dobrze pod wieczór, bo już w fabrykach buczeli, ona panienka znowuj przylatuje nad rzekę i chodzi tam i napowrót z chusteczką u twarzy. Myślę sobie: ona coś chce zrobić! Ale bez co by tyle razy przylatywała!? Żem sobie akurat odpoczywał, tedy dałem na nią większe baczenie. Mówię sobie, podejdę, spytam się, co jej jest. A ona furt biega nad brzegiem i płacze. Takem się podźwignął z tego kamienia, wetknąłem fajkę w kieszeń, bom akurat ćmił, podchodzę do niej i mówię: oj, panieneczko, co też to tak panieneczka lamentuje?—Ona się na to tak w sobie zdrygła, podniosła ręce w gó-

rę, pobiegła prosto nad rzekę i — chlust!... Przeżegnałem się. Rety la Boga! Wyrzuciło ją raz na wierzch. Ja do łódki. Krzyczę na innych. Nadbiegają, bo już widzieli, co jest. Buch wiosłem raz, buch drugi raz, woda kotłuje nią jak w młynie, to wyrzuca, to nakrywa, raz do góry, to znowuj na dół. Zajeżdżamy — jeden się pochylił — bosakiem o suknię zaczepił — ciągniemy. Jest! Takeśma ją i wydostali, ułożyli na łodzi, kulgali, ale biedaczka tchu już złapać nie mogła. Kruche to było bardzo, to raz woda zaleje, zachłyśnie się tylko i już — gotów. Tak my niewiele myśląc zaczęli się brać do brzegu. Zrobiło się zaraz zbiegowisko. Jeno że ktoś dał znać, nadjechała Pogotówka, zabrali ją, powieźli — a co tam potem z nią zrobili, to już nie wiem.

Tu zdjął czapkę, przeczesał ręką włosy i począł się kolejno na nas obu patrzyć. Szaniawski rzucił mu coś do czapki, ujął mnie pod ramię i weszliśmy na wał.

Ciągle dźwięczały mi w uszach słowa rybaka. Patrzyłem po niebie, po huczącej w górze Warszawie, po przestrzeni wiślanej, która coraz bardziej stawała się szklistą, zwierciadlaną — i wszędzie widziałem postać sunącej nad brzegiem dziewczyny z chustką u oczu.

Widocznie ciężko jej było skończyć z sobą. Schodziła nad rzekę, płakała i — nie miała odwagi rzucić się. Dopiero zbliżenie się rybaka...

Szliśmy wałem dalej i dalej. Wał zwężał się.

Przed nami sunęli pod ręce Medwej z Julkiem i coś rozprawiali, ukazując rękami po Warszawie, Saskiej Kępie i moście żelaznym. Nagle przystanęli. Ponieważ wał był wązki, więc i my z Szaniawskim zatrzymaliśmy się. Powoli wypieki wypłynęły mi na twarz, patrzyłem w dół na wody i zdawało mi się, że brzeg zemną odpływa. Słyszałem tylko głos dowodzącego Julka, który bez ustanku rozprawiał. Z początku nie zwracałem uwagi na to, co mówił; ale wreszcie poczęły słowa jego pobudzać moją świadomość. Nadstawiłem ucha, mając ciągle przed oczami postać z chustką u oczu — i posłyszałem taki wywód:

— Medwej, patrz! Sylweta Warszawy trochę garbata, ale to nic, to budziłoby pewne nieokreślone wrażenia... Ta linia mostu — bardzo nieartystyczna... Tam od horyzontu odbija się niebo ordynarnie. To nie to, co na południu, gdzie zlewa się jedno z drugiem a jeżeli silnie odcina, to ma w tem pewien cel... Medwej, patrz na Wisłę... Pamiętasz Sekwanę? Jak tu tę Wisłę malować!... Ona jest zupełnie fałszywa w tonie!! — — To dobre, żeby się w niej sentymentalne dziewczyny topiły, ale — — —.

LIST L.

A Rymkosia niema i niema...

Trzy miesiące minęły! Zawiadomiliśmy władze, wysłali depesze do różnych urzędów, oglądali-

śmy każdego trupa, o którym sygnalizowano. A mnie się zdaje, że on żyje, tylko — odszedł stąd...

Charakter ten nie mógł rozbić się o ławicę skonu gwałtownego. Dobroć taka jest wprost dzisiejszemu światu tak potrzebną, że jeśli jej już na tej ziemi niema, to chyba rwać włosy...

Nie! On żyje, musi żyć!

Zresztą — czuję go często przy sobie.

Wielokrotnie, kiedy o zmierzchu chodzę po pokoju z rękami w tył założonemi i myślę Bóg wie o czem, przystaję nagle i mam wrażenie, że on za mną chodził i także przystanął. Gdybym się obejrzał, może ujrzałbym go za sobą... Ale obawiam się, aby to nie było tylko złudzeniem...

Człowiek ten wniósł do naszego świata zdrowe ciało i zdrową duszę. Wniósł hart, pogodę, jasność myśli, pewność sądu, granitową etykę i wielką, wielką poezyę... Wielką, bo prostą, bo swojską, żywiołową, unoszącą się na własnych skrzydłach...

A z czem od nas odszedł!?...

Wiem, z czem odszedł a raczej, jaki odszedł!

Odszedł taki sam, taki niewzruszony, taki granitowy i taki dobry...

Tylko dlatego odszedł — bo — bo —.

Trzeba połamać sobie głowę nad odpowiedzią... Nie, chyba tylko nad sformułowaniem odpowiedzi...

Tak, sformułowaniem, bo ja zaczynam czuć i rozumieć, dlaczego tacy od nas tak często odchodzą...

Boć to przecie całkiem normalne, że ludzie kłamią, że oszukują się, że uwodzą ładne a źle przez matki strzeżone dziewczyny... Że się trochę hula żyjąc nerwami i tylko nerwami... Że się czasem na skrzydłach artyzmu ucieka z tej ziemi w jakiś piąty czy szósty wymiar, gardząc ciemnym, filisterskim tłumem, nie umiejącym ani wnikać w siebie, ani czuć miękko... Że się niekiedy dziewczyny rzucają do wody...

Normalne... Tak, to normalne... Tylko ta normalność czasem doprowadza do jakiegoś dziwnego stanu, do jakiegoś szalonego wnioskowania, które na ustach normalnych budzi uśmiech politowania... które podnosi rękę normalną do zatoczenia kółka normalnym palcem na normalnem czole . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Pan mi powiada, kochany panie Ludwiku, że ja nie pisałem o sztuce?? Że pisałem o rozmaitych awanturach, Julkach, Stefkach, Bronkach, Rymkowskich, ciotkach, Stasiach??... To dziwne!... A mnie się zdawało, że ja właśnie o sztuce i to warszawskiej pisałem . . . . . .

. . . . . .

Zresztą, jeżeli tak, to przecież na wstępie uprzedziłem pana, że czytać będziesz listy człowieka szalonego . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Wiesz pan, co mi dziś nocą Wisła szumiała??

Księżyc zielonem światłem zalewał wody, przedmieścia Warszawy, brzegi gwarliwej Wisły. Z przelewających się wód rzeki wstawał szmer, cała tocząca się przestrzeń wiślana wydawała jeden głos, niby głos ducha dobrego, wiecznie żywego, wciąż unoszącego się przy nas — głos łagodny a silny — niby głos Rymkowskiego:

«Niech ludzkość będzie szczęśliwą... niech najpierw, będzie szczęśliwą...»

Wietrzyk powiewał leciutko, wsłuchałem się całą duszą w ten nocny, tyle mówiący świat, starałem się przypomnieć sobie wszystko, com w życiu widział, com przeszedł i co inni przeszli. Zalana zielonem światłem przestrzeń wodna, brzmiąca owym głosem, rozłamała zwolna dźwięki na przeciągłe akordy organu i rozległ się uroczysty chorał fal wiślanych:

«Wszystkie wody i piany i wiry i topieliska...

«Wszystkie śpiewajcie...

«Wszystkie czoła potopionych wychylcie się z mroku wodnego ku księżycowemu światłu...

«Wychylcie się i słuchajcie chorału głębi...

«Śpiewajcie wody, śpiewajcie wiry, śpiewajcie piany i topieliska...

«Śpiewajcie potopionym i żywym, po brzegach błądzącym...

«Śpiewajcie jedno, śpiewajcie ciągle...

«Śpiewajcie w te słowa: Niech ludzkość będzie szczęśliwą... niech najpierw będzie szczęśliwą...»

ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH
W ZSRR

176407
14/7/77

75,-

Лавка писателей
Цена 10 р.

М-07

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
108896

Biblioteka WSP Kielce
0153935